



MAETEN
GOSSE
MEZMAN



B. I. N.

32

Maeten
Gosse Mezm.
769.



Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 769



BC KSK / 769

**BIBLIOTEKA
LAUREATÓW
NOBLA**

**MAURYCY
MAETERLINCK**



**GOŚĆ
NIEZNANY**



EX LIBRIS
Biblioteki Kuratorium O. S. B.
w Białymstoku

*BIBLIOTEKA
LAUREATÓW NOBLA*

*POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA LAMA*

TOM 32

*MAURYCY MAETERLINCK
GOŚĆ NIEZNANY*



*LWÓW—POZNAŃ 1925
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*

*MAURYCY MAETERLINCK 863
GOŚĆ NIEZNANY*

*PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
F. MIRANDOLI*



*LWÓW—POZNAŃ 1925
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*

CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
przy K. O. S. B.
w Białymstoku

769

133: 159.961

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM
KRAKÓW – DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

PRZEDMOWA.

KSIĄŻKA ta, która w r. 1919 wyszła w Anglii i Ameryce pod tytułem «The Unknown Guest» znajdowała się w druku w chwili wybuchu wojny. Wydaje ją teraz niemal w pierwotnym kształcie. Wiedza psychiczna zatrzymaną została w swym rozwoju, jak wszystko co nie służyło wyłącznie celom śmierci i nieszczęścia ludzkiego, tak że nie wiele mogę dodać z czasów powojennych.

W ciągu wojny mówiono dużo o bankructwie okultyzmu. W istocie, nie wytrzymała straszliwej próby część, rzec można, legendarna, oparta na wyobraźni i fantazji, a więc wszystko to, co dotyczy przepowiadania przyszłości, astrologji, talizmanów, oczarowania, działania na odległość i t. p. Natomiast nie doznała żadnej porażki wiedza psychiczna w ściślejszem znaczeniu, nie godząca się na miano popularne okultyzmu, a przeciwnie, w potwornej tej zawierusze wystąpiły jaśniej i z większym napięciem te zjawiska, które czasu pokoju stanowiły przed-

miot jej badań. Wiedza ta zebrata i zbierze niewątpliwie po burzy mnóstwo nowych faktów, dotyczących przeczuc, ostrzeżeń, znaków, psychometrii, jasnovidzenia, telepatji pośród żywych, oraz pozagrobowej, przypisywanej życiu pośmiertnemu. Koniecznem będzie temu, zwłaszcza ostatniemu zjawisku poświęcić całą uwagę, gdyż zbieg okoliczności pozwoli może teraz właśnie podejść bliżej do tajemniczego zagadnienia. Wszakże nigdy, od kiedy ziemia wydała człowieka nie zmarło w tak krótkim czasie tylu młodych ludzi, żądnych życia dalej. Jawią się już i jawić będą coraz liczniej fakty analogiczne do spisanych w ostatniej książce sir Olivera Lodge: «*Raymond or Life and death*». Ale mi nie jeszcze sporo czasu, zanim zostaną one sprawdzone, uporządkowane i zbadane, tak że zuchwalstwem byłoby mówić o nich już teraz. Nie zbiera się plonów w deszcz, przy lśnieniu błyskawic.

WSTĘP

I.

SZKIC mój, pod tytułem: *Śmierć*, zawiera sumienne i, o ile się dało, wyczerpujące przedstawienie obecnego poglądu na tę tajemnicę. Sądziłem, że potrafię zawrzeć w jednym tomie wyniki tych badań, które zresztą, powiedzmy zaraz, nie dadzą nic nowego tym, którzy kroczą tą samą drogą i za całą zasługę mają jeno szczerość, bezstronność i skrupulatną ścisłość. W miarę atoli jak szedłem, materiał rozrastał się, tak że musiałem rozdzielić go na dwie, niemal równe części. W niniejszej daję pokrótce przegląd zjawisk, widziadeł, wróżebnych halucynacyj i duchów pokutujących, czyli rzecz można fantazmów żywych i umarłych, dalej zaś zjawisk zwanych nieściśle i niewłaściwie psychometrycznymi: mówię o przeczuciach, prorocत्वach, przepowiedniach, znakach i ostrzeżeniach, a wkońcu

o koniach elberfeldzkich. W części drugiej, która wyjdzie później, zajmę się cudami Lourdes, zjawiskami materjalizacji, różdżką czarodziejską i asepsją fluidyczną, nie tracąc też z oczu owej lśniącej mgły czaru, otaczającej cuda w dziwnej atmosferze, w którą wkroczyć nam wypadnie.

II.

Mówiąc o stanie obecnym tajemnicy, nie mam, oczywiście, na myśli całej tajemnicy życia, jego końca i początku, ani też wszechświata, w którym jesteśmy zanurzeni. W tem znaczeniu wszystko jest tajemnicą i zostanie nią, zda się, na zawsze, tak że nie sięgniemy nigdy i w żadnym punkcie granic ostatnich poznania i pewności. Tutaj idzie o to, co mąci i niepokojuje powszechną rutynę, uwagę i nieświadomość w tej tajemnicy uznanej, codziennej, spoufalonej z nami i niemal zapomnianej. Fakty te, nie czyniące wrażenia nadprzyrodzonych, nie są dziwniejsze od innych, tylko zdarzają się rzadziej, a raczej nie tak często można je z łatwością stwierdzić. W każdym razie głębokie ich przyczyny, prawdopodobnie ani zbyt odległe ani niedostępne, tkwią w sferze nieznanej i nie tak często zwiedzanej

przez naukę, która jest w gruncie rzeczy jeno wyrazem otuchy i zaspokojenia naszej ignorancji. Możemy już dziś, dzięki pracom Towarzystwa Badań Psychicznych (Society for Physical Research) i mnóstwa innych badaczy, z pewnem zaufaniem zbliżyć się do całokształtu tych zjawisk. Wolni jesteśmy nakoniec od legend, bajek dziecięcych, sporów, złudzeń, przesady i kroczymy po terenie zacieśnionym wprawdzie, ale pewnym. Nie znaczy to, by nie było zjawisk innych poza zebranymi przez to towarzystwo i poważnych pracowników, stosujących tę samą metodę. Mimo pilnego od lat trzydziestu przetrząsania całej naszej planety uszło im z konieczności wiele rzeczy, a obok tego trzy czwarte faktów zgłoszonych odrzuciła nowa ich, surowa metoda badań. Mimo to można powiedzieć, że dwadzieścia ośm tomów ich PROCEEDINGS, siedemnaście tomów ich DZIENNIKA, oraz dwadzieścia pięć lat studjów, ANNALES DES SCIENCES PSYCHIQUES, że wymienię tylko publikacje najdoskonalsze, zawierają dziś wszystko, co na polu zjawisk niezwykłych zebrać było można i że tam znajdujemy przykłady każdego z przejawów niewytłumaczonych dotąd manifestacyj, wśród których żyjemy. Dziś już można je klasyfikować, grupować w działy i poddziały, tworzyć gatunki,

rodzaje i odmiany. Nie jest to dość, ale w ten sposób tworzy się każda wiedza, która dochodzi do poważnych wyników. Mamy tedy dość faktów niezaprzeczalnych niemal, możemy je z korzyścią badać, śledzić ich kierunek, domyślać się charakteru ogólnego i może nawet docierać do wspólnego źródła, usuwając nabok gęstwą krzewów i rozwaliny, które od tylu setek czy tysięcy lat ukrywały je przed oczyma naszemi.

III.

Zjawiska te są, prawdę mówiąc, mniej uroczne i fantastyczne niż były przed kilku wiekami i zrazu doznajemy pewnego rozczarowania. Wydaje się, jakby sama nawet tajemnica miała swe wyże i padły i podlegała kaprysom jakiejś zagrobnej mody. Mówiąc ściślej, większość tych cudów legendarnych nie ostałaby się przed surowym badaniem czasów obecnych. Te atoli właśnie, które wytrzymały próbę i nie cofają się dziś przed spojrzeniem mniej łatwowiernem i bystrzejszem niż dawniej, zasługują w pełnej mierze na uwagę naszą. Nie są to niedobitki samej tajemnicy, gdyż trwa ona dalej i rośnie właśnie w miarę oświetlania, można w nich jednak dostrzegać najwyższe, czy może pierwsze jeno wysiłki tej potęgi, która nie tkwi cała w naszej sferze. Jakiś nieznajomy puka,

zda się, z zewnątrz, a jest on bardziej nieznany, niż sobie to wyobrażamy, nie będący mieszkańcem tego świata, który stanowi sferę naszej niewiedzy, której to sfery ziemia stanowi jeno prowincję. Obcy przybysz przychodzi ze świata innego, jest to gość nieoczekiwany, który natrętnie mąci spokój pelen zadowolenia, jakim ukolysała nas pewna i czujna ręka wiedzy klasycznej.

IV.

Poprzestańmyż na razie na wyliczeniu faktów. Mamy więc stoliki wirujące, stukające, przenoszenie i aporty przedmiotów bez dotknięcia, zjawiska świetlne, materjalizacje, dotyki spirytystyczne, lewitacje, pewne niezrozumiałe czyny fakirów hinduskich, ostrzeżenia, przeczucia, jasnowidzenie, ksenogłosję, zjawiska lub halucynacje wróżebne, duchy pokutujące, zdwojenie osobowości, obcowanie ze zmarłymi, różdżki czarodziejskie, cudowne uleczenia w Lourdes czy gdzieindziej, asepsję fluidyczną, a wreszcie słynne zwierzęta myślące z Elberfeldu i Mannheimu Oto, jeśli się nie mylę, wolny od wszystkiego, co niepewne i niedostatecznie stwierdzone, osad cudu współczesnego, a może też jego *caput mortuum*, jeśli ktoś woli.

Słyszeliśmy wszyscy o wirujących stolikach;

jest to abecadło okultyzmu i zjawisko tak częste, oraz łatwe do wywołania, że TOWARZYSTWO BADAŃ PSYCHICZNYCH nie uznało za swój obowiązek zająć się niem specjalnie. Uczynimy to samo, z uwagi, że wszystkie problemy, które stoliki te nasuwają, znajdziemy w większości innych zjawisk psychicznych. Wiemy, że dla wywołania manifestacji starczy w łańcuchu jednej osoby, obdarzonej zdolnościami medjumicznymi, ale że osoba taka jest niezbędna. Doświadczenie to jest dostępne każdemu, stwierdzone i tak pewne, jak polaryzacja światła czy krystalizacja, wywołana prądem elektrycznym.

Do tej samej grupy zaliczyć można przenoszenie przedmiotów i aporty bez dotknięcia, dotykane spirytystyczne, zjawiska świetlne i materjalizacje. Wszystkie, podobnie jak stoliki wirujące, wymagają obecności medjum. Niema potrzeby podkreślać, że jest to ziemia obiecana wszelakiego oszustwa i najsłynniejsze nawet medja, obdarzone faktycznymi i wielkimi zdolnościami, jak Eusapia Palladino, stają się niepoprawnymi oszustami, przy okazji, która aż nazbyt często ma miejsce. Ale choćbyśmy nawet przyznali dużo pola takim oszustwom, to jednak pozostanie jeszcze ogromnie dużo faktów tak ściśle stwierdzonych, że musimy je uznać, jeśli

nie chcemy zrezygnować w ogóle z jakiejś ludzkiej pewności.

Podobnie rzecz się ma z lewitacją i cudami fakirów hinduskich, o których opowiadają podróżni. Długotrwała inhumacja istoty żywej, bez szkody dla niej, jest faktem stwierdzonym i da się wytłumaczyć fizjologicznie, natomiast nie mamy tak decydujących badań dla innych zjawisk tego rodzaju. Pomijam tu milczeniem t. zw. *Mang stree* i *Basket trick*, które są jeno sztuczkami, natomiast *Fire walk* i słynny *Rope climbing trick*, są to rzeczy bardziej tajemnicze.

Fire walk, czyli chodzenie po rozżarzonych kamieniach i węglach, to rodzaj ceremonii religijnej, praktykowanej w Indjach, na wyspach polinezyjskich, wyspie Św. Maurycego i t. d. Po inkantacji arcykapłana, bose stopy wiernych idących za nim po pokładzie żaru, są niemal bezwrażliwe na ukąszenia ognia. Czyż więc temperatura powietrza jest naprawdę nie do zniesienia, czy wytrzymałość idących tłumaczy grubość podeszwy zrogowaciałej u tubylców, czy może istnieje oparzenie, nie tykające skóry? Podróżni wyrażają się o tem najrozmaiciej i trudno dziś jeszcze traktować poważnie kwestję tak niepewną.

Dziwniejszy jest *Rope climbing*. Kuglarz staje

na placu publicznym, zdala od drzew i budynków, mając jeno zwitek lin i stary, płócienny wór. Towarzyszy mu dziecko. Kuglarz rzuca w powietrze koniec liny, która wznosi się wzwyż, jakby ciągniona przez blok niewidzialny, aż do chwili, kiedy koniec jej zniknie w górze. Wówczas dziecko wspina się po linie i także znika w górze, poczem zaczynają spadać ramiona, nogi, głowa i t. d. a czarodziej wkłada je po kolei w worek. Wymawia przytem nad workiem kilka słów, roztwiera go, a dziecko wychodzi i uśmiechnięte kłania się widzom.

Czarodziejstwo miewa z małemi zmianami taki zawsze przebieg. Ale jest dosyć rzadkie i praktykuje je pewna jeno sekta z północno-zachodnich okolic. Nie zostało to jeszcze dostatecznie zbadane i dlatego nie można zjawiska tego zaliczyć w poczet wzmiankowanych wyżej. Gdyby opis zgadzał się z istotnym przebiegiem, możnaby jeno przyjąć jakąś niesłychanie potężną halucynację wytworzoną przez fakira, który sugeruje widzów i każe im dostrzegać wszystko. Musiałaby ona ogarniać znaczną przestrzeń, gdyż Europejczycy, siedzący w oknach zdala od tłumu tubylców, widzieli to samo. Byłby to jeden z najciekawszych przejawów owego »gościa nieznanego«, o którym pomówimy, gdy wyliczywszy

jego gesty i czyny uczynimy próbę ustalenia dziwactw jego charakteru.

Lewitację, czyli unoszenie się w powietrzu, bez dotknięcia jakiegoś przedmiotu, lub nawet żywej istoty, przypisaćby można również tego rodzaju potężnej halucynacji, ale brak dotąd dość licznych przykładów, by można z nich wyciągać wnioski. Wrócimy zresztą do niej w rozdziale poświęconym materializacjom, z którymi się łączy.

WIDZIADŁA ŻYWYCH I ZMARŁYCH

I.

PROWADZI nas to konsekwentnie do widziadeł i halucynacyj wróżebnych, oraz duchów pokutujących. Wiemy, że na temat widziadeł żywych i umarłych istnieje mnóstwo badań skrupulatnych, przedsięwziętych w Anglii, Francji, Belgii, Szwajcarji i Stanach Zjednoczonych, przez SOCIETY FOR PSYCHICAL RESEARCH. Byłoby śmiesznością przeczyć faktom, wobec zgromadzonego materiału dowodowego. Nie ulega już wątpliwości, że wrażenie silne lub głębokie może się natychmiast udzielić umysłowi człowieka drugiego, bez względu na odległość obu ludzi. Najczęściej ma ono formę halucynacji wzrokowej, rzadziej słuchowej. Najsilniejsze bywają wrażenia człowieka w chwili śmierci i to właśnie wrażenie wysyłane bywa z niepojętą precyzją przez przestrzeń, przez morza i kontynenty ku celowi nie-

widzialnemu i ruchomemu. Zresztą, chociaż rzadziej, halucynację taką może zrodzić i wysłać niebezpieczeństwo, lub ciężka choroba. To właśnie nazywa Towarzystwo *Phantasms of the living*, widziadłami żywych. Widziadłami zmarłych nazywano podobne halucynacje wysyłane w dłuższy czas po śmierci wysyłającego. Są one rzadsze. Gdybyśmy, — powiada Myers — mogli wykreślić krzywą, wskazującą liczbę halucynacyj widziadłowych wysyłanych przed i po śmierci, przekonalibyśmy się, że wzrasta ona szybko w okresie na kilka godzin przed śmiercią, zaś maleje stopniowo podczas pierwszych godzin pośmiertnych i pierwszych dni, a w końcu pierwszego roku widziadła stają się rzadkie i całkiem wyjątkowe¹⁾.

Mimo to widziadła takie istnieją i zostały stwierdzone świadectwami licznymi, a tak ściśle, jak tylko może być stwierdzony fakt. Znajdujemy je w PROCEEDINGS, mianowicie w tomie VI. na str. 13, 65 i innych.

Bez względu na to, czy idzie o żywych czy umierających, halucynacje takie nie zmieniają się zasadniczo. Ktoś spostrzega nagle, w pokoju, na ulicy, w podróży, gdziekolwiek bądź zresztą,

¹⁾ Myers: Human Personality.

widziadło wyraźne krewnego, czy przyjaciela, o którym nie myślał, a wie że jest daleko, w Ameryce, Azji, czy Afryce, bo przestrzeń nie odgrywa tu żadnej roli. Zazwyczaj widziadło nie mówi nic, ostrzegając jeno niejako w milczeniu swą, krótką zawsze obecnością. Czasem jest zajęte jakąś sprawą drobną i błahą. Rzadziej mówi i to rzeczy malej wagi, a jeszcze rzadziej objawia jakąś zbrodnię, czy wskazuje miejsce, gdzie skarb ukryty, sobie tylko znane. Wróćmy do tego tematu, skończywszy treściwe wyliczenia nasze.

II.

Zjawisko duchów, pokutujących w domach, przypomina widziadła, z tą jeno różnicą, że tutaj widziadło związane jest z mieszkaniem, czy meblem, nigdy zaś z osobą, w tem miejscu przebywającą. Od drugiego roku swego istnienia, to znaczy od 1883 i 1884 roku, gromadziła komisja Towarzystwa *Committee on Haunted Houses* setki faktów, z których zanalizowała 65, a 28 ustaliła w sposób pierwszorzędny ¹⁾. Należy podkreślić, że autentyczne zdarzenia nie mają nic wspólnego z legendarnymi opowieściami, jakie napotyka się jeszcze czasem, w okresie świątecznym zwłaszcza, po pismach angielskich i amerykańskich. Niema tam całunów, katafalków, szkieletów, cmentarzy, ogni piekielnych, przekleństw, z wyciem ponurem, brzękiem łańcuchów,

¹⁾ PROCEEDINGS: I. 101—115 V. 137—151, VIII. 311—332 i t. d.

słowem z całym aparatem tradycyjnym, właściwym owej nędznej literaturze pozagrobnej. Przeciwnie, wydarzenia w takich opętanych przez duchy domach to rzeczy przeważnie bardzo proste, drobne, niemal o charakterze malomieszczkańskim, a duchy nie posiadają żadnych pretensyj i nie silą się na scenarjusz, czy kostjumy. Ubrane są jak dawniej, kiedyto nieraz przed laty wiodły wśród rodzin swoich żywot spokojny i szary. Czasem bywa to staruszka w wyszarzonym szalu, skromnie skrzyżowanym na pierśsiach, która się pochyla nad śpiącymi nowymi mieszkańcami, lub którą się spotyka czasem w przedpokoju, czy na schodach, milczącą, dyskretną, nieco zastraszoną nawet. Czasem bywa to jegomość w opończy domowej, szklistem spojrzeniu, przechodzący szybko kurytarzem, oświetlonym jaskrawo w sposób zgola niepojęty. Innym razem jest to znowu dama podstarzała, w czarnej sukni, siedząca w bujającym krześle salonu. Gdy do niej przemówić, wstaje, otwiera usta, ale nie mówi nic. Przyciśnięta do kąta, unikając dotknięcia znika. Rozpinano, by ją wstrzymać, nitki jedwabne w klatce schodowej, ona jednak przechodziła, nie poruszając ich nawet. Widziadło to, a tak bywa najczęściej, dostrzegał każdy w domu, krewni, przyjaciele oraz

służba dawna i nowa. Czyż była to zbiorowa halucynacja, lub sugestja? Obcy i goście, którym nie mówiono, widząc ją jak inni, pytali nawzajem: — Cóż to za dama w żałobie, którą spotkaliśmy w jadalni? Gdyby istniały halucynacje zbiorowe, należałoby tę właśnie nazwać podświadomą halucynacją wszystkich nią objętych. Jest to bardzo zresztą możliwe.

Nie zaliczam tu rozmaitych wybryków, zwanych przez Niemców »Poltergeister«, gdzie latają w powietrzu kamienie, dzwonią dzwonki, przewracają się materace i meble. Wydarzenia takie są zawsze podejrzane i uważać je trzeba, zda się, za dzikie swawole historyków, lub psoty złośliwych medjów. Manifestacje z zakresu »Poltergeister« są dość częste i znajdujemy ich dużo w PROCEEDINGS, oraz DZIENNIKU Towarzystwa.

Nie wspomnę tutaj o obcowaniu zagrobnem, gdyż rozdział, poświęcony temu tematowi, znajduje się w mem studjum o »Śmierci«. Może wypadki tej wojny przyniosą nowe fakty, które usuną z ponad nas ową przykrywą świadomości ziemskiej, pod którą jesteśmy uwięzieni.

III.

Pomijamy tu hipotezy religijne¹⁾, które nie są naszym tematem, a zaliczają się do idei innej zgola kategorii. Dwie jeno posiadamy teorie, które na różnych drogach usiłują wytłumaczyć większość tych zjawisk, lub przynajmniej przewrócić zupełne milczenie, jakim je witamy. Jest to teoria spirytystyczna i teoria medjumiczna. Spirytyści, czyli raczej neospirytyści, których nie należy mieszać z łatwowiernymi wyznawcami Allana Kardecka, twierdzą, że ludzie nie umierają całkowicie, że ich istota duchowa nie oddala się i nie rozplywa w przestrzeni, po roz-

¹⁾ Z tego samego powodu usuwamy również z porządku teorię teozoficzną, która wymaga, jak inne, przywiązania i ślepej wiary. Genjalne często zastosowania jej polegają wyłącznie na twierdzeniach energicznych, ale gołosłownych i jak to powiadam w »Śmierci«, nie dają nam nawet śladu jakiegokolwiek dowodu.

kładzie ciała, ale trwa dalej, wiodąc żywot realny, chociaż niewidzialny. Teorja ta ujmuje, zresztą w sposób bardzo mglisty, życie owych dezinkarnatów. Niewiadomo, czy są inteligentniejsi niż poprzód i czy dysponują świadomością i uzdolnieniem większem od naszego. Niema na to dotąd faktów potwierdzających. Wydaje się przeciwnie, że jeśli dezinkarnaci wogóle żyją, to są ograniczeni, słabi, nikli, niekonsekwentni, a przedewszystko żyją bardzo krótko. Możnaby wprowadzić zarzucić, że to nam niedoleżnym tak się jeno wydaje. Zmarli wokoło nas czynią co mogą, byśmy ich słyszeli i widzieli, ale przeszkadzają im nieprzebite mury zmysłów naszych, zdolnych jeno apercypować materję, a niewrażliwych na to, co stanowi zasadę naczelną wszechświata. To, co nas przeżyje, zamknięte w ciele, jest absolutnie niedostępne temu, czem oni żyją i co najwyżej przenika czasem szparami przez te organizmy szczególne, które zwiemy medjami. Ale owe promyki błędne, znikome, zniekształcone, przyćmione i migotliwe nie są w stanie dać nam pełnego obrazu życia, odmiennego od życia czysto animalnego, jakie wiemy tu na ziemi. Teorja ta jest może uzasadnioną. Należy podkreślić, że pewne przejawy porozumienia i pewne zjawiska zachwiała najchłodniejszych uczonych,

przeciwników wpływów zaświatowych. Chcąc potrosze zrozumieć ich niepokój i zdziwienie, wystarczy zacytować, pośród tysięcy innych, jeden bodaj przykład, mianowicie wstrząsające, a niemożliwe do zakwestjonowania sprawozdanie prof. Bottazzi, kierownika medjolańskiego instytutu fizjologicznego p. t. SFERY NIEZBADANE BIOLOGII CZŁOWIEKA. Obserwacje i doświadczenia z Eusapją Palladino¹⁾. Rzadko chyba odbywały się doświadczenia w bardziej nieprzychylnym nastroju, z większą niewiarą i surowością naukową. Małe laboratorium neapolitańskie zostało odcięte od świata, okute rzec można w kajdany, zapieczetowane i oto zjawiać się zaraz zaczęły, w tak matematycznie niemal zabezpieczonym od oszustwa gabinecie, poszczególne członki, ciała ludzkie, blade, przejrzyste, inteligentne ręce, które wprawiały w ruch aparaty rejestracyjne i dokonywały różnych rzeczy, wówczas zwłaszcza, kiedy na zasłonie medjumicznego pokoju ukazała się w profilu czarna głowa. Pozostała ona tak w bezruchu przez kilka sekund i znikła, jakby spłoszona okrzykami zdumienia owych uczonych mężów, którzy byli przysposobieni na wszystko. Profesor Bottazzi wyraził się dosłownie, że uczul drżenie w całym ciele.

¹⁾ *Annales des sciences psychiques* sierpień-wrzesień 1907.

W takiej chwili, wątpliwość raz na zawsze, zdawałoby się, usunięta ogarnia najchłodniejszy umysł. Po raz pierwszy, rzecz można, spogląda wokół siebie, pytając z niepokojem, w jakim się znajduje świecie. Zaś wierni nieznanemu, którzy oddawna wiedzą, że nic nie wiedzą i muszą być gotowi na każdą niespodziankę, stają wobec tajemnicy innego rodzaju, ale dziwniejszej i bardziej od wszystkich innych niepokojącej, albowiem nieci na nowo dawne obawy i dotyka najwrażliwszego punktu naszego przeznaczenia.

IV.

Najważniejszym argumentem spirytystycznym jest zjawienie się zmarłych w domach »gdzie straszy«. Pomińmy widziadła przed i pośmiertne, gdyż tłumaczy się to przesłaniem wrażenia silnego, od podświadomości do podświadomości i, jeśli następuje nawet w kilka dni po śmierci, można je uznać za spóźnioną komunikację telepatyczną. Cóż powiedzieć atoli o widziadłach, które się zjawiają w rok, lub nawet w dziesięć lat po zniknięciu zwłok? Są dość rzadkie, przyznaję, ale stwierdzone zostały niewątpliwie i zaświadczone zeznaniami dokładnymi, licznymi i zgodnymi. O ile zresztą idzie tu o widziadła krewnych, czy przyjaciół, można przypuścić jeszcze zjawisko telepatji, albo halucynacji pamięci. Zabieramy w ten sposób widziadłom nową i dużą prowincję ich państwa. Pozo-

stanie jednak i tak teren dość rozległy, gdzie nie dotrze wyjaśnienie telepatyczne. Niektóre widziadła ukazują się osobom zgoła nieznanym i stanowią rodzaj pośredni, w porównaniu z widziadłami, wracającymi do domów swoich.

Jak powiedziałem wyżej, nie sposób zaprzeczyć, iż domy takie, »gdzie straszy« istnieją naprawdę. I tu także w większości przypadków wysuwa się teoria telepatyczna. Można ją nawet rozszerzyć słusznie, gdyż granic jej nie znamy. Zdarza się na przykład, że widziadło nawiedza często dom, gdzie za jego wskazówką odnajduje się kości ukryte w murze, lub pod podłogą. Bywa i tak, jak n. p. w stwierdzonym ściśle i skontrolowanym sądownie przypadku Wiljama Moira ¹⁾, że szkielet zakopany jest w znacznej odległości od mieszkania i leży tam lat przeszło czterdzieści. Po zabranii i przyzwoitem pochowaniu szczątków widziadło nie wraca już.

Nawet w przypadku Wiljama Moira niema, jak sądzę, potrzeby porzucania teorii telepatycznej. Medjum, czyli, jak powiadają Anglicy, osoba »sensytywna« czuje ich obecność, w pobliżu tych kości tworzy się pomiędzy nią a nimi jakaś

¹⁾ PROCEEDINGS: tom VI. str. 35—41.

relacja tajemnicza i osoba taka odczuwa ostatnie wrażenia zmarłego, co jej pozwala czasem odtworzyć obraz okoliczności samobójstwa, czy zbrodni, zupełnie podobnie, jak w telepatji pomiędzy żywymi. Również dotknięcie jakiegoś przedmiotu w psychometrii wywołuje bezpośredni kontakt osoby sensytywnej z właścicielem tegoż przedmiotu. Łańcuch, łączący życie ze śmiercią, nie jest jeszcze całkiem zerwany i w gruncie rzeczy wszystko odbywa się jeszcze w naszym świecie.

V.

Czasem jednak najcieńsza, najsubtelniejsza nić wydaje się zerwaną. Któż to zresztą zdoła stwierdzić? Zaczynamy dopiero rozumieć, jak niezmiernie elastyczne, doskonale przewodzące i skomplikowane są owe nici niewidzialne, łączące ze sobą przedmioty, myśli, życia, wrażenia, słowem wszystko, co istnieje na tym świecie, a nawet to, co się jeszcze nie stało i czego już niema. Weźmy za przykład zdarzenie z pierwszej serji PROCEEDINGS z panem X. Z., znanym większości członków COMMITTEE ON HEAUNTED HOUSES, którego świadectwo nie ulega żadnej wątpliwości. Wynajął on stary dom, nie znając wcale jego dziejów. Wiedział tylko tyle, że opuściły go dwie służące przyjaciela M. G., zajmującego skrzydło tego bardzo obszernego domu, a to z powodu dziwnych hałasów słyszanych w nocy. Pewnego wieczoru, 22 września,

p. X. Z. miał właśnie udać się do swej sypialni, gdy nagle zobaczył w korytarzu, oblanym dziwnie jaskrawem światłem, starca w kwiecistej oponczy. Za chwilę znikło światło i ów starzec, pogrążając się w głębokiej ciemności. Nazajutrz wspomniał ową przygodę z dwoma służącymi i zaczął rozpytywać, zrazu bez żadnego rezultatu. Wreszcie jeden stary urzędnik sądowy powiedział mu, że słyszał, jakoby dziad ostatniego właściciela zadusił swą żonę i poderzwał sobie gardło, w temże samem miejscu, gdzie stało widziadło. Nie mógł on ustalić daty podwójnej zbrodni, ale p. X. Z. zbadał zapiski parafjalne i przekonał się, że stało się to właśnie 22 września.

Tegoż dnia następnego roku przyjaciel odwiedził p. M. G., mając zabawić przez dni parę. Nazajutrz rano oświadczył jednak blady i wzburzony, iż odjeżdża. Pod naporem pytań wyznał, że się boi, przez całą bowiem noc słyszał jęki, klątwy, krzyki rozpacz, potem zaś otworzył drzwi jego pokoju i t. d.

W trzy lata później p. X. Z. pojechał do Londynu z wizytą do właściciela domu i ujrzał nad kominkiem portret, wyobrażający najdokładniej widziadło z korytarza. Wskazał obraz towarzyszącemu mu przyjacielowi p. M. G. mówiąc: — Widziałem tego człowieka!

Właściciel domu oświadczył, że jest to portret jego dziadka, który, jak dodał, nie przyniósł rodzinie zaszczytu.

Wszystko nie dowodzi oczywiście istnienia widziadel i zagrobnego życia. Mimo niezaprzecalnie dobrej wiary pana X. Z. cud ten wywołała chytra, pracująca w ukryciu wyobraźnia. Poruszyło ją zajście z dwoma służącymi, drobne wpawdzie i bez znaczenia, ale wpelzło ono ci chaczem w podziemia świadomości, fantastyczne i żyzne. Sugestia podsunęła potem ów obraz gościowi, wzburzonemu przez noc bezseną. Poznanie portretu jest, zależnie od przyjętej teorii, punktem najslabszym, lub najsilniejszym całej przygody.

Niezbyt lojalną jest taka sumaryczna metoda objaśniania wszystkich wydarzeń, gdyż nadużywa uprzejmości telepatji. Zdarza się też dużo spraw, gdzie rola telepatji jest jeszcze trudniejszą, jak n. p. w wypadku przedstawionym przez pannę R. C. Morton, w tomie VIII PROCEEDINGS.

Rzecz jest zbyt skomplikowana, by ją zamieszczać w całości, ale panna Morton, władająca naukową metodą badań, zasługuje na zupełną wiarę. Idzie tu o pewien dom, zbudowany w r. 1860, zamieszkały kolejno przez Anglo-Hindusa, potem przez pewnego starca, a wkońcu opusto-

szały od lat czterech. W roku 1882 wprowadził się tam kapitan Morton z rodziną. W trzy miesiące po zamieszkaniu, panna Morton miała iść właśnie spać, gdy posłyszala pod swemi drzwiami szelest. Sądząc, że to matka, otwarła; nie spostrzegłszy zrazu nic, postąpiła kilka kroków w korytarz i ujrzała w załomie schodów kobietę wysmukłą, czarno ubraną. Nie chcąc niepokoić rodziny, zamilezała o wszystkim i zwierzyła się jeno dalszej znajomej. Ale niebawem inni domownicy spostrzegli czarną kobietę i tak: siostry, ojciec, mały braciszek, służba, a także jeden z sąsiadów, generał A.... który widząc, że siedzi placząc pod krzewem, pomyślał, iż zachorowała któraś z córek kapitana i posłał zapytać, co jej jest. Wszyscy widzieli tę kobietę, bo nawet dwa psy kilka razy wyraźnie okazywały, że dostrzegają widziadło.

Było ono zresztą niewinne zgoła, nie mówiło nic i niczego nie chciało. Chodziło bez celu, a zapytane, uciekało i nikło. Nawyknięto do czarnej kobiety i przestano jej się bać. Była niematerjalna, nie można jej było dotknąć, ale światło łamało się na niej. Po długich poszukiwaniach zdołano stwierdzić, że była to druga żona Anglo-Hindusa. Mortonowie nie widzieli jej nigdy, ale podobieństwo zostało ustalone przez znajomych.

Nie wiadomo zresztą, pocięła wróciła »straszyć«
w domu, w którym nie zmarła. Począwszy od
1887 roku zjawiała się coraz to rzadziej i była
coraz mniej wyraźna, aż w końcu, z rokiem 1889
znikła na zawsze.

VI

Fakt ten ustalony został niezbiecie w protokółach PROCEEDINGS. Mamy tu przypadek idealny, bez sugestji uprzedniej i następnej. Jeśliby ktoś przeczył wprost istnieniu widziadła i nie chciał uznać życia zagrobnego, musiałby przyjąć u panny Morton halucynację spontaniczną, jako u podświadomego medjum, która potem przeniosła ją telepatycznie na całe swe otoczenie. Mimo arbitralności i drakonizmu takiego tłumaczenia, należy zdaniem mojem przyjąć je, zanim otrzymamy inne dowody. Przyznać jednak musimy, że rozszerzając tak bardzo zakres naszej niewiary, utrudniamy zmarłym wielce dowiedzenie nam, że żyją.

Znamy pewną liczbę przypadków tego rodzaju, skontrolowanych ściśle, ale stanowią one prawdopodobnie jeno drobną część tego, co by

można zebrać. Czyż może wymykają się one z pod wyjaśnienia zapomocą telepatji? Trzeba by poświęcić studjum ścisłe i specjalne tej ciekawej kwestji. Gdybyśmy bowiem stwierdzili istnienie widziadeł, wówczas w świat, zwany naszym, wkroczyłaby potęga nowa, tłumaczająca dużo spraw dziś niezrozumiałych. Jeśli umarli mogą interwenjować w jednym punkcie, czemużby nie czynili tego w innych? Nie byłibyśmy już sami w naszej, hermetycznie zamkniętej sferze, jak się nam teraz wydaje. Należałoby wówczas zmienić niejedno z praw fizycznych i moralnych, oraz niejedną ideę naszą. Byłoby to objawienie najwyraźniejsze i najprzedziwniejsze od czasu zniknięcia religij pozytywnych i moglibyśmy czekać spokojnie, poprzestając na tem, co wiemy. Ale nie dotarliśmy jeszcze do tego punktu, dowód jest jeszcze w kolebce i niewiadomo, czy ją kiedykolwiek opuści. To jednak pewne, że w obecnej chwili tu się mieści właśnie najbardziej podejrzany punkt wielkiej zagadki, najdziwniejsza szczelina w ścianie naszego świata. Widać przez nią jeno ciemność, jest ciasna i niewyraźna, ale trzeba ją doceniać należycie i nie tracić jej z oczu.

VII.

Owo życie pozgonne, przyznać trzeba, jak je dziś ujmują neospirytyści, wydaje się dużo mniej nieprawdopodobne, od kiedy zaczęliśmy badać zbliska przejawy tej niesłychanej i niezaprzeczalnej potęgi duchowej, jaka się w nas ukrywa. Ponieważ nie jest zależna od naszej myśli, świadomości, ni woli, może być też niezawisłą od naszego życia. Podczas kiedy oddychamy jeszcze powietrzem tej ziemi, przewycięża ona już większość wielkich przeszkód, ograniczających i paraliżujących nam życie. Działa z wielkiej oddali i, rzec można, bez organów. Przenika materję, rozczłonkowuje ją i rekonstruuje nanowo. Zda się, posiada dar wszechobecności, a nie liczy się z czasem, ni przestrzenią. Nie podlega prawu ciężenia i podnosi ciężary, nie będące często w żadnym stosunku do wy-

miernej i realnej siły ciała, które ją wydziela. Wyodrębnia się z tego ciała i oddala odeń, krążąc swobodnie i przybierając substancje i kształty zewnątrz brane. Cóż też dziwnego, że może przez czas jakiś przetrwać ciało, z którym nie jest nierozzerwalnie złączona, jak nasz byt świadomy? Trzeba też dodać, że owo pozgonne życie tej części nas samych, której nie znamy, a która wydaje się niepełną, niekonsekwentną i znikomą, nie decyduje wcale o naszych losach przez wieki bytowania światów. Ale ta kwestja nie zajmuje nas tutaj wcale.

VIII.

Możnaby spytać, czemu nie przyjąć poprostu teorii spirytystycznej, najprostszej, obejmującej wszystko i pochłaniającej zwolna inne, a to tem więcej, że mnóstwo, coraz to liczniejszych faktów przekracza zakres teorii telepatycznej, medjumicznej i psychometrycznej? W istocie jest to teoria prosta, zbyt nawet prosta i jak każde objawienie boskie uwalnia od wysiłku i wszelkich poszukiwań. Możemy jej przeciwstawić jeno hipotezę medjumiczną, która nie obejmuje, co prawda, wszystkiego, ale porusza się przynajmniej w kręgu naszego życia, żyje z nami, na ziemi, w odległości dostrzegalnej i dotykanej dla myśli naszej i badań. Ongiś przypisywaliśmy pioruny, epidemie i trzęsienia ziemi bezwiednie gniewowi Boga. Dziś wielkie choroby zakaźne zostały poznane i wymknęły się z rąk Opatrz-

ności. A chociaż dotąd nie znamy istoty elektryczności i praw, rządzących wstrząsami kosmicznymi, to czekając na ich poznanie, nie szukamy świadectw sprawiedliwości czy złości istoty urojonej. I tutaj musimy tak postąpić.

Nadewszystko należy unikać tłumaczeń, które palą za sobą mosty i zostawiają po drodze mnóstwo rzeczy nieznanych i niezbadanych, z tego powodu, że nie uczyniono wysiłku potrzebnego dla ich poznania. Nie należy odrzucać hipotezy spirytystycznej, ale nie wolno na niej poprzestawać. Lepiej nawet nie zajmować się nią narazie, dopóki nie dostarczy dowodów, gdyż przekraczając brutalnie naszą sferę, winna jest nam dać je. Narazie eliminuje tylko poza grób zjawiska, które zachodzą wyraźnie w nas samych i dodaje jeszcze jedną, zbyteczną niewiadomą i jedną jeszcze nieużyteczną trudność, do niewiadomej medjumicznej, z której wychodzi. Gdyby szło o fakty, nie mające żadnego oparcia w tym świecie, trzebaby spojrzeć w inną stronę, spostrzegamy jednak mnóstwo faktów równie niewytłumaczonych i zbliżonych do tego, co przypisuje się dezinkarnatom, a wiemy, że nie mają z nimi nic wspólnego. Gdy oddziaływanie zmarłych zostanie stwierdzone, ukorzymy się przed tym faktem, taksamo, jak teraz przed

zagadką medjumistyczną. Jest to raczej kwestja porządku i sprawa policji wewnętrznej, oraz metody naukowej, niż kwestja prawdopodobieństwa, obawy, czy wyboru. Nie nadszedł jeszcze czas porzucenia zasad, które sformułowałem gdzieindziej, omawiając sprawę obcowania ze zmarłymi.

Jest rzeczą naturalniejszą zostać u siebie, w swoim świecie, jak długo się da i jak długo nas nie wypędzi armja dowodów nieodpartycho i niezbitych, wychylających się z przepaści sąsiedniej. Życie zagrobne ducha nie jest mniej prawdopodobne, niż cudowne zdolności, jakie przypisujemy medjom, odmawiając ich zmarłym. Wbrew istnieniu duchów, istnienie medjów jest niezaprzeczalne, to też duchy muszą nam dowieść, że istnieją. Zanim się zwrócimy w stronę nieznanego bytowania za grobem, winniśmy zbadać do dna wszystko, co nieznanne na ziemi.

PSYCHOMETRJA

I.

Cóż nam zostanie po odrzuceniu bogów i zmarłych? My sami i życie otaczające nas, a jest to może dość. W każdym razie ogarnąć tego nie jesteśmy w stanie.

Przypatrzmyż się teraz zjawiskom nader podobnym do tych, które przypisujemy zmarłym, a które są równie zdumiewające. Co do ich źródła niema żadnych wątpliwości. Nie pochodzą z drugiego świata, rodzą się i mrą na tej ziemi, a promieniują niezaprzeczalnie i wyłącznie z naszej własnej, żywej podświadomości. Przytem najłatwiej je badać z pośród wszystkich zjawisk psychicznych, oraz kontrolować, gdyż można je powtarzać dowolną ilość razy, a każde, dobre medjum zaprodukuje je wam na żądanie. Nie jest to już obserwacja pełna przeszkód i dorywcza, ale niemal naukowe doświadczenie.

Idzie tu o rozmaite zjawiska intuicji, jasnowidzenia i słyszenia, wizji na odległość, a nawet widzenia przyszłości. Zjawiska te zawisły od czystej i spontanicznej intuicji medjum w stanie hipnozy lub na jawie, albo bywają wywoływane czy ułatwiane zapomocą którejs z metod empirycznych, służących jeno do rozbudzenia podświadomych zdolności danej osoby, czyli, rzecz można, do rozelsniania światła subluminalnego. Zazwyczaj używa się, jak to wiemy, kart, ziarenek kawy, szpilek, chustek, kul kryształowych, astrologji i t. p. sposobów. Nie mają one znaczenia same przez się, a wszystko zawisło od używającego je medjum. W rzeczywistości, — jak powiada świetnie Duchatel — istnieje jedna tylko... manecja... to znaczy zdolność widzenia w czasie, podobnie jak jedyną jest zdolność widzenia w przestrzeni, bez względu na użytą formę, czy metodę zewnętrzną.

Nie zatrzymując się narazie przy tych objawach, kryjących nieraz pod pozorami dziecinami czy pr otackimi rzeczywistość niesłychaną i niezaprzeczalną, rzucimy okiem na serję zjawisk, obejmujących niemal wszystkie inne, zgrupowanych pod nazwą ogólną, zresztą źle wybraną i sformułowaną, psychometriji. Jest to, jak trafnie określił Makswell, zdolność pewnych osób ko-

munikowania się z ludźmi nieznanymi i często bardzo oddalonymi i to albo spontanicznie, albo częściej przy pośrednictwie jakiegoś przedmiotu.

Istnienia tej zdolności nikt już na serjo nie przeczy i każdy, kto chce, może ją stwierdzić sam, gdyż choć nie często spotyka się osoby takie, to nie są one niedostępne. Czyniono już dużo prób i doświadczeń tego rodzaju (między innemi zawierają je sprawozdania Wareolliera w zeszytce lipcowym *Annales des sciences psychiques* z roku 1911), oraz pisano dużo, z pośród którego to materiału wymieniam w pierwszym rzędzie Duchatela: *ENQUETE SUR LE CAS DE PSYCHOMETRIE*, oraz niedawno wydaną książkę dra Osty: *LUCIDITE ET INTUITION*, która jest dziełem najsumienniejszem, najpełniejszem i najwnikliwszem, jakie w tej sprawie posiadamy. Mimo to rzecz można, te nowe terytorja, dołączone do metapsychiki, są bardzo mało zbadane, a badacz dobrej woli może napotkać tam niejedną niepodziankę.

II.

Poznajmyż naprzód na żywym a charakterystycznym przykładzie, w jaki sposób przejawia się ta zdolność, najdziwniejsza z całego zakresu naszej podświadomości, w której należałoby, zda się, szukać klucza przeważnej liczby manifestacyj, pochodzących prawie z innego świata.

Dano w rękę pani M., najlepszemu z medjów tego rodzaju wedle zdania dra Osty, jakiś przedmiot, będący własnością i dotykany przez osobę, o którą chciano pytać. Pani M. działa w hipnozie, ale inne znane medja psychometryczne, jak pani F... pan Ph... pan dr F... i t. d. zachowują, przynajmniej z pozoru, całą świadomość normalną, a hipnoza lub somnambulizm nie są, zda się, warunkiem niezbędnym dla obudzenia tej niezwyklej świadomości.

Gdy dano pani M. do rąk przedmiot, zazwyczaj list, proszono ją, by się połączyła z osobą, która list pisała, lub posiadała dany przedmiot.

Pani M. natychmiast spostrzegła nie tylko daną osobę, jej postać fizyczną, ale opisywała jej charakter, przyzwyczajenia, zatrudnienie i stan zdrowia. Prócz tego, w słowach oderwanych, zmiennych jak obrazy kinematograficzne, opisywała otoczenie tej osoby, krajobraz, pokój, ludzi z jakimi żyła, oraz podawała, która z tych osób życzy jej dobrze lub źle, a wkońcu cechy psychologiczne, najtajniejsze zamiary i najdziwniejsze szczegóły, do nich się odnoszące. Jeśli ją skierować było pytaniem w przeszłość, kreśliła cały tom historii danego przedmiotu czy osoby, jeśli szło o przyszłość, często odgadywała ją z równą pewnością. Tę ostatnią jednak sprawę omówimy osobno, w rozdziale poświęconym poznaniu przyszłości.

III.

W pierwszej zaraz chwili przychodzi tu oczywiście na myśl zadziwiający fakt komunikowania się bezpośrednio dwu podświadomości, ochrzczony mianem telepatji. Nie ulega wątpliwości, że przyczynia się ona w znacznej mierze do wywołania zjawiska. Ale nie zastąpi przykładu osobistego, przeżytego, jeśli idzie o mechanizm tej intuicji. Podaję tu jeden, który nie odznacza się niczem, ale przedstawia dobrze normalny tok postępowania.

Gdym wyjechał w r. 1913 do Elberfeldu, do koni Kralla, żona moja udała się do pani M., dała jej pierwszy lepszy list mój, pisany przed podróżą, nie zawierający o tem wzmianki i spytała, jak się mam i co robię. Pani M. oświadczyła bez chwili wahania, że jestem daleko, w obczyźnie, gdzie mówią językiem dla niej niezrozumiałym.

Ujrzała naprzód podwórze brukowane, ocienione wielkim drzewem, po lewej stronie budynek, w głębi zaś ogród, a opis ten pobieżny odpowiadał w zupełności topografji stajen Kralla, których żona moja nie знаła, a ja nie widziałem jeszcze, pisząc ów list. Potem ujrzała mnie samego pośród koni, które badałem i studjowałem z wielkiem zajęciem, czując niepokój i znużenie. Było to prawdą, bowiem te badania, przepełnione wprost cudownością, natężały mnie do ostatnich granic, wyczerpywały i wytrącały z równowagi. Żona spytała, czy zamierzam kupić te konie. Odparła: — Nie, nie myśli o tem nawet! — Potem szukając słów dla wyrażenia myśli niezwyklej i trudnej do uchwycenia, dodała: — Nie wiem doprawdy, czemu tak go interesują te konie? Nie jest to jego zwyczajem. Nie lubuje się w koniach. Ma jakąś myśl wzniosłą, której dobrze nie widzę...

Popelniła w tej relacji dwie omyłki dość ciekawe. Po pierwsze nie było mnie już w stajni Kralla, w chwili kiedy mnie tam widziała, bowiem działo się to właśnie podczas parugodzinnej przerwy pomiędzy dwoma badaniami. Psychometrowie mylą się w ten sposób dość często. Nie widzą, mówiąc ściśle, samego gestu, w chwili gdy ma miejsce, ale raczej gest nawykowy i co-

dzienny i akt główny, który żywo zajmuje osobę, o której dają wieści, albo osobę pytającą. Mylą się często w czasie. Nie musi tedy zachodzić zawsze równoczesność aktu i wizji i oświadczeń takich brać nie można dosłownie.

Druga omyłka dotyczyła ubrań naszych. Byliśmy obaj z Krallem odziani w zwykłe ubrania miejskie, zaś ona widziała nas w wielkich fartuchach, jakich używają masztalerze, pojąc konie.

Wspomnieć tu należy o nieświadomej sugestji żony mojej. Wiedziała, że jestem w Elberfeldzie, pośród koni, i знаła, lub domyślała się stanu mego umysłu. Przenoszenie myśli jest oczywiście możliwe, ale sam fakt posiada zupełną wypukłość prawdy i nie warto się nad nim zastanawiać.

Istotna zagadka zaczynałaby się wraz z opisem miejsca, którego żona moja nie widziała nigdy, ani również ja, w chwili, gdym pisał list, będący substratem połączenia psychometrycznego. Trzeba przypuścić, że to, co miałem czynić i widzieć, kiedyś było już zgóry zapisane w tym proroczym liście, albo prościej i prawdopodobniej, że ten papier, wyobrażający mnie, starczył sam dla przeniesienia w podświadomość mej żony lub pani M., której jeszcze zresztą nie znałem, dokładnego obrazu tego, na co patrzyły me oczy, oddalone o przestrzeń pięciu czy sześciu

set kilometrów. Można powiedzieć, że ten opis, bardzo zresztą dokładny, był zbyt pobieżny i nie wykluczał możliwości jakiegoś przypadkowego podobieństwa. Nalegając na panią M., żona moja uzyskalaby może więcej szczegółów. Ale nie wiadomo, gdyż zazwyczaj wizje następują po sobie tak szybko, że medjum nie dostrzega szczegółów. Koniec końcem przykład ten nie upoważnia, by wyrzec się wyjaśnienia telepatycznego. Przetoż przeto inny, w którym niema miejsca na żadną sugestję podświadomą.

W kilka dni po opisanym fakcie dostałem z Anglii list z prośbą o autograf. Każdy pisarz bardziej znany dręczony bywa takimi listami, ten atoli był miły, naiwny, ale nie mówił nic o autorze. Nie patrząc nawet, skąd go wysłano, pokazałem list żonie, włożyłem w kopertę i zanieśłem pani M. Zaczęła zaraz opisywać mnie samego i żonę, którzyśmy dotykali listu i przepełnili go swym fluidem. Poprosiłem, by to pominęła i powiedziała coś o autorze listu. Ujrzała niezwłocznie dziewczynkę około lat szesnastu, niemal dziecko jeszcze, po chorobie delikatne, ale zdrowe już. Mieszkała w kraju nie całkiem spokojnym, pośród pięknego ogrodu, w wystawnej willi wiejskiej. Igrała właśnie z wielkim psem kudłatym i długouchym. Poprzez gałęzie lśniło

morze. Wszystkie szczegóły okazały się ścisłemi, był jeno jak zwykle błąd w czasie, gdyż w chwili wizji, dziewczynki ni psa w ogrodzie nie było. I tutaj więc akt zwyczajowy zamaskował gest przypadkowy. Jak powiedzieliśmy już, wizja zgadza się rzadko z rzeczywistością danego momentu.

IV.

Nie jest to wcale przykład wyjątkowy i wybrałem go dlatego tylko, że jest wyrazisty i prosty. Zresztą doświadczenie nabrało już, rzecz można, cech klasycznych, lub przynajmniej byłoby takim, gdyby nie podejrzliwość karygodna, ścigająca każdą manifestację naszej podświadomości. Można je zresztą powtarzać do syta, znamy dość wybitnych psychometrów, a jeśli się do nich zwrócimy, co czynić winien każdy, doświadczenie rzadko zawiedzie.

Dodajmy jeszcze, że doświadczenia takie dadzą się rozszerzać. Pytając medjum, jak czyniłem w podobnych razach, o otoczenie dziewczyny, o charakter ojca, zdrowie matki, upodobania i uczucia braci i sióstr, byłbym zebrał mnóstwo faktów dużo wyrazistszych i lepiej sprecyzowanych, niżli gdybym żył z nią w bli-

skich stosunkach. Ale z drugiej strony przyznać trzeba, że ten materiał trudny byłby do skontrolowania.

Tutaj niema mowy o przenoszeniu myśli, gdyż ani ja, ani medjum nie wiedzieliśmy nic. Także inne, nie trudne do wymyślenia eksperymenty, łatwe do skontrolowania, wykluczać mogą zupełnie tę hipotezę. Włożyłem np. do podwójnych kopert trzy listy, pisane przez moich znajomych i posłałem przez pośrednika, nie wiedzącego nic i nie znającego tych osób, do pani M. Podał jej pierwszy z brzegu list i zadawszy konieczne pytanie, odstenografował odpowiedź. Jasnovidząca opisała najdokładniej autorkę listu i podała nieznane mnie samemu szczegóły z jej życia, które potem stwierdziłem. Tosamo doświadczenie z dwoma pozostałymi listami dało podobny wynik.

Tajemnica ta dopuszcza dwa objaśnienia, równie zdumiewające. Kawalek papieru przepełniony jest fluidem człowieka, który niby skoncentrowany gaz otacza go warstwą ruchliwą, ciągle zmienną, a chwytającą wszystką jego przeszłość, przyszłość, psychologię, zdrowie, pragnienie, zamiary woli, nieznane często, najtajniejsze instynkty, sympatje, antypatje, jaśń i ciemność, słowem całe życie osobnicze, świadome, a pozatem

wszystkie życia wpływy, złe i dobre, tajne i jawne. Tak byłoby musiało wedle przypuszczenia pierwszego. A byłaby to zagadka, większa jeszcze od sprawy wydawania potomstwa, obdarzonego, w kropelce materji, wszystkimi cechami umysłu i serca nieskończonego szeregu pokoleń.

Jeśli zaś tak nie jest, jeśli takiej masy energii nie może człowiek ukryć, by żyła i rozwijała w kawałku papieru, przypuścić musimy, że z samegoż tego papieru promieniuje siła nierozwalna, poprzez czas i przestrzeń, dążąca ku celowi swemu, ku życiu, z którego wzięła życie, łącząca się duszą i ciałem, myślą, uczuciem, przeszłością i przyszłością, świadomością i podświadomością z człowiekiem zagubionym w niezmiernej ciżbie mieszkańców tej ziemi.

To właśnie ściśle dzieje się podczas doświadczeń z medjami piszącymi lub mówiącymi automatycznie, które sądzą, że działają pod inspiracją zmarłych. Tu już jednak nie duch dezinkarnowany, ale jakikolwiek przedmiot, przepełniony żywym fluidem, dokonywa cudu. I to właśnie, zanotujmy mimochodem, zadaje cios dotkliwy teorii spirytystycznej.

Drugie to objaśnienie natrafia na dość poważny zarzut. Jeśli jakiś przedmiot łączy istotnie medjum z osobą nieznaną, w przestrzeni od-

nalezioną, to dlaczego obraz taki nie godzi się nigdy niemal z realną rzeczywistością chwili? Z drugiej strony jasnowidzenie psychometra pobudzane może być przedmiotem, dotkniętym przez osobę, zmarłą od lat całych. Trzebaby więc przypuścić związek żywy i aktywny z istotą nie istniejącą już wcale, z której często, n. p. w wypadku spalenia zwłok, nie zostało już śladu na ziemi; słowem relację ze zmarłym, który żyje dalej w tem miejscu i czasie, gdzie żył i kiedy przepoił przedmiot swym fluidem. Zmarły taki nie wiedziałby chyba, że zmarł.

Nie są to jednak zarzuty tak poważne, jakby się wydawało. Istnieją przedewszystkiem jasnowidze »telepsychiczni«, nie psychometry, obcujący z osobami nieznanymi bez pośrednictwa przedmiotów, a u nich też, jak u psychometrów, wizja rzadko godzi się z rzeczywistością chwili. Dostrzegają oni przedewszystkiem całokształt rzeczy, gest nawykowy i charakterystyczny. W zakresie komunikowania się z osobą, zmarłą od lat, zachodziłyby możliwe dwie ewentualności. Albo niemożliwą byłaby wszelka kontrola, o ile szłoby o zmarłego, nieznanego n. p. żadnej istocie żywej, albo relacja następowałaby nie ze zmarłym, lecz żywym, znającym fakty, które ma kontrolować. Dr Osty powiada też

całkiem słusznie: — Znajdujemy się tedy w warunkach apercypowania przez pośrednika myśli istoty żywej i zmarłej, a doświadczenia takie nie mają żadnej wartości dowodowej dla stwierdzenia realności psychometrii retrospektywnej, i temsamem dla roli przedmiotu, jako aparatu rejestrującego.

Doświadczenia użyteczne pod tym względem musiałyby dopuszczać kontrolę następczą, na podstawie dokumentów, o treści nieznannej żadnej istocie żywej, aż do skończenia seansu z jasnowidzącym. Wówczas dałoby się dowieść, że przedmiot może rejestrować w sposób utajony indywidualności ludzkie, które go dotknęły i że on sam wystarcza do ich rekonstrukcji mentalnej, przy pomocy dotknięcia przez osobę jasnowidzącą i psychometryczną.

V.

Tego rodzaju doświadczenia, wolne od wszelkiej skazy, od wszelkiego zboczenia w kierunku istoty żywej, są oczywiście nader trudne. Jeśli idzie na przykład o zbrodnię, jak w wypadku Cadiou i Riffauta — przyczem zresztą nie obsta je, gdyż fakty nie zostały dostatecznie skontrolowane — gdy idzie o zbrodnię, nasuwa się zawsze przypuszczenie, że medjum odnajduje zwłoki i ustala okoliczności przy bezwiednej i podświadomej pomocy mordercy wówczas nawet, kiedy tenże unika wszelkiego pościgu i podejrzeń. Jeden atoli przypadek, zanotowany z wszystkimi szczegółami i zagwarantowany jak najściślej przez dra Osty w zeszycie kwietniowym ANNALES DES SCIENCES PSYCHIQUES, daje nam doświadczenie, niemożliwe dotąd do zrealizowania. Oto garść faktów:

Dnia 2 marca bieżącego roku w Cours-les-Burres (dep. Cher) wyszedł Stefan Lerasle, starzec 82-letni, z domu syna swego na przechadzkę codzienną i nie wrócił już. Dom ten stał w dużym lesie, należącym do majątności barona Jouberta. Aż do 18 marca szukano daremnie zaginionego, sondowano stawy i moczary, zaś dnia 8 marca przetrząsnęło metodycznie cały las 80 osób, bez żadnego jednakowoż wyniku. Wówczas pełnomocnik barona Jouberta, Ludwik Mirault, zwrócił się do dra Osty i złożył w jego ręce fularową chustkę starca. Doktor zaniósł ją swemu ulubionemu medjum, pani. M... Wiedział tylko, że idzie o starca 82-letniego, nieco przygarbionego i nie ponadto.

Pani M... ujrzała natychmiast zwłoki starca, rozciągnięte na wilgotnej ziemi, w lesie, na trawie nad wodą, zakreślającą łuk, obok czegoś w rodzaju skały. Opisała dokładnie drogę, którą przebył zmarły, budynki, jakie miał, stan jego umysłu, osłabienie starcze, pożądanie śmierci, wygląd fizyczny, nawykowe, charakterystyczne gesty, łaskę, a wkońcu miękką koszulę w białe i czarne paski.

Dokładność opisu wzruszyła i zdziwiła wielce rodzinę zmarłego. Jeden jeno szczegół stropił wszystkich nieco, mianowicie wzmianka o skale, w kraju, gdzie skał nie było. Wszczęto poszuki-

wania wedle wskazówek jasnovidzającej. Ale wszystkie ścieżki leśne podobne były do siebie, a kryjówkę podano tak ogólnikowo, że nie znaleziono zwłok.

Przypadek sprawił, że drugi i trzeci seans z panią M., doszedł do skutku dopiero 30 marca i 6 kwietnia. Za każdym razem podawała ona coraz to ściślejsze szczegóły i to z taką zadziwiającą wyrazistością, że idąc krok za krokiem odnaleziono wreszcie zwłoki, ubrane jak powiedziała, leżące na trawie, w opisanem otoczeniu obok ogromnego pniaka, pokrytego mchem, podobnego całkiem do skały, nad wodą, zakreślającą luk. Dodać należy, że żaden punkt lasu nie łączył tych wszystkich szczegółów.

VI.

Szczegóły zawarte są w skrupulatnej i sumiennej pracy dra Osty, to jednak, co zapamiętałem, wystarczy w pełni do scharakteryzowania tego niezwykłego przypadku.

Mamy przede wszystkim pewność, zda się, niezbłą, iż niema tu mowy o zbrodni. Nikt nie miał najmniejszego interesu w śmierci starca, zwłoki nie wykazywały śladu gwałtu, a nikomu z wmięszanych w sprawę nie przyszło to nawet na myśl. Wszyscy wiedzieli, że umysł miał nadwreżony, że pożył uporeczywie śmierci, a przeto poszedł spokojnie poszukać jej w lesie sąsiednim. Nie było tedy zbrodniarza, czyli nie istniała możliwość relacji subluminalnej medjum z subluminalem, żyjącym na ziemi. Należało przeto przypuścić, że istniała komunikacja ze zmarłym lub też jego podświadomą istotą, która pozostała

przy życiu blisko miesiąc po śmierci, błędząc ciągle po temsamem miejscu. Inaczej musieli byśmy przypuścić, że cały ten dramat przyszedł i to co miał przeżyć starzec, było już nieodwołalnie zawarte i zapisane we faldach malej chusteczki, w chwilach, kiedy ją miał przy sobie.

Wobec przecięcia wszelkiego związku z żywymi w sposób zdecydowany nie widzę innych objaśnień. Oba są równie zdumiewające i oto niespodzianie wkraczamy znowu w sferę czarodziejską i bajeczną, z którą wzięliśmy, zdawało się, raz na zawsze rozbrat. Jeśli nie uznamy teorii chustki, mieszczącej wszystko, to musimy zgodzić się na teorię spirytystów, którzy twierdzą, że dezinkarnaci obcują z nami swobodnie. W przykładzie tym znajdują oni napewne poważny argument. Ale jeden fakt nie starczy dla ustalenia teorii, tembardziej, że tutaj nigdy nie zmilknę w pełni zarzut zbrodni możliwej, której nieistnienia dowieść przecież materialnie nie sposób. Potrzeba tedy jeszcze innych faktów podobnych i decydujących, by zawrócić do tej teorii, porzucając fakty, mające niemal wartość doświadczeń laboratoryjnych, których nie uznają jeno leniacy się stwierdzić je. Tylko te dwie ewentualności mamy tu przed sobą, dwie tylko hipotezy, o których mówiliśmy przed tą dywersją, albowiem nie tu nie

dopuszcza interwencji zmarłych, jak w słowie czy piśmie automatycznym. Nader rzadko są spirytystami wybitni psychometry i nie interesują się dezinkarnatami. Zazwyczaj nie wiedzą nawet, gdzie jest źródło ich intuicji i nie badają jej mechanizmu, ni przyczyn. Dziwnemby było tedy, gdyby, przemawiając w imieniu nieboszczaków, tak systematycznie zapominali o istnieniu tych, od których biorą natchnienie, a z drugiej strony dziwniejszem byłoby jeszcze, by zmarli, w innych okolicznościach tak zazdrośnie rewindykujący swą identyczność, nie skorzystali tu z pomyślnej sposobności stwierdzenia, że istnieją i możliwości ukazania się ludziom.

VII.

Sądzę tedy, że po tymczasowem odsunięciu na bok interwencji zmarłych nie jesteśmy zmuszeni, w przypadkach laboratoryjnych, to znaczy możliwych do powtarzania wedle woli, uciekać się do teorii przedmiotów, obdarzonych życiem, reprezentujących w pełni, bez zastrzeżeń i niewyczerpalnie, poprzez wszystkie przeciwności czasu i przestrzeni, każdego, kto je trzymał w rękę przez minutę. Nie zapominajmyż bowiem, że wedle tej teorii jeden przedmiot odzwierciedlał będzie i reprezentował za pośrednictwem medjum tyle odrębnych i pełnych osobowości, ile razy został dotknięty przez różnych ludzi. Osobowości te nie zostaną nigdy pomieszane, ani nie popadną ze sobą w zatarg, ale pozostaną zawsze jedna na drugiej, niezawisłe i ostro zarysowane, a wedle formuły dra Osty, przedmiot

wyrażać może każdą w pełni, jakby się znajdował w relacji z indywidualnością oddaloną.

Wszystko to czyni tę hipotezę dość nieprawdopodobną, a nawet mniej dopuszczalną od innych, których kanty cudowności starte zostały przez używanie. Niemal wszędzie odnajdujemy w przyrodzie ów dar cudowny magazynowania w niewidzialnem niewyczerpanych zasobów energii, śladów wspomnień czy odcisków niezatartych. Nic w tym świecie nie zetraca się, nie ginie, nie ustaje, nie traci bytu, ale go zachowuje i żyje ciągle dalej. Czyż trzeba przypominać fakty pokrewne, nieustanną emisję obrazów światłoczułej płyty, drgania dźwiękowe, skupione w krążku gramofonu, fale herzowskie, nie tracące siły w przestrzeni, tajemnicę ziarna, słowem niewytłumaczalność wszystkiego niemal, co nas otacza?

VIII.

Gdybym miał wybierać, przyjąłbym poprostu dla większości przypadków laboratoryjnych teorię, wedle której przedmiot dotknięty służyłby tylko do odnalezienia wśród ciżby istot tropu tego człowieka, który go przepoił fluidem swoim. — Przedmiot ten — powiada dr Osty — pozwalałby jeno sensytywnej osobie wyróżnić siłę określoną z pośród bezmiaru sił, uderzających na nią! — Coraz to wyraźniej spostrzegamy, że będąc komórkami olbrzymiego organizmu, złączeni jesteśmy z całokształtem życia siecią fal, niemożliwych do rczwikłania, wibracyj, wpływów, prądów-fluidów nienazwalnych, niezliczonych i nieustanie działających. Zawsze niemal, u wszystkich ludzi, to co przynoszą owe nici niewidzialne, spada w ciemną nieświadomości i mija niedostrzeżone, co nie znaczy jeszcze, by było nie-

aktywne. Czasem jednak, w wyjątkowych okolicznościach, jak np. tu, pod wpływem doskonałego medjum, drganie nagle i niezaprzeczalna akcja jednej z tych nici objawia nam istnienie sieci nieskończonej. Ideje analogiczne, choć w zakresie skromniejszym i świecie bardziej zacieśnionym, znajduję w medjumicznym niemal odnajdywaniu śladu przez psa, który powąchał jakiś przedmiot. Jest to rzecz prawdopodobna, choć niedość jeszcze dobrze ustalona. Pies jest ciągle otoczony woniami i dymami rozmaitemi, które go nie wytrącają ze stanu obojętności, aż do chwili, kiedy jeden z tych blakających się wyziewów obudzi jego baczność. Wyróżniać go dopiero musi z chaosu. Ślad ten zda się ożywiać, wibruje jak struna tymsamym tonem, co pożądanego zwierzęcia, nabiera siły, staje się nieodpornym i po niezliczonych zawrotach pociąga je ku celowi.

W »korespondencji zbiorowej« mamy nowy przejaw istnienia tej sieci tajemnej. Dwa czy trzy medja, nieznane sobie wzajem, przedzielone kontynentami i morzami, nie wiedzące gdzie jest istota, która ma uzupełnić ich myśl, piszą każde z osobna fragment zdania, który, jako taki, nie ma żadnego znaczenia. Po złączeniu tych kawałków okazuje się jednak, że odpowiadają so-

bie doskonale i nabierają sensu zrozumiałego i głębokiego. Mamy tu do czynienia z tą samą siłą medjumiczną, która pozwala odnaleźć, pośród milionów innych, określoną siłę, błędzącą w przestrzeni. Spirytyści twierdzą, co prawda, że wszelkie doświadczenie jest zorganizowane i kierowane przez inteligencję bezcielesną, niezawisłą od medjum, która w ten sposób stwierdza swe istnienie i swoją identyczność. Nie odrzucając tej teorii, nadającej się nawet może do dyskusji, poprzestaniemy narazie na stwierdzeniu, że ponieważ w psychometrii rzecz obywat się bez duchów, niema potrzeby przypisywać dezinkarnatom znaczenia, gdy idzie o »korespondencję zbiorową«.

IX.

Gdzież jednak tkwi ta siła? Czy w nas się skrywa, czy w medjum? Według dra Osty osoby jasnowidzące są to zwierciadła, odbijają myśli intuitywne, utajone w każdym z nas. Innymi słowy, my jesteśmy jasnowidzami i trzeba nam tylko objawić własne jasnowidzenie. Misją ich jest tedy jeno rozruszać, obudzić, zgalwanizować i rozświetlić tajnie naszej podświadomości, by wyszły na powierzchnię życia normalnego. Oddziaływują może na czarne wnętrza nasze, podobnie jak w ciemni fotografa działają kąpiele na czule płyty. Jestem przekonany, że teoria ta jest słuszna, o ile dotyczy właściwej intuicji i jasnowidzenia, to znaczy w przypadkach, gdy się znajdujemy wobec medjum, w mniej czy więcej bezpośrednim z niem kontakcie. Czy jednak to samo odnosi się do psychometrii? Czyż

znamy wszystko, co zawiera przedmiot, a co medjum, które to odkrywa w przedmiocie, nawet niezależnie od człowieka, co go przyniósł? Otrzymujemy np. list od osoby nieznanej, list ten wsiąknął, niby gąbka, całe życie, a zwłaszcza życie podświadome autora. Czyż wyrzuca on całą swą zawartość w naszą podświadomość? Czy dowiadujemy się od razu wszystkiego o piszącym, jakby stał przed nami żywy i to z duszą obnażoną? Czyż, dalej, nie wiemy o tem, co wiemy, dopóki nam tego nie objawi interwencja medjum?

Jest to jeno przesunięcie kwestji. Czy medjum odkrywa rzeczy nieznane w przedmiocie, czy ja to czynię w przestrzeni i czasie, zagadka staje się tem rozleglejszą, ale pozostaje równie ciemną. A jednak ciekawem byłoby dowiedzieć się, czy idzie o zdolności ogólne, utajone w każdym człowieku, czy o przywilej niepojęty, zarezerwowany dla wyjątkowych istot. Jest w tem korzyść, gdy odsuwamy na bok, skoro tylko można, wszelaki wyjątek. Wyjątek, to luk nieukończonego mostu, zawieszony nad przepaścią, nie wiodący nigdzie. Uświadamiam sobie, że konieczne pośrednictwo medjum zmusza przyznać mu, mimo wszystko, zdolności anormalne, ale z wolna redukujemy w sposób wydatny jego potęgę oraz

zakres władzy i dosiegamy szybciej i łatwiej zwykłych praw wielkiej tajemnicy ludzkiej, do której należy zawracać ciągle i wszystko do niej sprowadzać. Doświadczenie nie dopuszcza jednak takiego uogólnienia. Idzie tu wyraźnie o zdolność specjalną, właściwą medjum, której obcą jest zupełnie nasza utajona intuicja. Łatwo się o tem przekonać, postępując, jak to uczyniłem we wspomnianym wyżej eksperymencie, to jest dając medjum przez pośrednika list w potrójnej kopercie znanego nam autora, o którym, tak samo jak o treści pisma, pośrednik nic nie wie. Te anormalne okoliczności, gdzie przeciętą jest wszelka relacja podświadoma pomiędzy konsultantem a żądającym konsultacji, nie mąci wcale jasnowidzenia i przekonywamy się, że to medjum samo odnajduje, wprost, bez jakiegokolwiek pośrednictwa, bez żadnego »relais«, jak to nazywa Duchatel, wszystko co zawiera przedmiot. Nie ulega tedy wątpliwości, że w psychometrii co najmniej tkwi coś więcej, niż proste tylko zwierciadło, o którym mówi dr Osty.

X.

Po raz ostatni stwierdzam, że zjawiska psychometryczne, jakkolwiek dziwne w pierwszej chwili, są znane, udowodnione, stałe i nie ulegają kwestji dla nikogo, kto się niemi zajmował na serjo. Mógłbym tu zamieścić wielką ilość doświadczeń dowodowych, ale jest to równie bezużyteczne i nudne, jak wymienianie np. reakcyj klasycznych, otrzymanych w pracowni chemicznej. Kto chce, może się upewnić, idzie tylko o wybór medjum prawdziwego, gdyż fałszywi »jasnowidze« grasują w tych regionach z wielkiem upodobaniem. Jednak nawet z najlepszymi strzec się należy bezwiednej ignorancji i mimowolnej, trudnej do uniknienia telepatji, która stanowi dziedzinę ciekawą, ale odrębną i dużo mniej zdumiewającą od czystej psychometrii. Trzeba się także nauczyć zadawać medjom pytania i nie mówić niekonsekwentnie, obłudnie, pytając o rzeczy przypadkowe, albo mające nastą-

pić. Pamiętać winniśmy, że, — jak powiada trafnie dr Osty, — jasnowidzenie jest ściśle określone granicą percepcji ludzkiej osobowości. Czyniono próby z zębami zwierząt kopalnych, a medja roztaczały obrazy z czasów pierwotnego bytowania ziemi, także za dotknięciem klejnotu opowiadały z dziwną precyzją o wspaniałych uroczystościach Grecji, zupełnie jakby przedmioty te zachowywały wieczystą pamięć, lub były »kliszami astralnymi« wszystkich wydarzeń, jakie przeżywały. Ale łatwo spostrzec, że kwestje takie uniemożliwiają wprost należytą kontrolę i dają dużo pola bezwiednej telepatji. Trzeba się tedy trzymać tego tylko, co można sprawdzić.

Ograniczywszy swe terytorjum, badacz natrafi i tak na mnóstwo niespodzianek. Rewelacje dwu psychometrów, którym powierzamy kolejno tensam list, godzą się zazwyczaj w głównych zarysach, ale czasem jeden dostrzeżę to, co dotyczy samego autora, drugi zaś zwróci uwagę przede wszystkim na adresata, albo osobę trzecią, obecną w pokoju w czasie pisania listu. Dobrze jest ubezpieczyć się przeciw tym początkowym nieporozumieniom, które zresztą często, tam właśnie, gdzie jest możliwa ścisła kontrola, potwierdzają jeno tembardziej istnienie i niezawisłość tej zdumiewającej zdolności.

XI.

Przyznaję, że teorje, usiłujące ją wyjaśnić, są dotąd bardzo mgliste. Dziś głównie idzie o zebranie wielkiej ilości faktów i doświadczeń, które będą kroczyły coraz dalej, omackiem po drogach nieznanych. To, co wiemy dotąd, rozwiera już niejedną niespodziewaną furtkę, przez którą pada światło, rozjaśniające charakter i nawyki naszej istoty tajemnej. Starczy tego światła, by nas zaciekać na długo. Znowu jesteśmy bliscy wiary we wszechwiedzę naszego gościa nieznanego, który stoi może u podnóża tajemniczego zbiornika wszelakiej świadomości, gdzie go zastaniemy, gdy będziemy pytać o przyszłość, mówiące zwierzęta, różdżki czarodziejskie, materjalizacje, cuda, słowem tam, gdzie przekraczamy ciasny widnokrąg naszego małego życia codziennego. Krocząc tak zwolna, a rozważnie,

przez pusty jeszcze i mglisty rozłóg metapsychiki czujemy, że musi gdzieś istnieć miejsce na tym, czy innym świecie, gdzie się wszystko wie może, dokąd wszystko zdąża, skąd płynie i gdzie dostęp wolny wszystkim. Tylko zapomnieliśmy drogi, jak zbłąkane dzieci i musimy jej szukać. Trudną tą drogą idziemy, ucząc się i rozmawiając ciągle o miejscu, w które spływają wszystkie, nadprzyrodzone fakty życia, o ile stamtąd nie biorą początku. Narazie winniśmy zwrócić uwagę na czysto ludzki charakter zjawisk psychometrycznych. Zachodzą one pomiędzy żywymi, na naszej, twardej ziemi, w świecie, który mamy przed oczyma, a któremu obce i dalekie są wszelakie duchy, zmarli, bogowie i intelekty śródgwiezdne. Ten czysty charakter, specyficzny, rzecz można, odnajdujemy także jeszcze w równie zdumiewających zjawiskach różdżki czarodziejskiej i niektórych objawach materjalizacji. Jest to nauka nader cenna. Przekonywamy się, że w naszym własnym życiu zdarzają się codziennie rzeczy ściśle tegosamiego rodzaju i tejże samej natury jak te, które w innym razie przypisujemy siłom odmiennym od sił naszych. Uczymy się także, że należy naprzd zbadać wszystko dobrze na ziemi, zanim skierujemy oczy na drugi świat, gdyż w pierw-

szej linji należy uprościć objaśnianie, nie zaś szukać w przypuszczeniach tego, co tkwi prawdopodobnie w nas samych. Jeśli i potem nie przestanie nam dokuczać to, co nieznane, jeśli nie błyśnie nam nadzieja z ciemni, to wówczas będzie dość czasu zwrócić się gdzieś, ku bogom czy zmarłym.

POZNANIE PRZYSZŁOŚCI

I.

KIEDYM w roku 1913 kreślił te kartki, nikt nie przeczuwał i nie przepowiadał wiszącej nad światem wojny. Parę jest jeno proroctw autentycznych i możliwych do przyjęcia, które roztrząsam w osobnym rozdziale książki »*Debris de la guerre*«, posiadają one jednak cechy pobieżności, nie mają znaczenia i są niepewne. Coprawda na jakiś czas przed wojną odnajdywali jasnowidze zawodowi w ludziach, zasięgających ich rady, coś jakby epidemiczną skłonność do śmiertelności indywidualnej, z czego nie mogli sobie zdać sprawy.

Na samym początku tego stadjum, podkreślałam jednak lojalnie, nie została zgoła przepowiedziana największa klęska, jaka za pamięci ludzkiej zniszczyła ziemię, mimo że spaść miała na głowy miljonów ludzi. Tutaj znajdujemy też

stwierdzenie owej zasady, której w braku czegoś lepszego trzymać się narazie będziemy, że poznanie przyszłości jest zawsze niemal uludą, o ile nie tyczy faktu czysto osobistego i bardzo bliskiego.

II.

Kwestja premonicyj i prekognicyj wiedzie nas w dziedzinę jeszcze bardziej tajemniczą niż psychometria, tam, gdzie tkwi napół wychylony z denerwującej nas ciemni niejasny problem poznania przyszłości, budzący najwyższe bodaj pożądania człowieka. Studjum całkiem świeże na ten temat Ernesta Bazzano p. t. *DES PHÉNOMÈNES PRÉMONITOIRES* jest, o ile wiem, najlepszą i najbardziej wyczerpującą pracą w tym kierunku. Korzystając ze studjów uprzednich, zwłaszcza Sindwicka i Myersa ¹⁾, dołącza do nich wyniki badań własnych i wyodrębnia z tysięcy sto sześćdziesiąt wypadków, nie dlatego, by gardził innemi, ale z powodu, że nie chce przekraczać nadmiarę zakresu normalnej monografji.

Zaczyna od tego, że wyłącza starannie wszyst-

¹⁾ PROCEEDINGS tom V i XI.

kie epizody, kryjące pod osłoną premonicji to, co dałoby się wyjaśnić autosugestją, telepatją, oraz jasnowidzeniem. Tu zalicza przeczucie śmierci przy chorobie utajonej, przeczucie przybycia jakiejś osoby czy listu u osób sensytywnych, lub odnajdywanie zagubionego przedmiotu, rzadkiej rośliny, owadu, a wreszcie wizje miejsc nieznanych, gdzie się jeszcze nie było.

Nie idzie tu o przyszłość w ścisłym znaczeniu, ale o teraźniejszość, dotąd nieznaną jeszcze. Taka świadomość fragmentu przyszłości, jasna i niewątpliwa, zredukowana i wolna od wszelkich wpływów i obcych dodatków, zdarza się częściej, niżby można sądzić i poważną jest liczba przypadków, gdzie nie sposób mówić o niezwykłym zbiegu okoliczności, czy dziwnym trafie. Wszystko, nawet niedowierzanie, musi mieć granice, gdyż inaczej wykluczyćby trzeba wszelkie badanie historyczne, oraz przeważną liczbę prac naukowych uznać za niemożliwe. Ta uwaga dotyczy zarówno istoty faktów, o które idzie, jak też i ich autentyczności. Można podejrzewać każde zeznanie i przeczyć każdemu dowodowi słownemu czy pisemnemu, ale w takim razie trzeba zrezygnować z wszelkich pewników i z tych gałęzi wiedzy, które wykraczają poza eksperyment laboratoryjny albo formułę matematyczną, to

znaczy wyzbyć się trzech czwartych problemów interesujących nas najbardziej. Pamiętajmyż, że fakty zebrane przez SOCIETY FOR PSYCHICAL RESEARCH, oraz Ernesta Bazzano, są to rzeczy z pierwszej ręki i że odrzucono tu i tam bez liłości wszystko, czego zeznający nie widzieli sami bezpośrednio. Ponadto kilka z tych zeznań posiada charakter obserwacji ściśle naukowej, co do innych zaś uznamy chyba, poznaawszy sytuację i stwierdzając okoliczności, że lepiej i rozsądniej jest dać im wiarę, niż odrzucać *a priori* świadectwo każdego, komu się przydarzy coś niezwykłego, uważając to za kłamstwo, halucynację, lub żart.

III.

Nie damy tu krótkiej nawet analizy najważniejszych faktów, wymagającej setek stronic, by nie zmienić charakteru niniejszego studjum, które zakłada u czytelnika z góry znajomość badanego materiału. Ktoby się z nim chciał zapoznać osobiście, może sięgnąć do podanych a dostępnych źródeł. By scharakteryzować ten ważny problem tym, którzy nie tkną źródeł oryginalnych, starczy tu naszkicować kilka czołowych, rzecz można, faktów, z pośród najlepiej stwierdzonych, zaznaczając, że nie wszystkie posiadają tężesamą wartość, gdyż w takim razie kwestja byłaby rozstrzygnięta. Niektóre zrazu olśniewają swą treścią i bezwzględną autentycznością, nie mają jednak po bliższem zbadaniu realnego charakteru poznawczego przyszłości i dadzą się objaśnić inaczej. Oto jeden z takich

faktów, zaczerpnięty, tytułem przykładu, z książki Dra Teste p. t.: MANUEL PRATIQUE DU MAGNETISME ANIMAL.

Dnia 8 maja Dr. Teste wprowadza w stan somnambulizmu panią Hortensję M., w obecności męża. Uspiona oświadcza niezwłocznie, że od dwu tygodni zaszła w ciążę, nie porodzi w terminie właściwym, że będzie się czegoś bała w dniu 12 maja i w istocie, skutkiem upadnięcia, poroni. Dodaje, że 12 maja, o pół do czwartej dozna przestachu, że przez ośm minut będzie bezprzytomna, poczem rozwinie się choroba, którą opisuje dzień po dniu, zakończona obłąkaniem, z którego zostanie uleczona.

Po obudzeniu nie pamiętała niczego. Zatajono przed nią co mówiła, a Dr. Teste zakomunikował Drowi Amadeuszowi Latour poczynione przez siebie notatki. Dnia 12 maja poszedł znowu do państwa M., których zastał przy stole i uspił panią domu, ona zaś powtórzyła słowo w słowo to, co zeznawała przed czterema dniami. Zbudzono ją. Nadeszła niebezpieczna godzina. Przedsięwzięto wszelkie ostrożności, zamknięto nawet okiennice, a pani M. zaniepokojona tem spytała, co znaczą owe przygotowania. Wybiło wpół do czwartej. Pani M. wstała z kanapy, chcąc wyjść, ale mąż i lekarz zaoponowali. — Cóż to zna-

czy? — spytała — Muszę wyjść koniecznie! — Nie, proszę pani, niech pani nie wychodzi! — odparł lekarz — Idzie o zdrowie! — Jeśli tak, doktorze, to właśnie wyjść muszę! — powiedziała śmiejąc się. Motyw był zgola nieodparty, ale mąż, chcąc walczyć do końca z przeznaczeniem, oświadczył, że z nią pójdzie. Lekarz został sam, zaniepokojony i rozczarowany trochę trywjalnością całej przygody, gdy nagle posłyszał krzyk i łoskot upadającego ciała. Wybiegłszy, zastał panią M. bezprzytomną i umierającą niemal w objęciach męża. W chwili, kiedy opuszczając go na moment, otwarła drzwi wiadomego miejsca, skoczył na nią szczur, którego tam od lat dwudziestu nie widziano i tak przestraszył, że padła na wznak. Reszta proroctwa spełniła się z godziny na godzinę, z wszystkimi szczegółami i zupełnie dosłownie.

VI.

Celem jasnego zakreslenia rozmiaru, w jakim podejmuję to studjum i usunięcia podejrzeń o łatwowierność ślepą, czy systematyczną — oświadczam odrazu, że fakty tego rodzaju nie mają dla mnie mocy przekonywującej. Wszystko mogło się odbyć w podświadomej wyobraźni danej osoby, może sama wytworzyła autosugestją swą chorobę, przestach, upadek, poronienie i przystosowała się sama do okoliczności, jakie przepowiedziała w swym stanie anormalnym. Tylko zjawienie się szczura w decydującym momencie, świadczyłoby o wizji jasnej i przedziwnej zdarzenia przyszłego, nieuniknionego. Niestety, nie wiemy, czy szczura widział ktoś jeszcze poza panią M. Niema na to świadków, toteż mogła go ujrzeć również w wyobraźni. Przykład ten, niezupełnie sam przez się wystarczający,

wziąłem przeto po to, by scharakteryzować wartość takich faktów wogóle, by zaznaczyć raz na zawsze, jakie można im czynić zarzuty, oraz podkreślić środki ostrożności, konieczne w wędrówce po tych krainach podejrzanym i ciemnym.

Weźmy jednak fakt daleko więcej znaczący, nie dający pola do dyskusji, podany przez Dra. Maxwella, uczonego i sumiennego autora pracy: PHÉNOMÈNES PSYCHIQUES. Idzie tu o wizję, poprzedzającą zdarzenie o tydzień, o czym zawiadomił on wiele osób przed ziszczeniem się przepowiedni. Pewna osoba »sensytywna«, jak ją zwał Angliacy, ujrzała w kuli kryształowej taką scenę: Po pełnem morzu płynie wielki steamer, o fladze trójbarwnej w pasy poziome, czarno-biało-czerwone, z wypisaną nazwą *Leutschland*. Nagle para otacza statek, marynarze i podróżni wybiegają na pokład, a statek tonie.

W tydzień później doniosły dzienniki o katastrofie okrętu *Deutschland*, wywołanej pęknięciem kotła.

Niema się co zastanawiać nad wartością świadectwa Dra Maxwella, dla którego autentyczność była tu kwestją wprost osobistą. Mamy więc jasną i niezbitą przepowiednię zdarzenia, które przytem, rzecz dziwna, a zdarza się dość często,

nie nie obchodzi jasnowidza. Omyłka w odczytaniu: *Leutschland* miast *Deutschland* tak naturalna i realna, podnosi jeszcze prawdopodobieństwo i autentyczność zjawiska. Odnosnie zaś do zatonienia, które było jeno wypadkiem, zaznaczyć należy wraz z Drem I. W. Pickeringiem i W. A. Sadgrove, że mamy tu przypadek dramatyzowania podświadomego i subliminalnej (podświetlonej, możnaby powiedzieć — przyp. tł.) wiedzy percypjenta (osoby apercepującej — przyp. tł.). Takie dramatyzowanie, instynktowne niemal, zawsze występuje w wizjach tego rodzaju.

Przypadek ten nie miałby znaczenia decydującego, gdyby był jedynym, ale Dr. Maxwell stwierdza, że tażsama osoba sensytywna miała kilka innych, ciekawych wizyj, zbliżonych do tych, jakie obserwował gdzieindziej, oraz gdyby nie świadectwa z pierwszej ręki, tak że hipoteza koincydencji wydaje się tu bardzo mało prawdopodobną, chociaż jej wykluczyć nie można¹⁾.

¹⁾ I. Maxwell: LES PHÉNOMÈNES PSYCHIQUES, str. 182.

V.

Th. Flournoy, profesor uniwersytetu genewskiego, podaje w swem wybitnem dziele: *ESPRITS & MEDJUMS* inny przypadek, bardziej jeszcze może przekonywujący i ściślej stwierdzony, który wykłucza lepiej hipotezę koincydencji, godną zresztą uwagi. Flournoy jest, jak wiadomo, badaczem ścisłym i teoretykiem sceptycznie usposobionym do problemów metafizycznych. Posuwa się nieraz nawet zbyt daleko w zapale objaśnień naturalnych i odrazie do interwencji sił pozaludzkich. Podaję tu w skrócie wydarzenie, jakie opisuje szczegółowo na stronach 348 do 362 wzmiankowanej książki.

Niejaka pani Buscorelet, znana mi osobiście, wróciła w sierpniu 1883 roku do Genewy z Kazania, gdzie była przez trzy lata nauczycielką

dwu dziewcząt u rodziny Moracjewów. Korespondowała z tą rodziną dalej, a także z niejaką panną Nizcynow, kierowniczką instytutu naukowego w Kazaniu, gdzie wstąpiły panny Moracjew po odjeździe nauczycielki swojej.

W nocy z 9 na 10 grudnia (starego stylu) tegoż roku miała pani Buscorelet sen, o którym doniosła zaraz rano pani Moracjew, listem z dnia 10 grudnia. Oto wierny tekst:— Pani i ja szliśmy drogą przez wieś, nagle wyprzedził nas powóz, z którego ktoś zawołał. Podszedłszy do powozu, ujrzaliśmy pannę Olę Popow, leżącą wpoprzek na poduszkach, ubraną białą, w czepku z żółtymi wstążkami. Powiedziała nam: — Zawolałam was, by powiedzieć, że pani Niczynow opuści instytut dnia 17 tego miesiąca. Potem powóz odjechał.

W tydzień później, na trzy dni przed nadejściem listu do Kazania, przepowiednia senna ziściła się w sposób tragiczny. Dnia 16 zmarła pani Niczynow na zaraźliwą chorobę, a zwłoki jej wywieziono, przez ostrożność, z instytutu zaraz nazajutrz.

Należy dodać, że zarówno list pani Buscorelet, jak odpowiedź z Rosji, wręczone prof. Flournoy, mają pieczęcie pocztowe z temiż samemi datami. Takie sny wróżebne zdarzają się często,

natomiast takie okoliczności, a zwłaszcza list poprzedzający ich spełnienie, podkreślają rzadko w sposób równie dokładny ich autentyczność.

Zwróćmyż uwagę na dziwaczny charakter tej wróżby, zgodny zresztą z nawyczkami naszego gościa nieznanego. Oznacza on ściśle datę, natomiast w sposób mglisty i zagadkowy (owa dama wpoprzek powozu, biało ubrana) przedstawia istotną treść przepowiedni, to znaczy chorobę i śmierć.

Czy mamy tu koincydencję, czystą i jasną wizję przyszłości, czy też obraz tejże przyszłości sugerowany telepatycznie? Jak wszędzie, można i tu przyjąć w zasadzie teorię koincydencji, ale wygląda to dziwnie. Uznając wpływ telepatyczny, trzeba by przypuścić, że pani Niczynow miała dnia 9 grudnia, to jest na tydzień przed śmiercią, podświadome przeczucie, że umrze i że posłała to przeczucie osobie niemal obojętnej sobie, z Kazania do Genewy, przez przestrzeń tysiąca blisko mil.

Jest to sprawa dość zawikłana, ale możliwa, gdyż telepatja miewa fantazje dziwaczniejsze jeszcze. W tym wypadku, wobec choroby utajonej, czy nawet autosugestji tejże choroby, mielibyśmy niepełny wprawdzie, mniej wyrazisty, niemniej jednak istotny dowód preegzystencji przyszłości.

VI.

Przejdźmy do innych przykładów. Z wyśmienitego studjum Pickeringa i Sandgrowa pod tytułem: L'IMPORTANCE DES PRÉCONGNITIONS, w lutowym zeszycie (z r. 1908) ANNALES DES SCIENCES PSYCHIQUES, biorę streszczenie doświadczenia pani W. Verral (PROCEEDINGS, tom XX) znakomitej automatystki, której korespondencja zbiorowa zajmuje cały tom PROCEEDINGS. Nie sposób kwestjonować jej szczerości, dobrej wiary i ścisłości naukowej. Zaliczaną też bywa do najczynniejszych członków SOCIETY FOR PSYCHICAL RESEARCH.

Otóż dnia 11 maja 1901 r., o godzinie 11 i 10 minut napisała pani W. Verral automatycznie co następuje:

»Do not hurry. Dat this hoc est quod volui, tandem δικαιούνη και χαρὰ συμφωνεί συνετοῖσιν A. W. V.

Καὶ ἀλλῶ τι τὸ ἴσως. Calx pedibus inhaerens difficultatem superavit. Magnopere adiuvans persectando semper. Nomen inscribere iam possum sic en tibi ¹⁾.

Pod napisem widać było rysunek humorystyczny, z wyobrażeniem chodzącego ptaka.

Ponieważ ubiegłej nocy zaszły podobno »dziwne rzeczy« w dwu pokojach Londynu, dwaj eksperymentatorzy postanowili spędzić tam noc bieżącą. Celem stwierdzenia śladów jakiegokolwiek intruza posypano podłogę mialką kredą. Pani Verral nie wiedziała o niczem. Fenomeny zaczęły się o północy, 43 minut, a skończyły o 2 i 9 minut nad ranem. Stwierdzono na kredzie ślady wyraźne stóp ptasich, trzy w pokoju po lewej, pięć po prawej stronie. Znaki były identyczne, na $\frac{3}{4}$ stopy szerokie, a zostawić je mógł ptak wielkości indyka. Ślady te wystąpiły dopiero o 2 minut 30 nad ranem, a niewytłumaczone fenomeny zaczęły się o dwunastej 43 mi-

¹⁾ Ksenoglosja, to rzecz częsta w piśmie automatycznym. Często automatysta używa języków nieznanym sobie. To co powyż widzimy, znaczy: »Nie spiesz się. Daj datę. Tego właśnie chciałem. Sprawiedliwość i radość winny rzec coś mędrcom, A. W. V., a może też i innym także. Kreda przywarta do stóp przezwy ciężła trudności. Pomagasz dzielnie swą wytrwałością. Teraz mogę napisać ci imię w ten sposób.

nut. Słowa, dotyczące kredy przywartej do stóp, napisała tedy pani Verral na godzinę i 33 minuty przed zajściem faktu.

Osoby czuwające w obu pokojach oświadczyły Piddingtonowi, członkowi rady SOCIETY FOR PSYCHICAL RESEARCH, że nie przeczuwały zgoła tego, co odkryją.

Nie trzeba chyba dodawać, że pani Verral nie dowiedziała się nigdy, co zaszło owej nocy w tem mieszkaniu, a osoby kontrolujące nie miały wogóle pojęcia o istnieniu pani Verral.

Jest to bardzo interesująca wróżba zdarzenia, drobnego zresztą, jakie zająć miało w nieznanym domu, skierowana do ludzi nieznanym wróżbitce. Może była to, jak chcą spirytyści, triumfujący tu nie bez racji, sprawka ducha, który zorganizował, chcąc stwierdzić swe istnienie i jasnowidztwo, tę małą scenę, w której przeszłość, teraźniejszość i przyszłość pomieszały się ze sobą? Może też podświadomość pani Verral błędziła tak omackiem po krainie przyszłości? W każdym jednak razie nie ulega kwestji, że rzadko występuje ten problem w postaci tak bardzo zdumiewającej.

VII.

Warto się teraz zapoznać z innym snem wróżebnym, czy proroczym, stwierdzonym ściśle przez komisję PROCEEDINGS¹⁾. Pani Aneta Jones, żona handlarza tytoniem z ulicy *Old Gravel Lane* (East London), której zachorowało dziecko, śniła w początkach września, że przed jej mieszkaniem zatrzymał się karawan z trzema trumienkami. Dwie były białe, a trzecia jasno-błękitna i największa ze wszystkich. Woźnica wziął większą z białych trumienek, położył u jej stóp, a potem odjechał z dwoma pozostałymi. Pani Jones opowiedziała sen mężowi i jednej z sąsiadek, podkreślając zwłaszcza jasno-błękitną barwę trzeciej trumienki.

Dnia 10 września przyjaciółka pani Jones

¹⁾ Tom XI. str. 493.

wydala na świat dziecko, które zmarło 29 tegoż miesiąca. Następnego poniedziałku, dnia 2 października zmarł również synek pani Jones. Postanowiono pochować dzieci jednocześnie. Rankiem obranego na pogrzeb dnia, oświadczył Jonesom pastor, że w sąsiedztwie zmarło jeszcze trzecie dziecko, przeto zostanie zaniezione do kościoła razem z dwojgiem poprzednich. Pani Jones powiedziała do męża: — Trumienki dziecka naszego i dziecka przyjaciółki są białe, jeśli tedy trzecia będzie jasno-błękitna, uznam to za sprawdzenie się proroctwa! — I w samej rzeczy, trzecia trumienka była błękitna. Przytem wielkość trumien odpowiadała zupełnie wizji sennej. Pierwsza zawierała zwłoki dziecka najwcześniej zmarłego, druga mieściła szesnastomiesięcznego synka Jonesów, a trzecia, największa, błękitna, dziecko sześciolatek.

Weźmyż teraz pierwszy z brzegu przykład z niewyczerpanych Proceedings¹⁾. Zdarzenie to, zanotowane przez Dra Alfreda Coopera, opiera się na świadectwie księżnej Hamilton, księcia Manchesteru, oraz jednego jeszcze arystokraty, któremu księżna opowiedziała wróżbę przed jej ziszczeniem.

¹⁾ Tom XI, str. 505.

— Dwa tygodnie przed śmiercią hrabiego L. — opowiada Dr. Cooper — udałem się w charakterze lekarza do księcia Hamiltona. Po konsultacji przeszliśmy do salonu, gdzie była księżna, a książe spytał mnie, jak się ma hrabia. — Jaki hrabia? — zawołała księżna, a ja odparłem, że idzie o hrabiego L. — To dziwne, — rzekła po chwili — ale miałam wczoraj wstrząsające widzenie. Dopiero co leżałam do łóżka i nie zdolawszy jeszcze zasnąć, ujrzałam istną scenę teatralną. Hrabia L. leżał bez duszy na krześle, a nad nim pochylał się człowiek rudobrody. Tuż obok stała wanna, a nad nią wisiała czerwona lampka!

Odparłem, że mam w leczeniu hrabiego L., który nie tylko nie umrze, ale przyjdzie do siebie za dni parę.

Stan jego zdrowia poprawił się w istocie i po tygodniu był już niemal zdrow. Ale nim minął tydzień, zawezwano mnie nagle. Zapalenie ogarnęło oba płuca.

Wezwałem na naradę sir Williama Jennera, ale chory zmarł wkrótce. Wziąłem do pielęgnowania dwu ludzi z infirmerji, ale jeden z nich zachorował także. Ujrzawszy zastępcę, którego mi przysłano, przekonałem się o prawdziwości proroczej wizji księżny. Był pochylony nad hra-

bia, obok stała wanna, a powyż płonęła lampka czerwona. Rzadko zdarza się napotkać czerwoną lampkę w łazience i to właśnie przypomniało mi wizję księżny, która o dwa tygodnie uprzedziła śmierć hrabiego L.

VIII.

Nie sposób snuć dalej tych długich opowieści o nieskończonych wędrówkach, po rozmaitych polach przyszłości. Przytoczone tu wystarczą, by dać pojęcie o ich ogólnym tonie i formie. Trzeba jednak podkreślić, że dużo z nich nie posiada wcale cech tragicznych i proroctwa dotyczą często drobiazgów. Dla wizji wróżebnej niema różnicy pomiędzy numerem loterii liczbowej a śmiercią najtragiczniejszą. Proroctwo dociera też do nas nieraz różnemi drogami, których obliczyć nie sposób. Często, jak widzieliśmy, obiera drogę marzenia sennego, innym znów razem na jawie mamy wizje wzrokowe i słuchowe. Zdarzają się przeczucia nieokreślone, ale ostro zarysowane i mocne, mamy jakąś pewność bezrozumną, a nieugiętą, która płynie z głębi wewnętrznych, gdzie tkwi słowo zagadki. Możnaby

dać liczne przykłady, ilustrujące te zjawiska. Wybieram tu nie najdziwniejsze, czy najponętniejsze, ale najlepiej stwierdzone fakty ¹⁾.

Pewien młody wieśniak z okolic Gandawy oświadczył na dwa miesiące przed losowaniem poboru wojskowego, że wyciągnie z urny numer 90. Stanąwszy przed komisją obwodu, to znaczy jakby u nas w podprefekturze, spytał, czy numer 90 został już wylosowany. Gdy mu powiedziano, że jeszcze nie, oświadczył, że on to właśnie otrzyma ten numer. I w istocie, ku zdumieniu wszystkich wyciągnął numer 90. Zaczęto go pytać, skąd to wiedział naprzód, a chłopak odparł, że dwa miesiące przedtem zobaczył, przed samem spaniem w rogu izby, jakiś wielki, ciemny, nieokreślony przedmiot z liczbą 90, błyszczącą, a wielką jak dłoń. Siedząc na łóżku zamykał i otwierał oczy, by nabyć pewności, że nie śpi, ale widzenie nie znikало wcale. Jerzy Hulier, profesor gandawskiego uniwersytetu, oraz Juljusz van Dooren, komisarz obwodu, którzy zgłosili ten fakt, zaręczyli jednocześnie, że w czasie swych funkcji urzędowych napotykali nieraz inne jeszcze, równie dziwne fakty. Znając obu osobiście, nie wątpię wcale w obiektywność tych świadectw, które

¹⁾ PROCEEDINGS, tom XI, str. 545.

są dla mnie niejako stwierdzone legalnie. Podobne rzeczy cytuję w swem dziele Bozzano, a zdarzały się one w Monte Carlo, u stołu gry.

Wiem dobrze i powtarzam to, że te i tym podobne fakty objaśnić można koincydencją. Istnieją, powie ktoś, niezliczone proroctwa takie, o których nikt nie wspomina, gdyż się nie ziściły. Ile razy jednak spełni się któreś, a jest to nieuniknionym wynikiem rachunku prawdopodobieństwa, cały świat wpada w podziw i wyobraźnia przekracza wszelkie granice. To prawda, ale trzeba by zbadać naprzód, czy te proroctwa są tak niesłychanie liczne, jak się to bezkrytycznie twierdzi. Odnosnie do losowania poborowego, dowiedziałem się z ust niejednego świadka owych zwyczajnych dramatów przeznaczenia, że są one dużo rzadsze, niżby należało przypuszczać. Przytem pamiętajmy, że mowy tu być nie może o jakimś dowodzie naukowym. Jest to teren chwiejny i mglisty, gdzie trudnoby uczynić kroku, nie mając za przewodnika raczej wrażenia, jak pewników, których spodziewać się można, pamiętając jednak zarazem, iż nie zjawily się jeszcze na widnokręgu.

IX.

Musimy się streszczać coraz to bardziej, odsyłając ciekawych do źródeł, inaczej bowiem nie dotarlibyśmy nigdy do końca. A raczej przeciwnie, wiedząc, że samo streszczenie byłoby zbyt długiem, weźmy z pośród mnóstwa kilka takich, które można podciągnąć pod jeden szereg. Nazwijmy go konduktem pogrzebowym, oglądanym przed śmiercią grzebanego. Pewnego dnia, w początkach września, młody mechanik, wracając po piątej do domu widzi, że małą córeczkę jego siostry przejechał tramwaj, tuż pod mieszkaniem. Opowiada to przerażony, a w kilkanaście dni potem, mimo przedsięwziętych ostrożności, dzieje się to naprawdę. Albo znów jest to widziadło, zjawia zwierzęcia, czy niezwykle hałas, zwiastujące w pewnych rodzinach tradycyjnie katastrofę. Tu zaliczyć można słynną wizję

Segantiniego, wyobrażoną w ostatnim obrazie p. t. »Śmierć«. Jakaś dziewczynka dwukrotnie przeczuwała najwyraźniej katastrofę messyńską i zginęła pod ruinami. Hrabinie Tuczkwó śniło się trzy miesiące przed wkroczeniem Francuzów do Rosji, że mąż jej polegnie pod Borodinem, wioską tak wówczas nieznaną, że wszyscy szukali jej daremnie na mapach ¹⁾).

Mówiliśmy dotąd o spontanicznych manifestacjach przyszłości. Te zdarzenia przyszłe, nagromadzone, zda się, przed życiem, wywierają niejako nacisk zbyt wielki na chwiejną, niepewną tamę chwili bieżącej, która nie może ich powstrzymać. Przeciekają więc przez nią szczelinami i dochodzą do nas. Ale prócz tych prorocत्व biernych, luźnych i wiekowych, podobnych do przełotnej emanacji tego, co nieznanne, istnieją inne, które można ująć, skonsolidować, niejako podporządkować rozkazom i zmusić do odpowiedzi. Źródło swe mają w tym samym, niedosiężnym zbiorniku, są równie tajemnicze, ale wydają się bardziej ludzkie od tamtych. Toteż bez upajania się dziecinnymi lub niebezpiecznymi złudzeniami wolno nam żywić nadzieję, że odsłonią przed

¹⁾ *E. Bozzano*: »Des phénomènes prémonitoires« — przypadek 62, 66, 68—91, dalej 4, 18 itd.

nami kiedyś ścieżkę, wiodącą od tego, czego już niema, do tego, co jeszcze nie istnieje. Trzeba tu postępować ze zdwojoną ostrożnością, gdyż teren jest mocno podejrzany i niepokojony ciągle przez profesjonalistów tajemnicy. I pośród tych jednak zasadzek możemy zebrać plon faktów, których negacja byłaby bezrozumna. Wystarczy wspomnieć bodaj o słynnej symbolicznej jasnowidzącej z Prévorst, o kernerowskiej Hauffe, w której zmysł proroczy rozbuźdzały bańki mydlane, kule kryształowe i zwierciadła ¹⁾, o owej somnambuliczce, która przepowiedziała, na lat ośmnaście naprzód, zbrodnię z namiętności i przedłożyła sądowi memoriał tego co w roku 1907 narobiło tyle hałasu ²⁾, a także o cygance, która również na piśmie przepowiedziała miss Arundel całe życie, wraz z nazwiskiem przyszłego męża, słynnego badacza Burtona ³⁾. Dalej wspomnieć trzeba list zapieczętowany, który Morin przedłożył wiceprezydentowi SOCIÉTÉ DU MESMERISME, opisujący wypadek śmierci w przedziwnych okolicznościach, ziszczony w miesiąc później, a wkońcu słynną sprawę Marmontela, wydobyta przy pomocy »korespon-

¹⁾ Kerner: »Die Seherin v. Prévorst«.

²⁾ »*Light*«, 1907, str. 219.

³⁾ *Lady Burton*: *The life of Rich. Burton*.

dencji zbiorowej« pani Verral, gdzie dwa i pół miesiąca naprzód dowiedziano się o najmniejszym gościu podróżnego w pokoju hotelowym. Ileż zresztą innych wypadków przypomniećby trzeba...

X.

Nie będę omawiał różnych, często nader dziwacznych metod zapytywania przyszłości, najczęściej dziś stosowanych, a więc kart, chiromancji, kul kryształowych, ziarenek kawy, igieł, białka z jaj, grafologii, astrologji itd. Warte są one tyle, ile medjum, które ich używa. Mają one jeno na celu rozbudzenie podświadomości tegoż medjum, i nawiązanie związków z podświadomością osoby zadającej pytania. Wszystkie te zresztą metody empiryczne są odmianami zdolności, o której mówiliśmy w rozdziale, poświęconym psychometrii.

Z doświadczeń Duchatela i Ostyego wynika, że w psychometrii, wyobrażenie czasu, jak powiada Dr Maxwell, jest bardzo płynne, to znaczy że przeszłość, teraźniejszość i przyszłość mieszają się zawsze ze sobą. Medja jasnowidzące i psychometryczne, działające w dobrej wierze,

nie wiedzą, czyli — nie czują, jak doskonale powiada Duchatel — co znaczy przyszłość. Nie rozróżniają innych czasów tego samego słowa i skutkiem tego są prorokami, choć sami o tem nie wiedzą. Słowem zdaje się, że widzą równie dobrze i na tym samym planie to, czego już niema, jak to, co nie nastąpiło jeszcze, ale nie umieją rozciąć tych dwu wizyj i dać czystego obrazu przyszłości, o którą nam głównie idzie. Ta uwaga jest jeszcze dlatego ważna, że podkreśla możliwość koegzystencji prawdopodobnej wszystkich trzech czasów. Z tego też powodu nie umieją podać dokładnych dat i wywołują rozczarowanie pytających. Mimo to przekonać się możemy, że często istotnie dostrzegają przyszłość, jeśli z cierpliwością zbadamy ich orzeczenie i doczekamy się ziszczenia niektórych faktów, co niestety długo nieraz trwa.

Bywają jednak medja nie mieszające nigdy przeszłości z przyszłością, jak np. pani M., ulubione medium psychometryczne Dra Osty. Ustawia ona swe wizje w czasie, podług miejsca, jakie zajmują w przestrzeni. Przyszłość widzi przed sobą, przeszłość za sobą, a teraźniejszość obok siebie. Mimo to jednak trudno jej oznaczyć datę, a pomyłki te są tak powszechne, że Dr. Osty uważa za czysto chronologiczną koincydencję,

gdy proroctwo ziści się w zapowiedzianym czasie.

Pamiętajmyż pozatem, że psychometria daje tylko to, co dotyczy osoby, będącej w związku z medjum, które oświeca tylko na chwilę naszą podświadomość i umożliwia nam samym czytanie w niej. Nie pytajmyż tedy o sprawy ogólne, np. o wojnę na wiosnę, epidemję w lecie, czy trzęsienie ziemi w jesieni, gdyż odpowie, jak to czyni każde medjum uczciwe, że nic nie widzi pozatem, w co jesteśmy osobiście wmieszani.

Czyliż jednak na terenie tak ograniczonym medjum dostrzega istotnie przyszłość? Dr. Osty eksperymentował pilnie, ściśle metodycznie przez trzy lata i daje odpowiedź twierdzącą. — Wszystkie fakty — powiada on — jakie zaszły w mem życiu przez ciąg lat trzech, zgodne z ową wolą, czy zupełnie sprzeczne i przeszkadzające mej działalności, były przepowiedziane i to nie wszystkie przez każde z medjów, ale częściowo, przez różne medja. Eksperymentowałem ciągle, całe trzy lata poświęciłem temu celowi, toteż wyrobiłem sobie na proroctwa pogląd posiadający pewną wartość.

W istocie zupełne zaufanie wzbudza uczciwa, skrupulatna i czysto naukowa praca Dra Osty. Niestety, poprzestaje zbyt często na skrótach

i streszcza się, miast cytować *in extenso* swe doświadczenia. Przyznajmy, że byłoby to dzieło nudne, pełne dziecinnych nieraz incydentów, rozwlekłe i wprost nie do czytania. Przytem przybrałoby formę autobjografji niedyskretnej, stałoby się czemś w rodzaju spowiedzi publicznej, na co nie łatwo się zdecydować. Ale trzeba to było uczynić. W nauce budującej się dopiero, nie wystarcza pokazać cel osiągnięty i wyrazić swe przekonanie. Przeciwnie, koniecznem jest skreślić najdokładniej całą drogę, nagromadzić mnóstwo faktów i dowodów, tak, by każdy z nich mógł wyciągać wnioski właściwe. Tą metodą możną i nudną posługują się od lat trzydziestu Proceedingści i to jest jedynie dobra metoda. Tylko za tę cenę dojść można do płodnej dyskusji. W zakresie owej poza-świadomości nie mamy jeszcze do czynienia z ostatecznymi indukcjami, ale dopiero z kupą materiału surowego, złożonego na miejscu budowy. Przytem, w materiale owym niewiele jest faktów absolutnie pewnych jako dowody. Jeśli np. pani M. powiada rano, co będziesz robił przez cały dzień, jeśli cię widzi w tej a w tej ulicy czy domu, w towarzystwie jakiejś osoby, to trudno wykluczyć, że może czyta ona po części w twych podświadomych jeszcze planach i zamiarach. Z drugiej

strony, jeśli sprawdza się ta przepowiednia, to niewiadomo, czy nie działasz pod wpływem sugestji, przeciw której mógłbyś jeno walczyć, czyniąc coś wprost przeciwnego, z wysiłkiem, a wówczas byłaby to znowu sugestja na wspak. Wartość miałyby więc jeno przepowiednie faktów nieprawdopodobnych, niezawisłych od danego człowieka i dobrze określonych. Powiada to także Dr Osty: — Idealną byłaby przepowiednia faktu tak rzadkiego, tak gwałtownego, niespodziewanego i tak dalece zmieniającego życie, że teorii koincydencji wysunąćby już całkiem nie było można. Ponieważ jednak nie jesteśmy wystawieni w powszednim życiu na wypadki tak dalece przekonywujące, przeto medjum jasnowidzące nie może dać ich nam w prorocztwie, które nas dotyczy i ziścić temsamem dowodu bezwzględ-
nego.

XI.

Kwestja przepowiedni psychometrycznych musi być jeszcze poddana badaniom dodatkowym, których wynik można zresztą z góry przewidzieć. Wróćmyż teraz do premonicyj spontanicznych, do ostrzeżeń, czyli znaków, w których to przyszłość szuka nas, rzec można i napastuje w domu.

Wiem z doświadczenia, że pierwsze wrażenie w tych dziwnych sprawach bywa fatalne. Mamy ochotę śmiać się, brać wszystko za bajki, halucynacje historyczne, wymysły cudaczne, lub poddyktowane własnym interesem. A jednak właśnie te fakty wstrząsają silnie ciasną i jałową ideą, jaką mamy o naszym życiu ludzkim. Łatwiej się uśmiechnąć i przejść, odrzucając z góry i odwrócić oczy, jak to uczyniono zresztą za Galileusza i początków hipnotyzmu, a nawet wygląda poważniej, niżli gdy zatrzymamy się, uznawszy

fakt i zaczniemy badać. Pamiętajmyż jednak, że tym jeno, którzy się nie uśmiechali, zawdzięczamy tę górę cudów, z wierchołka której uśmiechamy się sami. Przyznaje, coprawda, że fakty te, rzucane w przelocie, szkicowo, bez szczegółów i dowodów objaśniających, nie przedstawiają się dodatnio, a luźno i skąpo podane tracą całą wagę, oraz łączność ze spoistą masą zjawisk innych. Zebrano blisko tysiąc faktów tego rodzaju, jak wspomniałem, a nie jest to chyba nawet dziesiąta część tego, coby dać mogły poszukiwania usilniejsze i bardziej ogólne. Ilość ma tu wielkie znaczenie, gdyż podkreśla ogromny nacisk zagadnienia. A jednak dośćby było pół tuzina faktów stwierdzonych ściśle i niewątpliwie, jak np. doktora Maxwella Flournoy, panny Verral, Marmontela, Jonesa, czy lady Hamilton, by dowieść, że istnieje prawda nowa, domagająca się oświecenia, utajona pod złudą, jaką żywimy odnośnie do przeszłości i teraźniejszości.

Wyniki tej prawdy ukażą nam się we właściwym napięciu swem dopiero, gdy zbadamy uważnie owe setki przykładów, które choć na to nie wyglądają wcale, są w stanie skreślić samą oś historii. Niedługo tracimy ochotę, by wątpić i wkraczamy w świat inny, gdzie nas opuszcza cała pewność siebie. Trudno powie-

dzieć, gdzieśmy zaszli, gdyż to co było i co będzie miesza się ze sobą. Nie dostrzegamy już zdradliwej, sztucznej, a jednocześnie koniecznej linii, którą dzieli lata ubiegłe od mających nastąpić. Dotykamy lekliwie godzin i dni przeszłości, oraz chwili bieżącej, by się upewnić, cześcić czego trwałego, przekonać, że jesteśmy na swoim miejscu, wśród życia, gdzie nie nie wydaje się równie silne i realne, ściśle i potężne, jak to, co już minęło. Odkrywamy z niepokojem, że czas, na którym budujemy cały byt nasz, sam nie istnieje. Nie istnieje ten bóg nasz, najistotniejszy z wszystkich, którego odczuwamy w tym tylko właśnie bycie, wskrósł wszystkiego. Otóż ruchu tego on nie posiada podobnie jak i przestrzeń, której jest zapewne jeno jakimś niepojętym odbłaskiem. Panuje w punkcie centralnym wszystkich zdarzeń, a zdarzenia te są umiejscowione w tym punkcie. Wszystko co się porusza i mija, przechodzi z końca w koniec nasze małe życie, nie oddalając się o jedną nawet linię od nieruchomej osi, wkoło której wiruje. Jedna mu jeno przystoi nazwa z tysięcy nadawanych jego potędzie, której formy nieprzeliczone dostrzegliśmy wszędzie. Wczoraj, dopieroco, dawniej, ongiś, potem, przedtem, jutro, nieza dlugo, nigdy, później... wszystko to są maski

śmieszne, które spadają, a jeno »dziś« i »zawsze« pokrywają jednostajnym cieniem swym obraz, jaki sobie wytwarzamy o trwaniu, bez podziału, przerw, spoczynku, wahań, ruchu i granic.

XII.

Wytworzono mnóstwo teorii, usiłujących wytłumaczyć przebieg tego dziwnego zjawiska i można wymyśleć dużo innych jeszcze.

Autosugestją, jak już widzieliśmy i telepatją można wytłumaczyć wypadki już zrealizowane, ale jeszcze utajone, a spostrzeżone szybciej, niżby to mogła uczynić normalną drogą świadomość i inteligencja. Choćbyśmy jednak nawet naciągali te teorie do rozlicznych faktów, korzystając z ich elastyczności, zdołają one objaśnić niewielki jeno krąg ogromnego, nieznanego terytorjum. Trzeba więc szukać czego innego. W pierwszym rzędzie nasuwa się tu teoria spirytystyczna, którą można rozszerzyć, aż do zetknięcia z hipotezą teozoficzną, czy innemi spekulacjami religijnemi.

Wymaga ona działania duchów, istnienia dezinkarnatów i innych istot wyższych, które nas

otaczają, interesują się naszym losem, kierują myślami, czynami, a nadewszystko znają przyszłość. Jest ona, jakżeśmy to stwierdzili w zakresie domów nawiedzanych przez duchy, możliwą do przyjęcia, bez ułbiżenia rozumowi. Jednocześnie wydaje się i tam niepotrzebną i jeszcze mniej udowodnioną, niż gdzieindziej. Mieści w sobie *petitio principii*. Spirytyści powiadają, że bez interwencji duchów nie można zrozumieć zjawisk proroczych, przeto trzeba przyjąć ich istnienie. Zgódźmyż się na nią na chwilę, wiedząc, że *petitio principii* polega jeno na fałszywym manewrze naszej logiki, czysto mózgowej i powierzchownej, co nie może potępiać żadnej teorii, ani też nie dodaje rzeczywistości faktom. Zresztą, czy istnieją duchy czy nie, kwestji to nie zmienia i nie stanowi wcale ogniska tajemnicy. Nie droga, na której dochodzą nas ostrzeżenia prorocze, ani kto są pośrednicy, obchodzi tu nas najbardziej, ale samo istnienie przyszłości w stanie teraźniejszym. Trzeba przyznać neospirytystom, że stanowisko ich daje pewne korzyści, gdy idzie o niepojęty wprost problem preegzystencji przyszłości. Można też wraz z nimi wyłączyć lub zmienić niektóre konsekwencje tej teorii. Twierdzą oni, że dezinkarnaci nie muszą koniecznie spostrzegać przyszłości en bloc,

jako przeszłość, czy teraźniejszość, pełną, nieruchomą, niezmienną. Znając nierównie lepiej od nas niezliczone przyczyny, warunkujące każde zdarzenie, czerpiąc ze świetlanych źródeł tychże przyczyn, z łatwością przewidują wyniki. W stosunku do faktów, kształtujących się dopiero, są jak astronomowie, którzy na sekundę przepowiadają wszystkie szczegóły zaćmienia. Duch widzi w tem zjawisku jeno katastrofę nieumotywowaną, którą przypisuje gniewowi swych bożków z drzewa czy gliny. Jest możliwem, że znajomość przyczyn zezwala na przewidywanie skutków, a więc i w pewnych razach na prorokowanie, atoli mnóstwo prorocत्व domagałoby się znajomości przyczyn tak odległych i głębokich, że wiedza ta byłaby już poprostu widzeniem samej przyszłości. Poza pewnemi granicami, preegzystencja przyczyn nie wydaje się jaśniejszą od preegzystencji skutków. Mimo wszystko przyznać musimy, że spirytyści wysunęli się tu znacznie naprzód.

Ale idą dalej i twierdzą, że dezinkarnaci skłaniają nas do realizowania wydarzeń, które przepowiadali, a których dokładnie może nawet nie dostrzegli dobrze w przyszłości. Zapowiedziawszy na przykład, że pewnego dnia pójdziemy gdzieś i zrobimy coś, popychają nas

przełożenie do tegoż samego właśnie. Ale teoria ta, podobnie jak autosugestia i telepatja, tłumaczyłaby tylko niektóre zjawiska, zostawiając w cieniu większość. Duchy te, kształtujące całą naszą przyszłość, pełną przypadków, zdarzeń niezawisłych od naszej woli czy umysłu, musiałyby być wszechwiedzące i wszechmocne, a przypuszczenie takie uczyniłoby problem tak ciemnym, jakim był pierwotnie.

W ciemnych sferach prekognicji idzie zresztą zawsze niemal o nieszczęście, rzadko natomiast bardzo o radość i pomyślne wydarzenie. Trzeba by tedy przypuścić, że duchy, skłaniające nas do czynu złowrogo, lub wiodące na miejsce niebezpieczne, są nam wrogie i radują się widokiem cierpień naszych. Cóżby to były za duchy i z jakiego świata? Jakże sobie wytłumaczyć, że nasi bracia czy przyjaciele wczorajsi, po przejściu dostojnych bram śmierci, przemienili się nagle w demony wstrętne i złośliwe? Namiętności, mające źródło w ciele, powinnyby zniknąć w wielkiem królestwie ducha. Czyżby miało być ono osiedlem nienawiści, urazy i zemsty? Można by powiedzieć, że duchy wiodą nas przez nieszczęścia w celu oczyszczenia, ale idea ta wkracza w problemy religijne, których tu nie roztrząsamy.

XIII.

Jedyna próba wyjaśnienia, jaka ostać się może, obok teorii spirytyzmu, sięga z konieczności do tajemniczych sił podświadomości. Jeśli przyszłość istnieje już dziś, taka sama, jaką będzie dla nas w kształcie teraźniejszości i przyszłości, to zbyt dużą jest wogóle jakąkolwiek interwencja duchów, dezinkarnatów, czy wogóle istot innej sfery. Można by sobie tu zresztą wyobrazić istotę nieskończoną, która patrzy obojętnie na koegzystującą przeszłość i przyszłość, można by też przyjąć całą hierarchję inteligencyj pośrednich, biorących udział w tej kontemplacji, które ją podsuwają naszej podświadomości. Wszystko to jest jednak marzeniem lotnem, fantazją wśród ciemności, jakąś wizją blahą i znikomą. Trzeba się trzymać faktów stwierdzonych. Oto jakaś zdolność tajemna, skryta w głębi naszej istoty,

zazwyczaj nieczynna, pozwala nam w rzadkich przypadkach spostrzegać zdarzenia, które jeszcze nie zaszły. Wiemy tu napewno to jeno, że zjawisko to odbywa się w nas samych, a przeto trzeba je studjować w sobie, nie wdając się w teorie, które oddalają jeno tajemnicę od punktu centralnego i nie tłumaczą jej wcale. Przyjawszy raz za fakt ów cud niepojęty, mianowicie preegzystencję przyszłości — a trudno temu chyba przeczyć — nie mamy już potrzeby przypisywać fantastycznym pośrednikom raczej, niż samym sobie, zdolności chwytania pewnych fragmentów tejże przyszłości. W zjawiskach medjumicznych dostrzegamy, już u człowieka, ową nadzwyczajną potęgę, jaką spirytyści przypisują dezinkarnatom; czemużby miało być inaczej w dziedzinie zdolności proroczych?

Tłumaczenie, zaczerpnięte z podświadomości, jest najbardziej bezpośrednie i najbliższe, podczas gdy inne są skomplikowane, mętne i dalekie. Zanim się przekonamy, w sposób niezbity, o istnieniu duchów, dajmy im leżeć spokojnie w grobach, gdyż klucz zagadki ukryty jest, zda się, nie w śmierci, lecz w życiu.

XIV.

Tłumaczenie to niewiele zaiste tłumaczy, ale inne są równie bezsilne i podległe tym samym zarzutom. Zarzutów tych istnieje mnóstwo i łatwiej je podnosić, niż odpierać. Trudno sobie na przykład wyjaśnić, czemu podświadomość, lub duchy znające przyszłość i czekające nas wielkie nieszczęście, nie dają nam nigdy niemal wskazówek, jak go uniknąć. Cóż jest przyczyną tej dziwacznej i dziecinnej wstrzemięźliwości? Często jest ona wprost zbrodniczą, jak n. p. w przypadku zgłoszonym przez prof. Heyslopa¹⁾. Napotykamy tu ostrzeżenie przed największym nieszczęściem, jakie może dotknąć matkę. Rośnie ono, rozgałęzia się, rozwija, niby roślina łakoma a potulna, aż wreszcie urywa się nagle, w szczególności drobnym, znikomym, ale koniecznym dla

¹⁾ PROCEEDINGS, tom XIV. str. 260—270.

ocalenia dziecka. Pewna kobieta doznaje mglistego, ale silnego przeczucia, że nad jej rodziną zawisło jakieś nieszczęście. Czas mija, przeczucie jawi się, wzrasta i наконец koncentruje na dziecku nieszczęsnej kobiety. Ile razy snuje plany o jego przyszłości, głos wewnętrzny szepce jej, że są one niepotrzebne. Miesiąc przed katastrofą odor spalenizny napelnia cały dom i to bez widocznej przyczyny. Matka popada w opętanie, pewna, że nastąpi jakieś nieszczęście skutkiem zapalek. Szuka ich tedy i chowa je bezustannie. Na godzinę przed katastrofą opętanie to wzrasta do rozmiarów szału, kobieta owa chce zniszczyć wszystkie zapalki w całym domu, przypomina sobie jednak, że będą potrzebne starszemu synowi, odkłada więc spełnienie zamiaru na później i zabiera się do usypiania dziecka najmłodszego. Podczas przysposabiania kołyski tajemniczy głos wewnętrzny szepce jej: — Obróć materac na drugą stronę! — Spieszno jej atoli bardzo, więc powiada do dziecka: — Obróć materac, gdy się wyśpisz! — Potem spieszy do zajęć zwykłych. Po chwili słyszy krzyk przejmujący, biegnie i zastaje kołyskę w płomieniach, a córeczkę tak poparzoną, że umiera w trzy godziny później.

XV.

Zanim zaczniemy teoretyzować na podstawie tego przypadku, wróćmy do punktu wyjścia. Wiem dobrze, że możnaby podać w wątpliwość wartość anegdot tego rodzaju. Powiedzianoby zapewne, że zdenerwowana kobieta stworzy w swej ponurej fantazji wszystkie elementy, dramatyzujące i otaczające nimbem ten zwyczajny wypadek domowy. Jest to możliwe i wolno nam przejść nad tem do porządku. Pomijając jednak z uprzedzeniem wszystko, co nie da się ująć w formułkę matematyczną czy prawną, tracimy sposobność uchwycenia tego, co wielka tajemnica świata daje nam, w chwilach nieuwagi, czy też łaskawości swej wyjątkowej. W początkach badań trzeba poprzestawać na małym. Zdarzenie to nabrałoby wagi dowodu, gdyby istniały dokumenty pisane z czasów dawniejszych, gdyby

stwierdzono wszystko urzędowo, my zaś mamy jeno zeznania męża, sąsiadki i siostry. Przyznaję, że jest to niedostateczne, ale zaznaczam także, iż w danych okolicznościach dowody takie były niemożliwością. Ludzie, doznający przeżyć, wierzą w nie, lub nie wierzą. Jeśli wierzą, nie myślą wcale o wartości znikomej swych obaw i nie spisują tych autentycznych przesłanek późniejszej ewolucji. Jeśli nie wierzą, tem mniej są skłonni mówić o tem, i notować czegoś, co uważają za bezwartościowe, a potem, po ziszczeniu się przeczucia, nie mogą już wynagrodzić straty. Nie zapominajmy też, że historyjka ta wyjęta jest z pośród stu innych¹⁾, równie niczego nie dowodzących, które jednak podkreślają tak uparcie tę samą tendencję i te same fakty, że mogą chyba wstrząsnąć najzastwardziałszym niedowiarkiem.

¹⁾ W dziele Dr. Bozzano zwracają uwagę przypadki XLIX. i LXVII. Zwłaszcza pierwszy, dotyczący Wiljama Harda, opatrzone jest dowodami ściślejszemi. Wybrałem jednak relację prof. Heyslopa, ponieważ przemilczania wróżby są tu bardziej uderzające.

XVI.

Powiedzieliśmy to wszystko dla uspokojenia tych, którzy chcą kroczyć jeno po twardym gruncie wiedzy, teraz atoli wrócimy do naszego przykładu, który zastanawia dlatego, iż jest niejako prototypem owych tragicznych, szatańskich, rzec można, przemilczeń, jakie napotykamy często w przeczuciach. Prawdopodobnie dziecko znalazło pod materacem zapalkę i zaświeciło ją. Jest to jedyne wyjaśnienie pożaru, gdyż na całym piętrze domu nie było wcale ognia. Przewracając materac znalazłaby zapalkę matka, a z drugiej strony, wiedząc, że jest tam zapalka, przewróciłaby go napewne. Czemuż tedy głos, nakazujący jej uczynić to, nie dorzuca ostatniego wyrazu, któryby doprowadził do spełnienia aktu? Problem jest tu równie niepokojący i może równie nierozwiązalny, jak wówczas, gdy

idzie o naszą podświadomość, duchy i zaświatowe istoty. Ci, którzy dają owe ostrzeżenia, muszą wiedzieć, że będą one bezpożyteczne, ponieważ przewidują całe zdarzenie z góry. Wiedzą jednak zarazem, że ostatnie zatajone słowo wstrzymałoby nieszczęście, ziszczone już w ich przewidywaniu. Wiedzą o tem tak dobrze, że trzymają to słowo zawieszone nad przepaścią, rzucają je niemal i powstrzymują w momencie, kiedy ciężar jego wyniosłby szczęście życia na powierzchnię czeluści. Gdzież się tedy mieści zagadka? Czy polega na bezsilności, czy złej woli? Jakaż moc niespodziana i potężna staje pomiędzy nimi a nami, jeśli nie mogą tego uczynić, a jeśli mogą, za cóż się mszczą i na kim? Gdzież przyczyna tej igraszki nieludzkiej, tej zabawki okrutnej na najstromszych zboczach skały przeznaczenia? Nacóż ostrzegać, skoro się wie, że ostrzeżenie będzie daremne? Z kogóż szydzą? Czy istnieje, naprawdę, fatalizm nieugięty, mocą którego wszystko, co ma się stać, dzieje się wiekuście? Jeśli atoli wszelkie słowo jest daremne, to czemuż nie chować milczenia? A może, mimo wszystko, dostrzegają oni jakąś zaporę, jakieś lśnienie poprzez mur niewzruszony? Jakaż znajdują nadzieję? Wszakże pewnie lepiej od nas wiedzą, że w żadnym razie ocalenie nasze

nie przedrze się tą szczeliną? Gdyby tego nie nie wiedzieli, łatwiej byłoby nam zrozumieć ich postęпки, wahania i wysiłki. Wiedzą to jednak, albowiem, jak stwierdzono, sprowadzają to właśnie, czemu by mogli przeszkodzić. Pod naporem pytań odpowiadają jednak, że niema rady, a żadna siła ludzka nie zdoła zmienić, czy wstrzymać wydarzenia. Czyż są to szaleńcy, istoty znużone, czy uczestnicy ohydnej jakiejś igraszki? A może od pomyślnego rozwiązania łamigłówki jakiejś czy szarady dziecinnej zależy nasz los i zbawienie, jak w większości religij, które się podają za objawione? Zależy to od rzucenia kości przez ślepa, nieinteligentną siłę? Czyż cała przyznana nam swoboda ogranicza się jeno do mniej lub więcej sprytnego rozwiązania jakiegoś rebusu? Czyżby wielka dusza wszechświata była jeno duszą wielkiego dziecka?

XVII.

Nie posuwajmy się atoli zbyt daleko i przyznajmy sprawiedliwie, że sytuacja ich jest równie zawikłana, jak nasze zarzuty nieuzasadnione. Cóż mogą począć w ciasnocie logiki naszej? Przepowiadają nam nieszczęście, którego ich przepowiednie odwrócić nie mogą, a w takim razie nacóż je przepowiadać? Albo, jeśli przepowiadają, dając możność odwrócenia, to nie znają przyszłości naprawdę i nie przepowiadają nic, albowiem nieszczęście nie nastąpi. W jednym i drugim wypadku sam akt przepowiedni wydaje się bezsensownym.

Gdziekolwiek się zwrócimy, czeka nas coś niepojętego. Z jednej strony, przyszłość z góry postanowiona, nie do obejścia i niezmienna, którą zwiemy przeznaczeniem, czy losem, coś, co zawiera całą wolność człowieka, całą jego swo-

bode, a co stanowi tajemnicę najbardziej niepojętą i okrutną. Z drugiej strony, istoty rzekomo wyższe od nas inteligencją, albowiem wiedzą to, czego my nie wiemy, a wiedząc, że ich interwencja będzie zawsze bezużyteczną i często nawet okrutną, mimoto napastują nas przepowiedniami ponuremi i daremnymi. Czyż trzeba raz jeszcze poprzestać na bytowaniu z oczyma zamkniętymi i umysłem zatopionym w bezkresnym sesamie ciemni, z którego nie masz ucieczki?

XVIII.

Porzućmy wreszcie roztrząsanie problematu czarnego fatalizmu, zagadki ponad wszystkie, o którą rozbijają się wszelkie wysiłki i myśli człowieka. Wśród tych spraw niepojętych, na pierwszy rzut oka najjaśniejszą jest i pociąga najwięcej hipoteza spirytystyczna, która też wytrzymuje badanie pełne uprzedzeń. Odsuńmy raz jeszcze hipotezę teozoficzną i nauki religii, które zakładają istnienie Boga. Mogłyby one do pewnego stopnia wyjaśnić wahania i próby ostrzeżeń proroczych, natomiast przyjąłoby trzeba mnóstwo tajemnic, bardziej jeszcze niewytłumaczalnych, których nie wolno stawiać w miejsce tajemnicy nagiej, bez form i granic, jaką dostrzegają dziewiczo oczy nasze.

Krótko mówiąc, jedynie hipoteza, przypisująca owe przeczucia naszej podświadomości, daje,

jeśli już nie wyjaśnienie, to w każdym razie pewne oświecenie tych straszliwych przemilczeń. Godzą się one dość dobrze z charakterem dziwnym, niespoistym, fantastycznym i obłądnym tej istoty nieznanej, która w głębi naszej istoty żywi się strawą różnolitą, brana ze światów, do których nie ma jeszcze dostępu inteligencja nasza. Żyje ona pod naszym rozumem, w pałacu niewidzialnym a może wiekuistym, jako gość przypadkowy, przybyły z innego świata, który posiada odmienne zgoła od naszych cele, idee, nawyki i namiętności. O ile wie znacznie więcej o zaświatach niżli my i posiada rozleglejsze poglądy, to znowu mglisto mu się przedstawiają konieczności praktyczne naszego życia ziemskiego. Zapomina o nas całymi latami, zajęta pewnie niezliczonemi stosunkami z wszechświatem i jego tajemnicami, gdy zaś nagle przypomni sobie, czyni gest niejako łaskawy, ale niesłychany, cudowny, niezręczny i zbyt uczynny, który obala to co wiemy, a nie uczy nas niczego. Może igra z nami, szydzi, przedrzeźnia nas, drażni, może jest tylko zaspą, ogłupiała, mglista, czy roztargniona? A może wylamuje się czasem chyłkiem z pod władzy wielkich praw fatalizmu, nie mogąc jednak, mimo całego wysiłku i miłości dla nas,

posunąć nieposłuszeństwa dalej, gdyż odkryłoby to tajemnicę przeznaczenia?

Biorąc pod uwagę całokształt tych manifestacji można by powiedzieć, że wyraźnie unika tego, by się stać użytecznym. Chętnie pokazuje najróżniejsze sztuczki i cuda, z których atoli nie odnosimy żadnych korzyści. Podnosi stół, przenosi najcięższe przedmioty, przysyła kwiaty, włosy, gra na strunach, ożywia i przenika materję, wydaje na świat widziadła, zatamowuje czas i przestrzeń, roznieca światła, ale wszystko to czyni w ten sposób, by nie miało sensu i pozostało na zawsze w zakresie igraszek cudownych, pustych i dziecięcych. Tylko przy pomocy różdżki wróżebnej oddaje nam pewne przysługi i ta igraszka, niewielkie mająca znaczenie, bawi potrosze. Czasem, przyznajmy, leczy pewne choroby, uzdrawia wrzód, zamyka ranę, zasklepia płuco, przywraca władzę w ręce czy nodze, spaja nawet kość, ale i tu postępuje zawsze jakby przypadkowo, bezmyślnie, niemetodycznie, bezcelowo, w sposób nieprzewidziany, nielogiczny i kapryśny. Przypomina dziecko rozpieszczone, któremu dano do zabawy najstraszliwsze tajemnice ziemi i nieba. Nie zdając sobie sprawy z ich siły, rozdrabnia je na znikome uciechy, zmienia w zabawki blahe i nie-

winne. Wie może wszystko, ale nie ma pojęcia, do czego to może służyć. Mając pełne ręce skarbów, rozdaje je bezmyślnie, bez celu, karmi spragnionych, poi głodnych, zasypuje darami tych, którzy ich nie chcą, obdziera błagających o datek, ściga uciekających, ucieka przed ściągającymi. Zawsze zaś, w najlepszych nawet chwilach, postępuje, jakby jej wcale nie obchodził los tych, w których istnieje i jakby się niewiele interesowała ich nieszczęściami, ponieważ sama posiada byt niezawisły i wieczny.

Znając gościa nieznanego obyczaje nie będziemy się więc dziwili, że daje nam tak fantastyczne wieści odnośnie do przyszłości i manifestuje w taki sposób swą wiedzę i władzę. Dodajmyż dla sprawiedliwości, że w ostrzeżeniach swych, które radziłybyśmy spożytkować, natrafia on na te same trudności, co dezinkarnaci, czy inne istoty wyższe, które daremnie przepowiadają zdarzenia, nie mogąc im przeszkodzić, lub przeciwnie unicestwiają je przez sam fakt przepowiadania.

XIX.

Spytajmyż teraz, dla wyczerpania kwestji, czy sam on ponosi jeno winę? Czy on źle się wyraża, czy może nie możemy go dosłyszeć? Przyglądając się zbliska, musimy przyznać, że poprzez te różnolite i mgliste manifestacje odczuwamy z jednej strony wysilek niesłychany i uparty, a z drugiej niemożebność wypowiedzenia się i czynu. Zwraca to uwagę i nasuwa przypuszczenie, że nasze życie indywidualne i świadome oddzielone jest od podświadomego i zdaje się powszechnego światami nieprzenikalnemi. Gość nieznany zda się przemawiać językiem niezrozumiałym, a słowa, które staramy się pojąć, nie oddają prawdopodobnie jego myśli. Jest tak, jakby miał zamknięte wszystkie drogi bezpośrednie, a mógł jeno kroczyć ścieżkami bez wyjścia, gdzie ginie najlepsza część

tego, co mógłby nam powiedzieć. Może też dlatego właśnie szuka tych dziecinnych wybiegów, automatycznego pisma, korespondencji zbiorowej, przeczuć symbolicznych i tylu innych jeszcze sposobów? A jednak w typowym przykładzie wzmiankowanym mówił wyraźnie matce: — Obróć materac! — Jeśli zaś mógł wypowiedzieć to zdanie, to czemuż nie dodał: — Znajdziesz tam zapalki, od których zajmą się firanki! — Któż mu przeszkadza i zamyka usta w decydującej chwili?

Wracamy do poprzednio wyrażonego pytania: — Jeśli nie może rzec zdania drugiego, gdyż unicestwiłby wydarzenie, to pocóż wymawia zdanie pierwsze?

XX.

Mimo wszystko jednak należy szukać wyjaśnienia rzeczy niewytłumaczalnej, a uda nam się to może, gdy zaataakujemy z różnych stron. Przypuśćmy tedy, że podświadomość nasza, ostrzegając nas o nieszczęściu, wie już, że się stało, albowiem zna przyszłość. Ponieważ łączy w sobie dwa życia, przeto krąży niespokojnie wokół naszej, zbyt pewnej siebie ignorancji i zdenerwowana, a także przejęta litością, stara się złagodzić trochę okrutny cios. Powiada przeto to, co może nas przysposobić na nieszczęście, określić je, zidentyfikować, nie może atoli wyrzec słowa, któreby je odmieniło, gdyż już się stało, już jest obecne, a nawet przeminięło może na jakiejś innej płaszczyźnie psychicznej, odmiennej od tej, na której żyjemy i którą dostrzegamy. Znajduje się w takiej sytuacji, jak ktoś, co wkra-

cza w koło ludzi spokojnych i pełnych wiary w szczęście, a niesie złą nowinę. Nie chce jej objawić, ani też całkowicie ukryć. Waha się, wstrzymuje, czyni przejryste aluzje, ale nie wymawia słowa, któreby w sercach obecnych ziściły, rzec można, katastrofę. Nie wiedzą o niej, a przeto dla nich nie istnieje jeszcze. Podświadomość nasza postępuje tedy może względem przyszłości podobnie jak my postępujemy wobec przeszłości, gdy oba czasy są dla niej tak identyczne, że je często miesza, jak to widzimy w przypadku z Marmontelem, gdzie myli się wyraźnie, podając za dokonany fakt, który zająć miał dopiero w dwa i pół miesiąca później. Z naszego punktu widzenia jest nam oczywiście niemożliwym zrozumienie tej jednoczesności przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, ale nie daje to jeszcze prawa odrzucania koegzystencji. Przeciwnie, to zda się być najbliższem prawdy, co człowiek rozumie najmniej.

XXI.

Komplikując zresztą kwestję, możnaby tu słusznie zarzucić, że chociaż przeczucia są zazwyczaj bezpożyteczne i systematycznie zatajają jedyne potrzebne słowa, to zdarzają się i takie, które ocalają wyraźnie posłusznych sobie. Zdarzają się, co prawda, rzadziej niż poprzednie, mimoto jednak znamy pewną liczbę stwierdzonych z dostateczną ścisłością. Pozostaje jeno zbadać, do jakiego stopnia każą przypuszczać znajomość przyszłości.

Oto, na przykład, podróżny zmierza nocą, w obcym sobie miasteczku ku hotelowi, którego położenie zna mniej więcej. Idąc źle oświetlonemi ulicami, doznaje nagle nieodpartej chęci, by zawrócić. Zrazu opiera się temu bezsensownemu pragnieniu, ale potem ustępuje i stwierdza nazajutrz, że po kilku jeszcze krokach byłby

wpadł w rzekę, w której, nie umiejąc pływać, utonąłby niezawodnie bez ratunku wśród nocy ¹⁾.

Czyż idzie tu jednak o przeczcucie faktu? Nie, gdyż żaden fakt zająć nie miał. Jest to jeno anormalna percepcja bliskości wody nieznanej, a więc wielkiego niebezpieczeństwa, istnieje tu jeno sensytywność subluminalna, wprawdzie niewytłumaczona, ale dość częsta. W tym przypadku nie ma tedy kwestji przyszłości, ani też w licznych, podobnych doń.

Ale oto inny, z tejżesamej rodziny, chociaż na pierwsze wejrzenie każe przypuszczać preegzystencję fatalnego zdarzenia, oraz wizję przyszłości, odpowiadającą ściśle wizji przeszłości. Podróżny płynie czołnem z biegiem wody, wzdłuż wysokiego brzegu. Nagle słyszy głos, który go ostrzegał już kilka razy w życiu. Głos ten rozkazuje mu coprędzej zboczyć wskos, ku przeciwnemu brzegowi. Podróżny zmuszony jest zagrozić strzelaniem do wioślarzy, którzy się opierają temu, wyraźnie absurdalnemu rozkazowi. Zaledwo wyjechali na środek rzeki, brzeg runął właśnie w miejscu, obok którego mieli przepływać ²⁾.

¹⁾ PROCEEDINGS, tom XI. str. 422.

²⁾ Prof. T. Flournoy; *Esprits & mediums*, str. 316.

Percepcja zagrażającego niebezpieczeństwa jest tu, przyznaję, jeszcze anormalniejsza, niż w przypadku poprzednim, ale zalicza się do tegożsamego rodzaju. Mamy tu zjawisko nadwrażliwości subluminalnej, nieraz stwierdzonej, przeczcucia zapośredniczonego przez percepcję podświadomą, co wszystko razem nazwano po barbarzyńsku »kryptoestezją«. Ale czas pomiędzy sygnalizacją niebezpieczeństwa i jego ziszczeniem jest zbyt krótki, by w tych warunkach można mówić o kwestjach, związanych z poznaniem przyszłości i jej preegzystencji.

To samo niemal dotyczy przygody pewnego dentysty amerykańskiego, nader ściśle stwierdzonej przez Dra Hodgsona. Dentysta ten pilnował małej czarki, w której topił gumę. Nagle usłyszał głos: — Biegnij coprędzej do okna! — Pobiegł i wychylił się, a w tejże samej chwili czarka pękła, zaś eksplozja zniszczyła część pracowni¹⁾.

I tutaj mamy prawdopodobnie do czynienia z pewnemi znakami, nieuchwytnemi dla zmysłów normalnych, które ostrzegają podświadomość. Możliwą jest też pewna sympatja, czy relacja subluminalna, która pozwala odczuwać

¹⁾ PROCEEDINGS, tom XI. str. 424.

drgania i prądy materji, doprowadzonej do ostatnich granic oporu. Prawdopodobniejszą byłaby zresztą prosta koincydencja pomiędzy przelotną obawą możliwej eksplozji, a eksplozją rzeczywistą.

Tak było właśnie, tylko w okolicznościach trochę więcej skomplikowanych, z rzeźbiarzem Janem Dupré, który jechał w towarzystwie żony, sam powożąc tuż ponad stromą ścianą przepaści. Nagle oboje usłyszeli głos, wołający jakby z wnętrza góry: — Stać! — Obrócili się i nie widząc nikogo, pojechali dalej. Ale krzyk rozbrzmiał ponownie, mimo, że nigdzie nie dojrżeli człowieka. Rzeźbiarz wysiadł i po chwili stwierdził, że z osi lewego koła, toczącego się tuż nad przepaścią, spadła śruba piasty. Koło mogło lada chwila zesunąć się z osi, a powóz runąć w otchłań.

I tutaj, zda się, niema potrzeby porzucać teorii percepcji podświadomej. Nie wiemy, a także i sam dotyczący, którego zeznanie nie budzi żadnych wątpliwości, nie mógłby nam pewnie powiedzieć, czy uwagi jego nie pobudziło coś ledwo dostrzegalnego, n. p. jakiś skrzyp koła, lub chwianie się pojazdu. Wiemy, z jaką łatwością dramatyzuje się bezwiednie i to natychmiast tego rodzaju przygody.

XXII.

Te przykłady, nie wyczerpujące zresztą serii, charakteryzują, jak sądzę, dostatecznie tę właśnie odmianę przeczuć. Problem jest tu prostszy, niż gdy idzie o przeczucia bezużyteczne, o ile się w nie nie wmiesza dezinkarnatów, inteligencyj nieznananych, czy znajomości rzeczy przeszłych, gdyż wówczas występują te same trudności i pogląd, z pozoru słuszny, staje się w gruncie rzeczy, równie jak inne, daremny. Zaiste, istota tajemnicza, która wie, że podróżny pójdzie aż nad brzeg wody, że koło zacznie zesuwać się z osi, że czarka wybuchnie i brzeg runie w danej sekundzie, istota taka wiedziała również, że podróżny nie uczyni śmiercionośnego kroku, powóz się nie przewróci, czarka nikogo nie zrani, a łódź oddali się od brzegu. Wiedząc jedno, musi wiedzieć i drugie, gdyż wszystko odbywa się

w jednym punkcie, w tej samej chwili. Czyż można powiedzieć, że gdyby istota ta nie przestrzegła, nie zostałby wykonany zbawczy gest? Jakże sobie wyobrazić tę przyszłość, która jednocześnie posiada elementy niezmiennie i takie, które niemi nie są? Jeśli zostało przewidziane, że brzeg runie, a podróżny ocaleje, ostrzeżony głosem pozaziemskim, to zostało jednocześnie przewidziane, że to ostrzeżenie nastąpi. Nacóż tedy cała ta daremna komedja? Nie tłumaczy mi tu niczego hipoteza spirytystyczna, ani spirytualistyczna, która przypuszcza znajomość całej przyszłości, odnośnie do jednego przynajmniej punktu i oznaczonej chwili. Przeciwnie, wszystko nabiera prawdopodobieństwa, jeśli się trzymamy podświadomości. Może ona rzeczywiście, nie znając nawet w większości wypadków dokładnie całej przyszłości, bezpośrednio mieć intuicję grożącego niebezpieczeństwa, a to dzięki wskazówkom, które się wymykają naszej świadomości zewnętrznej. Może również posiadać częściową, sporadyczną, drgającą, że tak rzekę, wizję wydarzenia przyszłego i rzucić w chwili wątpliwości, na wszelki wypadek, ostrzeżenie błyskawiczne, które zresztą nie zmieni już niczego.

XXIII.

Stwierdźmyż więc raz jeszcze, że przecucie użyteczne musi z konieczności unicestwić w zarodku wypadek i zarazem samo siebie, w ten sposób, że wszelka kontrola stanie się niemożliwą. Przecucia takie mogłyby istnieć wówczas jeno, gdyby prorokowały jakieś wydarzenie natury ogólnej, przed którym dany człowiek uszedłby cało tylko dzięki takiemu właśnie ostrzeżeniu. Gdyby ktoś mający jechać do Meksyku otrzymał na dwa lub trzy tygodnie przed katastrofą ostrzeżenie: — Nie jedź tam, gdyż miasto to zostanie zniszczone przed końcem miesiąca! — wówczas mielibyśmy przykład doskonały.

Ale autentyczne przecucia tego rodzaju są nader rzadkie i zawsze bardzo niejasne odnośnie do tego przypadku ogólnego. W doskonałej pracy

prof. Bazzano, będącej czemś w rodzaju kanonu zjawisk premonicyjnych, znajdujemy dwa tylko przykłady wyraziste, mianowicie stopięćdziesiąty piąty i stopięćdziesiąty ósmy, oba zaczerpnięte z dziennika *SOCIETY OF PSYCHICAL RESEARCH*. W pierwszym z nich¹⁾ matka kazala służącej zawrócić do domu córeczkę, która już wyszła na przechadzkę, chcąc usiąść na skale, tuż ponad linią kolejową. Matka posłyszała, w chwilę po odejściu dziewczynki, głos wewnętrzny mówiący: — Zawezwij ją, by wróciła, gdyż spotka ją coś strasznego! — Niedługo potem wykoleił się pociąg, a lokomotywa uderzyła o skałę dokładnie w miejscu, gdzie dziewczynka zwykła była siadać.

Drugi przykład²⁾, zbadany ściśle przez prof. W. F. Barretta, dotyczy kapitana Mac Gowana, który będąc w Brooklynie w odwiedzinach u córek swych przyrzekł zabrać je do teatru. Poprzedniego już wieczoru kupił bilety, ale rano, w dzień przedstawienia, usłyszał głos wewnętrzny, mówiący mu: — Nie chodź do teatru! Odprowadź dziewczęta na pensję! — Kapitan wahał się, walcząc z ochotą, ale wobec uporeczywych naopnięń wewnętrznych zrezygnował, ku wiel-

¹⁾ Journal of the S. P. R. tom VIII. str. 45.

²⁾ Journal of the S. P. R. tom I. str. 283.

kiej żalości panienek. Tejże nocy spłonął teatr, a trzysta osób poniosło śmierć w płomieniach.

Możnaby tu dołączyć prorocstwo o bitwie pod Borodinem, zamieszczone w pamiętniku Stefana de Grellet, o którym już wspomniałem, a które przedstawia się tak pokrótce.

Trzy niespełna miesiące przed wkroczeniem Francuzów do Rosji, miałażona generała Tuczkowa sen, w którym ujrzała się w hotelu nieznanego miasta. Nagle wszedł ojciec jej, wiodąc za rękę jedynego syna generałowej i powiedział: — Skończyło się szczęście twoje, mąż twój padł pod Borodinem.

Sen ten powtórzył się trzy razy. Przerażona wielce zbudziła męża i spytała, gdzie jest Borodino. Szukali na mapach oboje, ale nie znaleźli tej miejscowości.

Tuż przed wkroczeniem Francuzów do Moskwy został generał Tuczkw zamianowany komendantem rezerw. Pewnego ranka wszedł ojciec generałowej do pokoju hotelowego, gdzie chwilowo mieszkała. Wiódł za rękę jej syna, był smutny, jakim go widziała we śnie i powiedział: — Mąż twój padł pod Borodinem.

Ujrzała się w tymsamym pokoju, co we śnie, pośród tychsamych przedmiotów, a mąż jej zginął rzeczywiście w bitwie nad rzeką Borodinem, od której nazwano tak małą wioskę.

XXIV.

Jest to bezsprzecznie przykład bardzo rzadki jedyny może przepowiedni na długą metę, dotyczący zdarzenia historycznego, którego nikt normalnie przewidzieć nie mógł. Porusza on głębiej niż jakikolwiek inny olbrzymie problemy fatalizmu, wolności woli i odpowiedzialności ludzkiej. Czyż jednak został on tak dokładnie skontrolowany, by go można wysuwać na czoło? Nie umiem na to odpowiedzieć. W każdym razie nie przeszedł przez sito S. P. R. Zresztą odnośnie do problemu zajmującego nas tu nie można twierdzić, jakoby to ostrzeżenie było użyteczne i mogło powstrzymać generała od pójścia pod Borodino. Nie wiedział on prawdopodobnie dokąd idzie i gdzie się znajduje, a zresztą, porwanym będąc w wir wojny, nie mógł decydować o losie swoim. Premonicja mogła tedy nastąpić, gdyż było to pewną rzeczą, że z niej dotyczący nie skorzysta.

Oдноśnie do dwu poprzednich przykładów (CLV. i CLVIII.) podkreślić jeszcze należy dziwne ich przemileczenia, oraz fakt, że nie przypisując obu podświadomości, trudnoby znaleźć objaśnienie. Konieczne zdarzenie główne nie jest w nich sprecyzowane, ale skutek uboczny, akcesoryjny, wydaje się odwróconym, jakgdyby nas chciano przekonać o wolnej woli człowieka. Tymczasem istota tajemnicza, która przewidywała katastrofę, powinna była również przewidzieć, że jeśli ostrzeże dotyczącego, nie mu się nie stanie. I znowu zawracamy do bezcelowej komedji, o której była wyżej mowa. Natomiast, jeśli przyjmujemy teorię podświadomości, natenczas przyznamy, że we wszystkich tych przypadkach mogła ona już nie drogą wymykającą się naszemu jasnowidztwu, ale inną, nieznaną, dać mgliste przeczucie niebezpieczeństwa, lub, jak się rzekło, wizję częściową, sporadyczną i nieokreśloną, zdarzenia przyszłego i rzucić na oślep krzyk ostrzegawczy.

Wkońcu przyznać należy, że rozum ludzki nie powinienby się właściwie zapuszczać w te krainy, a rola proroka jest obok roli komentatora przepowiedni jedną z najtrudniejszych i najniewdzięczniejszych, jakie się rozgrywają na scenie tego świata.

XXV.

Nie wiem, czy trzeba, dla zamknięcia tych rozdziałów, podejmować po tylu innych problem preegzystencji przyszłości, który mieści w sobie problemy fatalizmu, wolności woli, czasu i przestrzeni, to znaczy wszystko, co dotyczy najgłębszych źródeł wszelkiej zagadki wszechświata. Teologowie i metafizycy obrabiali je ze wszystkich stron, bez jakiegokolwiek nadziei rozwiązania. Są one jaknajściślej zamknięte dla naszego umysłu i nic o nich więcej nie wiemy dziś, niż w dniu, kiedyśmy je po raz pierwszy dostrzegli. Co poza nami odpowiada temu, co zwiemy czasem i przestrzenią? Niewiadomo. Niczego w gruncie nie poucza nas Kant, twierdzący, wraz z apriorystami, że czas i przestrzeń są to wrodzone i aprioryczne formy naszego poznania, czyli, że są intuicją, poprzedzającą wszelkie doświadcze-

nie. Podobnie Guyau, godzący się z empirystami, iż idee te nabyte zostały doświadczeniem, nie objaśnia nas wcale twierdząc, że czas jest to abstrakcyjna formuła zmian we wszechświecie. Choćby przestrzeń, jak chce Leibnitz, była szeregiem koegzystencji, a czas szeregiem sukcesyj, choćbyśmy przez pojęcie przestrzeni dochodzili do pojęcia czasu, zaś czas był konieczną formą wszelkiego poznania, choćby był on ojcem wszystkiego, lub przeciwnie, jedno jest tylko pewnem, a mianowicie, że wszystkie wysiłki apriorystów, kantystów, neokantystów, empiryków czystych i idealistycznych, że wszystko to razem wiedzie w tęsamą ciemność. Zajmowali się tem wszyscy filozofowie, a z pośród nich można na oślep cytować bohaterów myśli dawniejszej i najnowszej, a więc: Spencera, Helmholtza, Renouviera, Jamesa Sully, Stumpfa, Wiljama Jamesa, Warda, Stuarta Milla, Ribota, Foullego, Guyau, Baina, Lechalasa, Dolmesa, Dunana i mnóstwo innych. Wszyscy starali się opanować tę podwójną, straszliwą zagadkę, a sprzeczne ich teorje, mające za sobą dużo słuszności, walczą daremnie pośród mroku z cieniem, który nie jest z tego świata.

XXVI.

Celem przedstawienia problemu preegzystencji przeszłości, tak jak go ujmujemy wszyscy, spróbujmyż w sposób skromny przetransponować go na obrazy dotykalne i niejako uscenizować. Piszą to, siedząc na kamieniu, w cieniu jednego z wielkich wiązków, otaczających mały zameczek normandzki, w pogodny dzień letni, kiedyto rozkosz życia staje się niemal dostrzegalną w odcieciu kopuły nieba. W dali widnieje rodzajna nizina nadsekwańska, o zielonych pastwiskach, usiana spokojnymi drzewami, przecięta wstęgą rzeki, która płynie ku sinym wzgórzom przyładka. U mych stóp leży wiejski plac kościelny. Procesja wychodzi powoli, a pośród niej figura Matki Boskiej kroczy wokół przybytku. Znam każdy szczegół ceremonji. Stary proboszcz, facecjonista, niesie bez przekonania mały relikwiarz,

za nim kroczą czterej śpiewacy, z ustami aż do uszu rozwartymi, wyrzucając niezrozumiałe, łacińskie słowa, potem cisną się ministranci, dziewczynki małe i stare panny w białych sukniach, wzdęte jak balony, ustrojone w szarfy, za nimi zaś czernieją wyrudziałe surduty notabłów miejscowych. Orszak znika za drzewami, jawi się na zakręcie drogi i wchodzi spiesźnie do kościoła. Biję właśnie piąta, jakby na zakończenie sceny i zaznaczenia, w nieskończonych dziejach zdarzeń, tego zdarzenia, po którym nie zostanie wspomnienia, a które aż do śmierci ostatniego ze światów będzie takim, jak w chwili, kiedy bawilo oczy moje.

W istocie, za rok i w latach następnych procesja ta będzie zawsze inna. Nietylko zniknie kilku uczestników, ale i pozostali ulegną zmianom widocznym, lub niedostrzegalnym, jakie niesie z sobą czas. Jednem słowem ten obraz drobny i nic nieznaczący jest unikiem, niemożliwym do powielania i naśladowania, jak każdy z momentów istnienia wszechrzeczy. Widowisko kilka sekund trwające zapadło we wieczność i pozostanie tam aż do końca czasu, tak że gdyby ktoś mógł w przyszłości odnaleźć jego »kliszę astralną« ujrzalby go niezmiennym, nietkniętym, nieziszczalnym i bez zarzutu doskonałym.

XXVII.

Pojmujemy zupełnie jasno, że możliwem jest ujrzeć taką kliszę nieistniejącego już zdarzenia i to retrospektywne jasnowidztwo wydaje nam się cudowne, ale nie niemożliwe. Dziwi, lecz nie obala rozumu. Gdy atoli idzie o schwycenie tego-samego obrazu w przyszłości, wyobraźnia naj-zuchwalsza odmawia nam natychmiast usług. Jakżeby mogło istnieć kędyś wyobrażenie, czy reprodukcja czegoś, co się jeszcze nie stało? Jednakowoż niektóre fakty, jakie poznajemy, do-wodzą w sposób zadowalniający niemal, że ta-kie obrazy są nietylko możliwe, ale można je uzyskać częściej, by nie rzec, łatwiej, niż obrazy przeszłości. Z chwilą kiedy to wyobrażenie pre-egzystuje, jak o tem świadczą przeczucia i pre-monicje pewnego rodzaju, to tajemnicy nie zmie-nia, czy poprzedza ą one kilka godzin, lat, czy

wieków. Możliwem jest tedy, — gdyż musimy iść tu do końca, albo spraw tych nie tykać — by jakiś jasnowidz potężniejszy od naszych, ja-kiś bóg, półbóg, demon, jakaś inteligencja nie-znana, wszechświatowa czy zaświatowa dostrze-gła obraz tej procesji przed stoma tysiącami lat, kiedy jeszcze nie było niczego, co stanowi dziś jej treść i otoczenie, a nawet ziemia, po której stapa, nie wynurzyła się jeszcze z głębi morza. Również i inni jasnowidze, potężni jak pierwszy, mogliby z wieku na wiek oglądać ten punkt ziemi i ten moment, dostrzegając ciągle, poprzez przewroty morza brzegów i lasów do-tyczące, ową procesję wokół kościółka, który spoczywał jeszcze wówczas w głębi wód, złożoną z tychsamych osobistości, przynależących do rasy, której przedstawicieli nie było jeszcze wów-czas na ziemi.

XXVIII.

Trudno nam jest rzeczywiście zrozumieć, by przyszłość miała poprzedzać nicosć, by chwila bieżąca mogła być jednocześnie przyszłością i przeszłością, a to czego jeszcze niema, było jednocześnie tem, co już minęło. Z drugiej jednak strony jest nam równie trudno pojąć, by przyszłość nie miała preegzystować, by nic nie istniało przed terażniejszością, a wszystko było jeno tą terażniejszością i przeszłością. Dla inteligencji wyższej i uniwersalniejszej niż nasza wszystko jest zapewne wiekuistą terażniejszością, olbrzymim *punctum stans*, jak mówią metafizycy, gdzie wszystkie zdarzenia mieszczą się na jednym planie. Nie ulega jednak również kwestji, że my, ludzie, dopóki ludźmi pozostaniemy, chcąc pojąć cośkolwiek z tej wielkiej terażniejszości, będziemy ją musieli zawsze dzielić na

trzy części. Jesteśmy tedy wzięci pomiędzy dwie zagadki, równie wytrącające z równowagi nasz rozum, czy zaprzeczymy, czy uznamy preegzystencję przyszłości. Jest to w zasadzie spór o słowa. W pierwszym razie zwiemy terażniejszością, w stosunku do inteligencji idealnej to, co jest dla nas przyszłością, w drugim zaś zwiemy przyszłością to, co w stosunku do tejże idealnej inteligencji jest terażniejszością. Ale rezultat analizy w obu wypadkach jest ten niezaprzeczalnie, że przynajmniej w stosunku do nas przyszłość preegzystuje, albowiem owa preegzystencja jest jedynem mianem tego, czego jeszcze nie dostrzegamy w terażniejszości i jedyną formą, w jakiej to pojąć możemy.

XXIX.

Próbowano rozwiązać tę zagadkę, przenosząc ją w przestrzeń. Traci, co prawda, dużo na ciemności, ale odczuwa się także, że zmieniając środowisko zmienia najzupełniej naturę swoją i nie jest zgoła podobną do tej, jaką była w czasie. Powiadają nam n. p., że liczne miasta, rozsiane po ziemi, nie istnieją dla nas, o ileśmy ich nie spostrzegli i zaczynają istnieć dopiero, gdy je zwiedzamy. To prawda, ale przestrzeń, wolna od wszelkich spekulacyj metafizycznych, jest dla nas tak realna, jak realnym nie jest czas. Przestrzeń tajemnicza i niezrozumiała, o ile przekroczymy pewne granice, nie jest jednak we wszystkich częściach swoich niezrozumiałą i iluzoryczną, jak czas. Pojmujemy niewątpliwie, że te rozliczne miasta, którychśmy nie oglądali, istnieją rzeczywiście, natomiast trudno nam jest

bardzo pojąć, by istniała równie realnie katastrofa, która ma za lat pięćdziesiąt zniszczyć któreś z tych miast. Możemy sobie wyobrazić punkt, z którego oczyma bystrzejszemi od naszych moglibyśmy ogarnąć wszystkie miasta naszego globu, a nawet miasta innego świata, natomiast dużo trudniej wyobrazić sobie punkt w czasie, z którego ogarnąćby można jednocześnie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Wszystkie trzy są bowiem stanami trwania, które nie mogą zaistnieć jednocześnie w naszej inteligencji, nie pożerając się wzajem natychmiast. Jakże sobie n. p. wyobrazić punkt wieczności, w którym istniałaby już nasza procesja, kiedy jej jeszcze nie ma, albo już przeminęła? Dodajmy jeszcze, że procesja ta musiałaby pozostać niezmienną od wieków, bez początku i żadna wyobrażalna siła nie mogłaby w niej nic zmienić w przyszłości, ni przeszłości. Pojmiemy teraz, że nie ma nadziei pojęcia tu czegokolwiek.

XXX.

Pośród faktów zebranych przez Bozzana, znajduje się jedna premonicja, w której niepoznawalność czasu łączy się przedziwnie z niepoznawalnością przestrzeni. W sierpniu 1910 roku, Giovanni de Figuerra, jeden z najsłynniejszych fechtmistrzów Palermu, śni o miejscowości wiejskiej, wzdłuż drogi białej i pokrytej kurzem, drogą tą dostaje się na rozległe, uprawne pole, pośrodku którego widnieją budynki gospodarcze, lamus, stajnia i stodoła, oraz dom mieszkalny i wozownia, gdzie wisi na ścianach uprzęż.

Wieśniak w ciemnych spodniach i czarnej czapce wychodzi naprzeciw, zaprasza i prowadzi gościa za dom. Tam wchodzi przez niskie, wąskie drzwi do budynku, o krętych, kamiennych schodach. Szlachcic napotyka tu muła przywiązanego do żłobu, usuwa go z drogi

i wchodzi schodami na coś w rodzaju strychu, gdzie ze stropu zwisają pęki dyni, pomidorów, cebuli i kukurudzy.

Tutaj zastaje dwie kobiety i małą dziewczynkę, zaś przez otwarte drzwi spostrzega łóżko wysłane wysoko, jakiego nigdy nie widział.

Tu urwał się sen, który mu się tak dziwnym wydał, że opowiedział o nim kilku przyjaciółom, a oni potwierdzili, iż słyszeli tę opowieść.

Dnia 12 września tegoż roku, Figuerra udał się automobilem jako sekundant pewnego znajomego w pojedynku do Marano, gdzie nigdy jeszcze nie był i o którym nawet nie wiedział. Zaledwie dotarł do wioski, ujrzał ze zdziwieniem drogę okrytą kurzem, a gdy automobil stanął, poznał dokładnie uprawne pole. Gdy wysiedli, powiedział do jednego ze świadków: — Nie jestem tu, widzę, po raz pierwszy. Na końcu ścieżki muszą być budynki gospodarcze, dom mieszkalny, stodoły, stajnia i wozownia z uprzężą na ścianach! — Wistocie wszystko to zastali. W chwilę potem, w momencie, odpowiadającym dokładnie snowi, wyszedł naprzeciw wieśniak w ciemnych spodniach, czarnej czapce, zaprosił do siebie. Ale miast iść za gospodarzem, szlachcic jął kroczyć przodem, jakby znał to miejsce, dotarł do kamiennych, kręconych schodów i zastał tego-

samego mula, przy żłobie, zawadzającego mu w przejściu. Figuerri wszedł po schodach na strych, rozpoznał pęki dyń, pomidorów, cebuli, dwie milczące kobiety i małą dziewczynkę, oraz łóżko w drugiej stancji, które go we śnie tak zastanowiło.

Możnaby powiedzieć, że te fakty, ta rzeczywistość pozagrobowa, ta prawda wiekuista czy nie wiem już co, chciały nam ukazać, iż czas i przestrzeń są jeno złudzeniem, konwencją i nie istnieją wcale poza naszą, codzienną inteligencją, że »wszędzie« i »zawsze« są to synonimy i rządzą wszędzie same, gdzie jeno przekroczymy ciasne granice mglistej świadomości uaszej. Figuerri miał więc jasnowidzenie ściśle i dokładne miejsca, gdzie się znalazł później dopiero. Jest to zjawisko dość częste, niemal klasyczne, które odbywając się w przestrzeni nie dziwi nas tak dalece, a w każdym razie nie wyrywa ze świata dostrzegalnego zmysłami. Pole, dom, strych, i t. d. nie ruszają się, niema więc w tem cudu, gdy je odnajdujemy na temsamem miejscu. Ale nagle fenomen porzuca te domeny spokojne, przenosi się w czas i wyprowadza na scenę, w chwili wróżebnej, wszystkich ruchomych aktorów małego dramatu w dwu aktach, z których pierwszy rozegrał się przed dwu przeszło miesiącami,

w przepaściach jakiegoś innego życia, gdzie zdawał się czekać nieruchomy i niewzruszalny na swą realizację ziemską. Każde tłumaczenie zagęściłoby jeno w sposób śmieszny ciemności na morzu ciemni. Zaznaczmyż raz jeszcze dziwactwo tych wszystkich premonicyj. Gromadzą one najdokładniej drobiazgi i szczegóły, jak długo scena pozostaje obojętną i bez znaczenia, natomiast urywają się nagle w chwili, kiedy nadchodzi moment patetyczny i interesujący dramatu. Jaki przysposabiają, a więc jak tutaj, pojedynku, jego perypetji i wyniku. Odnajdujemy i w tym przypadku nawyczki naszego gościa nieznanego, brak związku, niemoc, ironję i skłonność do gadulstwa.

XXXI.

Niema potrzeby wieść dalej tych, pustych zresztą, spekulacyj na temat przestrzeni i czasu. Są to jeno igraszki słowne, źle obrazujące idee, których nie pojmujemy zgola. Jeśli nam trudno wyobrazić sobie preegzystencję przyszłości, trudniej jeszcze pojąć, że jej niema, wobec faktów świadczących, iż jest tak realna, tak definitywna jak przeszłość i posiada w czasie czy wieczności tęsamą co tamta trwałość i swoistą rzeźbę. Jeśli zatem preegzystuje, coś dziwnego, że ją możemy poznać, a nawet to raczej dziwić powinno, że jej częściej i łatwiej nie odnajdujemy, skoro nas otacza z wszystkich stron. Trzeba nam jeszcze zastanowić się, czem byłoby życie, gdyby wszystko zostało przewidziane, gdybyśmy znali je tak z góry, wraz z wszystkimi nieuniknionymi wydarzeniami, albowiem

gdyby ich można uniknąć, nie istniałyby i nie moglibyśmy ich spostrzegać. Przypuśćmy, że proroctwo przestaje być rzadkie, anormalne, niepewne, mgliste i podległe dyskusji, a jest niejako naukowe, zwyczajne, jasne i nieomylne, otóż w takim razie zmarłoby z wycieńczenia, nie mając czego prorokować. Gdyby mi wyprorokowano, że zginę w podróży do Włoch, nie pojechałbym tam oczywiście, wobec czego nie możnaby mi już prorokować tego, a w krótkim czasie całe życie stałoby się jeno bezczynem, tępota, abstynencją i czemś w rodzaju wielkiego rozłogu pustki, zasianej kielkami poronionych wydarzeń, z kilku może jakimiś szczęśliwymi, mniej więcej, przygodami i drobnymi incydentami, nie zasługującymi na to, by ich uniknąć. Są to jednak kwestje nierozwiązalne, nad którymi nie będziemy się dłużej zatrzymywali.

KONIE ELBERFELDZKIE

I.

NASAMPRZÓD streszczę, jak się da najkrócej, fakty nie wszystkim znane, a konieczne dla zrozumienia przedziwnych zdolności koni elberfeldzkich, zaś tych, którzyby pragnęli szczegółów, odsyłam do znamiennego dzieła Karola Kralla p. t. »denkende Tiere«, ogłoszonego w Lipsku, w roku 1912, będącego źródłem pierwszorzędnem w obfitej już dziś bibliografji tego rodzaju.

Przed dwudziestu mniej więcej laty żył w Ber-

Przypominam, że studjum to, podobnie jak i cały tom, zostało napisane w roku 1913, przed wojną, po powrocie z Niemiec, owych Niemiec, dziś znienawidzonych przez wszystkich, które wówczas ukrywały pod maską życzliwą swe wrogie zamiary. Nie wiem, co się stało z nieszczęsnymi końmi elberfeldzkiemi. Pewnie zginęły w zawierusze, jak tyle innych, zostawszy ofiarami ludzkiego zaślepienia.

linie stary odludek, Wilhelm von Osten. Miał małą rentę, był potrochu manjakiem, a opętała go idea badania inteligencji zwierząt. Jął kształcić konie, ale pierwsze próby dały wątpliwe wyniki. W roku 1900 kupił rosyjskiego ogiera, imieniem Hans, którego potem nazwano *der kluge Hans*, a koń ten obrócił w niwecz całą psychologię zwierzęcą i wywołał problemy najniespodziewańsze i podniecające ludzi w mierze dotąd niebywalej.

Osten wcale nie miał anielskiej cierpliwości, jakby można było oczekiwać, ale raczej pełen wściekłości upór, jednak dzięki temu właśnie Hans czynił postępy szybkie i nadzwyczajne.

Dr. E. Claparède, profesor uniwersytetu genewskiego poświęcił znakomitą monografię koniom elberfeldzkim. Powiada on tam: — Zapoznawszy naprzód Hansa z pojęciami powszednimi, jak strona prawa, lewa, góra, dół i t. p. rozpoczął lekcje rachunku metodą intuitywną. Stawiał Hansa przed stołem, na którym był zrazu jeden mały kręgiel, potem dwa, trzy, cztery i więcej. Osten, klęcząc obok Hansa, wymawiał odnośną liczbę, zmuszając go do uderzania tyle razy kopytem, ile było kręgla na stole. Niebawem kręgle zastąpione zostały liczbami pisanymi na czarnej tablicy. Dało to wyniki zdu-

miewające. Koń nauczył się nie tylko rachować (to znaczy uderzać żądaną ilość razy kopytem), ale także wykonywał sam rzeczywiste rachunki i rozwiązywał małe zadania.

Hans nauczył się jednak nie tylko rachować, ale także czytać, został muzykiem i odróżniał akordy harmonijne od dysonansów. Miał niezwykłą pamięć i oznaczał datę każdego dnia w tygodniu bieżącym. Słowem dokonywał wszystkiego, do czego jest zdolny dobry uczeń lat czter-nastu.

II.

Niedługo rozeszły się wieści o tych doświadczeniach i goście zaczęli napływać do małego podwórka, gdzie Osten produkował swego niezwykłego ucznia. Wmieszały się w to dzienniki i rozgorzała polemika pomiędzy wierzącymi w rzeczywistość faktów, a tymi, którzy w tem wszystkim upatrywali jeno bezwstydnę oszustwo. W roku 1904 wysłano pierwszą komisję naukową, złożoną z profesorów psychologii, fizjologii, dyrektora ogrodu zoologicznego, dyrektora cyrku, weterynarza i oficerów jazdy. Komisja nie znalazła nic podejrzanego, ale nie zaryzykowała żadnego objaśnienia. Wysłano nową komisję, której członkiem był też Oskar Pfugst, uczeń laboratorium psychologicznego w Berlinie. Pfugst poczynił liczne doświadczenia i złożył olbrzymie, przyniatające sprawozdanie, do-

wodzące, że koń nie posiada żadnej inteligencji, nie poznaje ani liter, ani cyfr, nie umie w rzeczywistości ani rachować, ani liczyć, jeno po prostu wykonywa to co mu każe pan jego, zapomocą znaków niepostrzeżonych, dyskretnych wielce, a często nawet bezwiednych.

Nastąpił nagły zwrot w opinii publicznej. Doznano, nikczemnej potrosze, ulgi wobec zniknięcia cudu, który zagrażał spokojowi trzódki poprzestającej na prawdach już osiągniętych. Daremnie protestował biedny Osten, nie słuchano go, został osądzony. Ten cios oficjalny zdruzgotał go, stał się pośmiewiskiem tych, których niedawno zdumiewał i zmarł ze zmartwienia, opuszczony przez wszystkich 29 czerwca 1909 roku, mając lat siedmdziesiąt jeden.

III.

Zostawił jednak ucznia, którego poglądów nie zmieniła klęska. Bogaty przemysławiec elberfeldzki Karol Krall zainteresował się pracą Ostena i w ostatnich latach życia starca przyglądał się ciągle kształceniu ogiera, a potem sam nawet prowadził je dalej. Osten zostawił mu »Mądrego Hansa«, zaś Krall kupił dwa ogiery arabskie »Mahometa« i »Zarifa«, które wnet prześcignęły sławę przodków swoich. Wszystko zostało wznowione, a wydarzenia potoczyły się energicznym, stanowczym tokiem. Przeciwnicy cudu miast znużonego starca, opryskliwego dziwaka bez siły odpornej, ujrzeni teraz przed sobą człowieka młodego, pełnego zapału, obdarzonego wielkim instynktem naukowym, pomysłowego, wykształconego i zdolnego do obrony.

Metoda jego różniła się zresztą bardzo od

metody Ostena. Rzecz dziwna, zwolna powstała w oschłej duszy zdziwaczalego amatora koni dziwna nienawiść do czworonożnego ucznia. Czuł, że ponura wola ogiera buntuje się przeciw jego woli z uporem, który uznał za djabelski. Stawali przeciw sobie jak nieprzyjaciele, a lekcje przybrały charakter walki tragicznej i podstępnej, w której dusza zwierzęcia stawiała opór opętywaniu jej przez człowieka.

Krall przeciwnie kocha swych wychowanców, a przywiązanie, które czują, przemieniło je niejako w ludzi. Nie zdarza się u nich gest przestrachu nagły i niespodziany, jaki miewa najposłuszniejszy koń, atawistycznie drżący przed człowiekiem. Krall przemawia do nich czule, długo, niby ojciec do dzieci, a widzowi wydaje się, że słuchają i rozumieją każde słowo. Jeśli nie mogą pojąć jakiegoś wyjaśnienia, czy doświadczenia, Krall zaczyna na nowo, rozbiera i parafrazuje po dziesięć razy to samo, z cierpliwością iście macierzyńską. Toteż postępy były odrazu bez porównania szybsze i bardziej zdumiewające, niż w karierze starego Hansa. W niespełna dwa tygodnie po pierwszej lekcji Mahomet wykonywał poprawnie elementarne dodawanie i odejmowanie. Nauczył się rozróżniać dziesiątki od jednostek wybijając jedne nogą

lewą, a drugie prawą. Wiedział, co oznacza znak +, a co —. W cztery dni później wziął się do mnożenia i dzielenia. Po kilku miesiącach wyciągał pierwiastki kwadratowe i kubiczne, niedługo zaś potem sylabizował i czytał, posługując się wymyślonym przez Kralla alfabetem.

Alfabet ten wydaje się na pierwsze wejrzenie dość skomplikowanym. Jest w istocie jeno środkiem pomocniczym, gdyż biedny koń, niemal pozbawiony głosu, ma jeno kopyto do wyrażenia swych myśli, które nie w tym powstało zresztą celu. Trzeba było tedy wymyśleć jak dla stolika wirującego alfabet, gdzie litery wyrażone są pewną ilością uderzeń kopyta nogi lewej lub prawej. Poniżej podaję tabliczkę jaką otrzymuje każdy gość w Elberfeldzie, by móc orjentować się w tem co czyni koń.

Dla oznaczenia n. p. litery *e* koń uderza raz nogą lewą, a raz prawą, przy literze *l* trzy razy lewą, a dwa razy prawą i tak dalej. Konie tak dobrze pamiętają ten alfabet, że nie myślą się, rzecz można, nigdy, a stukają tak szybko jednym i drugim kopytem, że z początku trudno śledzić, co chcą wyrazić.

Postępy Zorifa były niemal takie same jak Mahometa, tylko zdaje się on mieć mniej zdolności w zakresie matematyki wyższej. Oba re-

produkuja słowa, jakie się wobec nich wymawia, sylabizują nazwiska gości, odpowiadają na zadawane pytania i czynią nieraz pewne spostrzeżenia czy refleksje osobiste i spontaniczne, o których zamieszczam dalej szczegóły. Stworzyły sobie na własny użytek ortografię fonetyczną,

	1	2	3	4	5	6
10	e	n	r	s	m	c
20	a	h	l	t	ä	ch
30	i	d	g	w	j	sch
40	o	b	f	k	ö	
50	u	v	z	p	ü	
60	ei	au	eu	x	q	

szaloną wprost i trzymają jej się uparcie, co często utrudnia odczytywanie ich myśli. Uznawszy za bezpożyteczną większość samogłosek, trzymają się wyłącznie spółgłosek. Toteż słowo: *Zucker*, brzmi: *Zkr*, słowo *Pferd* wychodzi jako *Pfirt* albo *Frt* i t. d.

Trudno wyliczyć rozlicznych dowodów inte-

ligencji przedziwnych mieszkańców stajni elberfeldzkiej. Są to nietylko pierwszorzędni rachmi-strze, dla których ułamki i pierwiastki najcu-daczniejsze nie mają tajemnic, ale ponadto ko-nie te rozróżniają tony, barwy, odczytują go-dzinę na zegarku, rozpoznają pewne figury geo-metryczne, obrazy, fotografie e t. c.

Skutkiem tych coraz to bardziej przekony-wujących doświadczeń, a zwłaszcza po opubli-kowaniu wielkiego, bardzo ścisłego i metodycz-nego dzieła Kralla p. t. *Denkende Tiere*, problem zarysował się wyraziście i nie mógł już zostać odrzucony. Przybywały jedno po drugich komi-sje do Elberfeldu i nawiązane zostały stosunki ze światem naukowym całego świata. Wymie-niam z pośród wielu następujące powagi: Dr. Edinger, znakomity neurolog z Frankfurtu, Dr. H. Kreemer i H. E. Ziegler profesorowie ze Sztutgartu, Dr. Paweł Torasin z Bazylei, prof. Ostwald z Berlina, prof. A. Beredka z instytutu Pasteura, dr. Claparède z Genewy, prof. Schoel-ler, fizyk Gebrke z Berlina, prof. Goldstein z Darm-sztadu, prof. Buttel-Respen z Oldenburga, prof. Wiljam Mackenzie z Genui, prof. R. Assaglioli z Florencji, dr. Hartkopf z Kolonji, dr. Freudenberg z Brukseli, dr. Ferrari z Bolonji. Lista po-większa się z każdym niemal dniem. Wszyscy

spieszą zobaczyć niesłychane zjawisko, które Claparède nazywa »najbardziej wstrząsającym faktem, jaki zdarzył się w psychologii«.

Z wyjątkiem kilku niedowiarków, mizone-stów beznadziejnych, lub tych, którzy nie dość długo bawili w Elberfeldzie, wszyscy uznali jed-nogłośnie rzeczywistość faktu i zupełną lojal-ność doświadczeń, a niezgodność rozpoczęła się dopiero, gdy zaczęto komentować, interpretować i tłumaczyć.

IV.

Wypada dodać, celem uzupełnienia tego wstępu, że od jakiegoś czasu konie elberfeldzkie nie stanowią unikatów. Istnieje rzeczywiście w Mannheimie pies rasy nieokreślonej, który dokonywa rzeczy podobnych, jak jego jednokopytni kole-dzy. Mniej posiada wykształcenia w arytmetyce, ale wykonywa poprawnie dodawanie, odejmowanie i mnożenie jedną, lub dwoma liczbami. Czyta i pisze, uderzając łapą, podług alfabetu, który sobie podobno sam wymyślił, zaś ortografia jego jest równie ufonetyzowana i uproszczona do granic ostatecznych. Rozróżnia on kolory w bukietach kwiatów, liczy zawartość portmonetki i od-dziela marki od fenigów. Szuka i znajduje słowa na oznaczenie przedmiotu, lub obrazka, jaki mu pokazują. Gdy mu n. p. podsunąć bukiet we flakonie i spytać: — Co to jest? — odpowiada: —

To szklanka z małemi kwiatkami! — odpowie-dzi te odznaczają się dziwną oryginalnością. W toku pewnego doświadczenia z czytaniem na-sunęło się przypadkiem słowo: *Herbst* (jesień), a prof. Wiljam Mackenzie spytał, czy może po-wiedzieć co znaczy jesień. Rolf odparł bez wa-hania: — Jest to czas, kiedy są jabłka! — Pod-czas tego samego seansu tenże uczony podał psu bilet pokryty kwadratami niebieskimi i czer-wonemi, pytając: — Co to jest? — Rolf odparł zaraz: — Niebieskie i czerwone, podobne do ko-ści! — Czasem są to odpowiedzi zaprawione hu-morem — Cóż mam uczynić, by ci zrobić przy-jemność? — spytała jednego dnia pewna dama, wielka jego przyjaciółka — Machać ogonem (*Wedeln*) — odparł poważnie Rolf.

Sława Rolf'a jest świeża jeszcze i nie został on poddany ścisłemu badaniu urzędowemu, jak znakomici rywale jego z Nadrenji. Ale cytowane tu fakty zostały stwierdzone przez ludzi takich, jak prof. Mackenzie, oraz Duchatel, wielki i by-stry uczony, wiceprezes »Société universelle des Etudes psychiques«¹⁾, którzy jeździli umyślnie do Mannheimu. Fakty te, równie niezaprzeczalne

¹⁾ Fakty te omawia E. Duchatel, w interesującym szkicu opublikowanym w *Annales des Sciences psychiques* (wrzesień 1919).

jak elberfeldzkie, są niejako ich reprodukcją i echem. Tego rodzaju koincydencje fenomenów anormalnych napotyka się dość często. Występują nagle, na różnych punktach globu, odpowiadają sobie i mnożą się, jakby pod wpływem rzuconego hasła. Usłyszymy też prawdopodobnie rychło o innych zjawiskach tego rodzaju. Idzie, zda się, nowa fala i podczas gdy poprzednia rozbudziła w człowieku nieznane mu dotąd siły, druga dosięga teraz innych istot tej ziemi tajemniczej, gdzie żyjąc cierpią, mrą i podobnie jak my, nie wiedzą, czemu się to dzieje.

V.

Nie byłem w Mannheimie, ale odprawiłem pielgrzymkę do Elberfeldu i spędziłem tam tyle czasu, ile trzeba, by unieść przekonanie podobne jak ci wszyscy, którzy tam jeździli przede mną.

Przed kilku miesiącami p. Krall, któremu w roku zeszłym przyrzekłem zobaczyć jego cudowne konie, ponowił zaproszenie w sposób nagły, dodając że po 15 września stajnia jego zostanie może rozprószona, a także musi na zalecenie lekarza przerwać doświadczenia, które go bardzo męczą.

Wyruszyłem zaraz do Elberfeldu, który jest, jak wiadomo, znacznym miastem przemysłowym Nadrenji i to znacznie oryginalniejszym i bardziej malowniczym, niż się spodziewałem. Na długo przedtem przeczytałem wszystko, co opu-

blikowano w danej kwestji i byłem zupełnie przekonany o realności tych faktów, w które zresztą trudno było wątpić, wobec kilkakrotnie powtarzanej kontroli, oraz wielu badań i roztrząsań upartych, a często wrogich. Odnośnie do ich interpretacji sądziłem, że zachodzić tu może wyłącznie telepatja, to znaczy transmisja myśli od podświadomości do podświadomości, niezwyczaj, co prawda, w tak nowej dziedzinie. Tak sądziłem, mimo pewnych okoliczności, które temu przeczyły. Na wypadek niepowodzenia telepatji właściwej, skłaniałem się do hipotezy medjumicznej, czyli subluminalnej, którą doskonale przedstawił de Vasmé, w referacie swym, z dnia 22 grudnia 1912, w SOCIÉTÉ UNIVERSELLE D'ÉTUDES PSYCHIQUES. Telepatja, ujęta krańcowo zwłaszcza, apeluje przede wszystkim do sił subluminalnych, tak że obie hipotezy stykają się w wielu punktach i trudno je nieraz rozdzielić. Ale dyskusja ta znajdzie właściwe sobie miejsce gdzieś indziej.

VI.

Zastąpiłem p. Kralla w jego sklepie z klejnotami, podobnym do pałacu Golkondy, gdzie lśniły i mienily się wszystkimi barwami perły i najcenniejsze klejnoty świata. Karol Krall jest, jak to należy podkreślić dla usunięcia wszelkich kwestyj osobistych zysków, bogatym przemysłowcem, którego rodzina od trzech pokoleń zarządza jedną z najznamienitszych firm jubilerskich Niemiec. Badania jego nie tylko mu nie dają zysków, ale kosztują dużo, zabierają każdą wolną chwilę, a nawet przeszkadzają w interesach. Współobywatele jego, oraz różni uczeni napastują go i rzucają sarkastyczne uwagi, miast otaczać szacunkiem i wdzięcznością. Jest to więc praca ciężka i bezinteresowna, jak zwykle u każdego apostoła i poszukiwacza nowych ścieżek.

Karol Krall wierzy silnie, gorąco i przepaja

tą wiarą, ale niema w sobie nic z wizjonera ni mistyka. Ma lat pięćdziesiąt, jest żywy, silny, pełen zapału, ale zrównoważony, dostępny wszelkim ideom, a nawet marzeniom, zaś jednocześnie praktyczny, metodyczny i posiada niezachwiany zdrowy rozsądek. Od pierwszego wejścia napęła zaufaniem bez zastrzeżeń i myśli ubocznych, rozprasza instynktowne wątpliwości, niepokój i niejasne podejrzenia, które dzielą zwyczaj ludzi, po raz pierwszy dlonie sobie podających. Bezwiednie odczuwa się w nim człowieka głębokiego, uczciwego i przyjaciela, któremu jesteśmy gotowi zwierzyć się z wszystkiego, żalując tylko, żeśmy go nie napotkali wcześniej.

Poszliśmy przez ożywione bulwary i ulice Elberfeldu do stajni, położonej o kilkaset kroków zaledwo od sklepu. Konie przechadzały się po podwórzu, ocienionem lipą przed swemi klatkami. Było ich cztery, Mahomed, najmędrszy, najzdolniejszy, wielki matematyk, dalej Zarif, mniej zdolny, mniej posłuszny, chytrzejszy, ale zarazem większą obdarzony wyobraźnią, bardziej spontaniczny i pełen wybryków zdumiewających, potem był Haenschen, kuc szetlandzki, wielkości psa nowofunlandzkiego, urwipoleć towarzystwa, ruchliwy, dowcipny, uparty, złośnik,

zdolny, ale porywczy, tak że nie sposób śledzić uderzeń jego kopytek, któremi wykonywa najtrudniejsze zadania z dodawania, odejmowania i mnożenia, a nakoniec ostatni przybysz, skupiony, łagodny Berto, wspaniały ogier kary, zupełnie ślepy i pozbawiony węchu. Berto był dopiero od kilku miesięcy w szkole, a więc niejako w klasie przygotowawczej, ale wykonywał już, tylko wolniej nieco i sumiennie od kolegów, małe dodawania i odejmowania, jakby ich lepiej nie wykonało dziecko, w jego będące wieku.

W kacie stał jeszcze Kama, młody słoń trzechletni, wyglądający na osła, którego nadmiernie wypchano. Przewracał oczyma złośliwie, niemal lubieżnie, potrząsał uszami, przypominającemi liście rumbarbarum, a chwytną trąbą szukał usilnie czegoś, coby mógł zjeść, to znaczy brał wszystko, cokolwiek znalazł na ziemi. Właściciel spodziewał się po nim wiele, ale narazie Kama zawodził te nadzieje, tak że był wyrokiem szkoły. Był może za młody, a duszę miał podobną do duszy niemowlęcia, tylko miast bawić się rękami i nogami własnymi bawił się swym potężnym nosem, węsząc po świecie i badając go. Nie sposób było przykuć jego uwagi do zadania. Stojąc przed alfabetem z ruchomemi literami, miast wymienić właściwą, usiłował ją

zdząć z czopa i polknąć nieznacznie. Zniechęcił on wkrótce swego pana, który czekając rozblysku jego inteligencji legendarnej pozostawił go narazie w stanie ignorancji zupełnej, osładzanej zresztą żarłocznością wprost nienasyconą.

VII.

Poprosilem, by mi pokazano »Mądrego Hansa«. Żył jeszcze, ale był stary, miał pewnie ze siedmnaście lat. Przytem stanowił klasyczny przykład tego, że i starość nie jest wolną od tragicznych burz, jakie przechodzą ludzie u schyłku życia. Hans zmarnował się i mówiono o nim w mglistych jeno słowach. Jeden z masztalerzy wprowadził przez nierozsądek, czy na złość może, pewnego dnia w podwórze klacz. Hans, który wiódł dotąd żywot surowy, zakonny, poświęcony celibatowi wiedzy i czystym upojeniom liczb, nieskazitelny Hans oszalał nagle, rzucił się i przebił sobie brzuch na słupie klatki. Włożono mu z powrotem wnętrzności i zaszyto ranę. Żyje teraz nieborak, gdzieś we wsi pobliskiej, na łaskawym chlebie. Prawdą jest, zaiste, że życie czyjeś sądzić można dopiero po śmierci i niczego przedtem pewnym być nie sposób.

VIII.

Przed rozpoczęciem doświadczeń, podczas gdy gospodarz odbywa poranną lustrację, zbliżam się do Mahometa, przemawiam doń, głaszczę i wpatruję się w jego oczy, chcąc uchwycić jakiś błysk genjuszu. Piękne, wykwintne, muskułarne zwierzę jest spokojne i pełne zaufania, jak pies. Mahomet jest bardzo grzeczny, uprzejmy, miły, usiłuje mnie lizać i całować, przed czem się bronię, gdyż karesy te wydają mi się zbyt gwałtowne. Ma czyste, głębokie spojrzenie antylopy, spogląda poważnie w dal, ale nie różni się niczem od swych współbraci, którzy od tysięcy lat doznawali jeno brutalizmu i niewdzięczności ze strony człowieka. O ilebyśmy mogli coś wyczytać w tych oczach, nie byłby to, zaprawdę, wysiłek myśli, ale raczej jakaś tęsknota za rozległą przestrzenią, za rozlogiem pól, przeciętych

rzeką, gdzie kwitła rasa, zanim popadła w niewolę człowieka. Mahomet przywiązany na lonży do bramy stajni, oganiający się muchom i skrobiący z roztargnieniem bruk, wydał mi się, mimo wszystko, jeno dobrze wychowanym koniem, który ukrył głęboko tajemnicę swego genjuszu, podobnie jak wszystkie inne, jakie w nim złożyła przyroda.

IX.

W tej chwili zostałem zawezwany do stajni, gdzie się odbywają lekcje. Jest to mała salka, o podłodze wysypanej torfem, pusta i bielona wapnem. Drewniana barjera dzieli konia od służby. Przed uczniem widnieje czarna tablica, a z boku stoi skrzynia z owsem, na której siadają widzowie. Wprowadzają Mahometa. Krall, trochę zdenerwowany, nie kryje niepokoju. Konie są bardzo zmienne z dnia na dzień, nieobliczalne, kapryśne i niezmiernie wrażliwe. Byle drobiazg miesza je, zbija z tropu i źle usposabia. W takim razie na nic wszelkie prośby, a nawet pokusliwa wielce marchew i dobry chleb żytni. Odmawiają wprost odpowiedzi, albo robią co im się podoba. Wszystko zależy od gustu, stanu pogody, posilku rannego, lub wrażenia, jakie czyni gość. Po pewnych jednak, niedostrzegalnych oznakach zauważył Krall, że seans źle nie wypadnie. Mahomet drgnął, parsknął mocno,

i pomlaskał wargami, co było już wprost oznaką doskonałą. Siadam na skrzyni z owsem. Mistrz wziął kredę, stanął obok tablicy i zwracając się do ucznia jakby do istoty ludzkiej, przedstawił mnie w ten sposób:

— Mahomet, uważaj! Oto twój wujaszek (wskazał na mnie), który przybył z daleka, w odwiedziny do ciebie. Nie możesz go zawieść. Nazywa się Maeterlinck! (Krall wymawia *ae* z niemiecka jak *e* długie). Czyś zrozumiał? Maeterlinck! Pokaż mu, że znasz litery i potrafisz przesyłabizować dobrze to nazwisko, niby rozsądne dziecko. Dalejże! Sluchamy!

Mahomet zarżał krótko i zaczął wybijać na malej, skośnie ustawionej (podobnej do pedału) deseczce u stóp swoich, to prawem, to lewem kopytem, według alfabetu, jakim się posługiwał, znak odpowiadający literze *M*. Potem bez wahania, ni przerw wyznaczył litery *A. D. R. L. I. N. S. H.* Tak się przedstawiło nazwisko moje w tej niespodziewanej zgoła ortografii, wytworzonej przez duszę konia. Mistrz zwrócił mu uwagę na błąd. Przyznał rację chętnie i zastąpił *S. i H.* przez *G.* a potem *G.* przez *K.* Krall nalegał, by Mahomet miast *D.* wystukał *T.*, ale zadowolony ze swego dzieła koń dał znak odmowny głową i nie można go było skłonić do poprawki.

X.

Zaręczam, że mimo przygotowania na niespodziankę doznałem wstrząsu w pierwszej chwili. Wiem, iż opowiadając to, wyglądam na łatwowiernego, który poddaje się bezkrytycznie podziwowi, dla błażej scenki, sprytnie obmyślanej. Czyż można tu jednak mówić o poddaniu się, lub o scence sztucznej? Czyż wszystko mieści się w słowach? A, jeśli przypuszczamy, że koń rozumie słowa człowieka, to uznajemy najprzedziwniejszą część zjawiska. A może mistrz oddziaływał dotykiem, lub znakami umówionymi? Najnaiwniejszy człowiek spostrzegłby je przecież szybciej od konia, najgenialniejszego nawet. Zresztą Krall nie dotyka nigdy zwierzęcia. Chodzi po malej stajence i nie czyni żadnych przygotowań. Najczęściej stoi za koniem, tak że tenże go nie widzi, lub siada obok widza na skrzyni

z owsem i zajmuje się tem, czy owem, jednocześnie nakłaniając ucznia, by wystukiwał program lekcji. Pogodny i uprzejmy poddaje się wszelakim wymaganiom i każdej kontroli, jaka tylko przyjdzie gościowi na myśl. Zaręczam, że rzeczywistość jest bez porównania prostszą i jaśniejszą, niż podejrzenia sceptyków, miotane z od dali i że w uczciwej atmosferze tej skromnej stajni żadne podejrzenie oszustwa nie dotyka duszy, najmniej skłonnej do wiary.

Można jednak przypuścić, że wiedząc o mym przyjeździe do Elberfeldu Krall wyuczył konia sylabizowania mego nazwiska, a wówczas fenomen byłby jeno dowodem niesłychanej pamięci konia. Powiedziałem to przez sumienność Kralowi, chociaż zarzut nie wydawał mi się poważnym, on zaś odparł: — Proszę, spróbuj pan sam podyktować jakiegokolwiek niemieckie słowo o dwu, lub trzech sylabach, skandując wyraźnie. Wychoďte ze stajni i zostawiam pana sam na sam z koniem.

Zostałem z Mahometem i wyznaję, że doznałem pewnego lęku. Nieraz już czułem się swobodniejszym wobec wielkich osobistości i królów tego świata. Z kimże to właściwie miałem do czynienia? Zebrałem jednakowoż siły i wyrzekłem głośno pierwsze lepsze słowo, jakie mi pod-

sunał przypadek, mianowicie nazwę hotelu, gdzie stanąłem, »Weidenhof«. Mahometa zdziwiła i zaniepokoiła potrosze, w pierwszej chwili, nieobecność mistrza. Nie raczył reagować i zapomniał wiadać o mej obecności. Powtarzałem atoli słowo: *Weidenhof* na różne strony, z naleganiem, groźbą, błaganem i rozkazująco. Wkońcu, tajemniczy mój towarzysz zdecydował się usłuchać i jał płynnie i żwawo wybijać litery, które jedną po drugiej kreśliłem na tablicy.

W E I D N H O Z

Przedziwny był to wytwór ortografii końskiej! Uniesiony triumfem i zmieszany jednocześnie przywołałem zacnego Kralla, który nawykły do cudów uznał to za całkiem naturalne. Nagle zmarszczył brwi i zawołał: — Cóż to Mahomecie? Widzę, popełniłeś błąd! Na końcu słowa ma być *F*, nie zaś *Z*. Popraw mi to zaraz.

Posłuszny, uznając omyłkę, uderzył Mahomet trzy razy kopytem prawem i cztery razy lewem, co wyobrażało najpoprawniej w świecie literę *F*.

Zwracam uwagę na logiczność tej ortografii fonetycznej. Wbrew nawykowi opuszczania samogłosek, koń wystukał *E* nieme po *W*, gdyż było to konieczne, ale następne *E* uznał za zby-

teczne, jako zawarte już w *D* (mówi się: *de* przyp. tl.) i opuścił je oczywiście.

Zachodziłem w głowę, wobec jakiego stoję problemu, wobec jakiej humanizacji, czy siły nowej, a nieznaney. Więc to wszystko kryje się w cichych oczach naszych niemych przyjaciół? Ogarnął mnie wstyd za człowieka i długą niesprawiedliwość jego. Szukałem wokół siebie jakiegoś jaskrawego, czy nikłego śladu zagadki. Uczulem wstręt wewnętrzny wszystkich pewników. Uczulem technienie przepaści. Nie zdziwiłbym się, usłyszawszy w tej chwili słowa zmarłych. Najdziwniejszem jest atoli, że nie dziwimy się długo. Żyjemy wszyscy w bezwiednem oczekiwaniu rzeczy nadzwyczajnych i gdy się któraś zjawi, doznajemy mniejszego wrażenia, niż to, które mieściło oczekiwanie samo. Jakiś, rzecz można, instynkt wyższego rzędu, który wie wszystko i zna cuda zawieszone przed nami, dodaje nam z góry otuchy i pozwala wkroczyć śmiało w dziedzinę nadprzyrodzoną. Do cudu przyzwyczajamy się najłatwiej, a dopiero potem, po fakcie, refleksja naszego umysłu, który nie wie nic prawie, zdaje sobie sprawę z gigantyczności pewnych zjawisk.

XI.

Mahomet zaczął okazywać w sposób wyraźny, że ma dość ortografji. Mistrz postanowił go zabawić i wynagrodzić, przeto przedłożył mu kilka przykładów pierwiastków kwadratowych i kubicznych, a koń zabrał się do nich z radością. Były to teraz jego ulubione problemy, gdyż dawno już porzucił mnożenie i dzielenie, najtrudniejsze nawet.

Krall pisał na tablicy przeróżne zadania, ale nie zwracałem na nie uwagi. Stwierdzono już, że koń je rozwiązuje z łatwością i nikt dziś w to nie wątpi. Otóż niema celu zamieszczać tu owych dzikich dość problemów, których rozliczne warjanty zawierają sprawozdania i protokoły, podpisywane przez Mackenziego, Hartkopffa, Overbecka, Clapareda i tylu innych. Zdumiała mnie raczej szybkość, radosna niemal i po-

pędliwa, z jaką je rozwiązywał dziwny uczeń. Ledwo się ukazała ostatnia cyfra z pod kredy, już prawe kopyto zaczynało wybijać jednostki, a lewe dziesiątki. Ni śladu zastanawiania się czy namysłu, trudno nawet dostrzec, kiedy koń patrzy na zadanie, a odpowiedź zda się płynąć automatycznie, z jakiejś niewidzialnej inteligencji. Błędy zdarzają się częściej, lub rzadziej, ale Mahomet poprawia je, gdy mu zwrócić uwagę. Często cyfra wychodzi odwrócona n. p. zamiast 47, 74, ale matematyk przystaje chętnie na poprawkę.

Doznałem oszołomienia. Ale może zadania te zostały przysposobione naprzód? I tak byłoby to zdumiewające, nie w tej jednak mierze, co fakt rzeczywistego rozwiązywania. Przypuszczenia tego Krall nie wyczytał w mych oczach, gdyż nie sięgło tam, mimoto jednak, chcąc usunąć wszelkie podejrzenie, sam zaproponował, bym napisał na tablicy jakieś zadanie pierwiastkowe.

Muszę się tu wypowiadać z grzechu, będącego hańbą mego życia. Nie mam wyobrażenia najmniejszego o tajemnicach ukrytych w manipulacjach tego rodzaju. Przeszedłem oczywiście jak każdy tortury gimnazjalne, ale nie byłem nigdy w stanie sięgnąć poza mnożenie i dziele-

nie w sfery górne, najeżone zębami graniami potęg, pierwiastków kwadratowych, sześciennych i innych potworów bez kształtu i oblicza, napelniających mnie strachem wielkim. Wszelkie prześladowania mych zacnych profesorów rozbiły się o niewzruszalną skalę mej obojętności. Po pewnym czasie daremnych, choć bohater-skich wysiłków zostawili mnie, pogrążonego w tępej niewiedzy, prorokując tylko, że przyszłość moja będzie straszna i przepojona wyrzutami sumienia. Dotąd nie mogłem jakoś stwierdzić słuszności owych czarnych przepowiedni, teraz atoli wybiła godzina strasznej ekspiacji błędów młodości. Nie dając jednak poznać trwogi, wypisałem na tablicy zuchwale pierwszą lepszą cyfrę, jaka mi przyszła na myśl, budując pierwiastek niesłychany i wprost bezczelny. Mahomet ani drgnął. Krall zaczął doń przemawiać, prosząc o pośpiech. Mahomet podniósł kopyto, ale go nie opuścił. Zniecierpliwiony Krall ponowił prośby, sypał obietnicami, groźbami, ale wszystko pozostało bez skutku. Koń trzymał kopyto w powietrzu na dowód swej dobrej woli, której zrealizować nie był w możności. Wówczas gospodarz obrócił się, spojrział na tablicę i spytał mnie: — Czy ten pierwiastek jest dobry? — Dobry? Cóż to miało znaczyć? Więc

istnieją pierwiastki złe? Nie rzekłem ni słowa, gdyż ignorancja moja zajaśniała pełnym blaskiem. Zacny Krall uśmiechnął się i nie usiłując uzupełnić mego, tak spóźnionego wykształcenia, jął liczyć z trudem. Po chwili oświadczył, że koń miał rację, odmawiając rozwiązania wprost niemożliwego.

XII.

Podziękowaliśmy Mahometowi, który został nagrodzony królewską porcją marchwi, poczem wprowadzono ucznia, którego wiedza nie przyniałała mnie tak bardzo. Zjawił się Haenschen żywy, ruchliwy, jak szczur. Podobnie jak i ja nie przekroczył elementarnych operacji, tak że się rozumiemy i jesteśmy jak równy z równym.

Krall poprosił, bym dał dwie liczby do wymnożenia. Podąłem 63×7 . Krall obliczył i wypisał wynik, to jest 477, ze znakiem dzielenia, a więc $477:7$ Haenschen jął natychmiast stukać, a raczej skrobać z taką szybkością, że ledwo mogłem go śledzić. Uderzył trzy razy kopytem prawem, po stronie jednostek, a potem sześć razy zaznaczył dziesiątki, co dało razem 63. Niemiec powiada: 3 i 60, co trzeba pamiętać. Złożyliśmy mu gratulację, a rozradowany Haenschen przewrócił natychmiast cyfrę na 36, potem znowu

zmieniając ją na 63. Bawił się widocznie i igrał z liczbami. Zaczęliśmy dodawać, odejmować, mnożyć i dzielić cyframi przeze mnie podawanymi, dla uniknięcia wszelkiego złudzenia. Haenschen mylił się bardzo rzadko, a i w takich razach miałem wrażenie, że jest to swawola uczniaka, który robi figla nauczycielowi. Rozwiązania poprawne padały, jak grad na deseczkę, bezpośrednio po ich zadaniu, jakby za pociśnięciem dzwonka elektrycznego. Popędliwość zwierzęcia była równie zdumiewająca, jak jego opóźnianie myśli. W nieposłuszeństwie jego, w pozornem rozpętaniu tkwiła jednakowoż stała idea. Haenschen rżał, skakał, wierzgał, rzucał się, zdawało się, że nie ustoi na miejscu, nie opuszczał jednak ani na chwilę deszczulki, do której wcale nie był przywiązany. Czyż go interesowały te problemy? Niewiadomo, ale zachowywał się jak ktoś, kto wykonywa bez wahania pracę miłą mu, ważną i nieodzowną.

Lekcja skończyła się jednak niespodzianie żarcikiem nieco zuchwałym ucznia, który chwycił zębami spodnie mistrza i nadszarpnął je nieźle, dowodząc braku wszelakiego szacunku. Dostała mu się oczywiście surowa nagana, stracił doskonałą marchewkę i został haniebnie wypędzony do prywatnych apartamentów.

XIII.

Potem zjawil się Berto, przypominający wielkiego konia normandzkiego, o jedwabistej sierci. Wszedł spokojnie, z dostojeństwem właściwym ślepcom. Wielkie jego czarne, połyskliwe oczy były zupełnie zamarte na światło. Omackiem znalazł deseczkę, na której miał wystukiwać odpowiedzi. Zaczynał dopiero naukę rachunków, a początki wykształcenia kosztowały dużo wysiłków. Mistrz musiał stukać go po boku, w ten sposób wtajemniczając w znaczenie liczb i znaków dodawania i odejmowania. Krall przemawiał doń, jak ojciec do najmłodszego syna. Tłumaczył mu wyraźnie małe operacje matematyczne, przezemnie proponowane: $2 + 3$, $8 - 4$, 2×3 i t. d. — Uważaj! — mówił — to nie znaczy $+ 3$, ani $- 3$. Koń nie mylił się prawie nigdy. Nie rozumiejąc zadania, czekał, by mu je powtórzono, lub wypisano końcem palca na boku,

a pilność jego, przypominająca zaniedbane w nauce dziecko, miała coś wzruszającego w sobie. Był dużo gorliwszy, dużo sumienniejszy od współuczniów i czuło się, że wśród otaczających go ciemności, poza jedzeniem, te chwile stanowiły jedyny punkt świetlany dnia. Nie mógł nigdy stanąć do współzawodnictwa z Mahometem, mistrzem matematyki, genjuszem koni, ale niemniej stanowił żywy i nieoceniony dowód, jak dalece jest nieuzasadnioną hipoteza znaków umówionych, jedyna, jaką uczeni niemieccy brali na serjo w rachubę.

Nie wspomniałem dotąd o Zarifie. Pierwszego dnia był w złem usposobieniu. Jest to gorszy od Mahometa matematyk, nie tak uczony i o wiele kapryśniejszy. Odpowiada chaotycznie, albo podnosi nogę i nie chce jej opuścić, by zaznaczyć, że mu się to nie podoba. Ale rozwiązuje zadanie natychmiast i bez omyłki, gdy mu obiecać po lekcji całą miskę marchwi. W chwili, gdy wszedł masztalerz, by go zabrać, za jakimś jego gestem ogier spłoszył się, zaczął skakać i wierzgać. — Ma nieczyste sumienie! — powiedział Krall poważnie, a słowa te, wyrzeczone w tej egzotycznej duchowo atmosferze, przesyconej czemś nieokreślonym, co szło z zaświatów, nabrały dziwnej wagi i znaczenia.

Było już pół do drugiej, nastała święta pora

obiadu niemieckiego. Odprowadzono konie do żłobów, a ludzie rozstali się, wymieniwszy sakramentalne: Mahlzeit.

Idąc ze mną bulwarem nad czarną, błotnistą Wupperą, powiedział Krall: — Szkoda, że pan nie widział Zafira w lepszym usposobieniu. Zastanawia on mnie nieraz więcej nawet, niżli Mahomet i kilka razy sprawił mi niespodziankę, w którą trudno uwierzyć. Pewnego ranka, przed lekcją arytmetyki zaczął, ledwo stanąwszy nad deseczką, bez pytania pukać. Zostawiłem go w spokoju i usłyszałem całe zdanie, wprost ludzkie zdanie, wystukane kopytem konia: — Albert wybił Haenschen! — Innym razem wypisałem pod jego dyktandem: — Haenschen ugryzł Kamę! — Jak dziecko ojcu, opowiadał mi drobne wydarzenia, jakie zaszły w stajni. Była to skromna kronika skromnego życia bez przygód.

Krall żył wśród cudów, więc wszystko wydawało mu się naturalnem, niemal koniecznem. I o dziwo, ja, który sam uczestniczyłem od kilku zaledwo godzin, byłem niemal jak on spokojny. Wierzyłem bez wahania, pytając jeno, w obliczu zjawiska, które, od kiedy człowiek istnieje, po raz pierwszy przynosi nam słowa niezrodzone w mózgu człowieka, ...dokąd zmierzamy, gdzie jesteśmy i co nam sposobi przyszłość...

XIV.

Po obiedzie wznowiliśmy doświadczenia, gdyż gospodarz mój był niezmordowany. Spytał na-przód Mahometa, wskazując na mnie, czy pamięta nazwisko swego wujaszka. Koń wystukał *H.* Krall zdziwił się i jał mu czynić ojcowskie wyrzuty. — Uważajże! To nie jest *H.*, wiesz przecież dobrze! — Na to koń wystukał *E.* Krall zniecierpliwił się trochę, zaczął prosić i grozić, obiecując naprzemian marchew i srogą karę, to znaczy przywołanie Alberta, który w poważnych przypadkach przywoływał leniwych lub roztargnionych uczniów do porządku, wpajając poczucie obowiązku. Krall nie tknął nigdy żadnego konia, z obawy, że straci ich miłość i zaufanie. Pouczał więc tylko dalej: — No, dalejże, stukaj jak należy, nie na oślep!

Wierny powziętej raz myśli wystukał Ma-

homed: *R.* Twarz Kralla rozpromienił uśmiech — Ma rację! — powiedział. Słyszałeś pan *H. E. R.* to znaczy *Herr*, czyli *pan*. Dał panu tytuł, przynależny każdemu kto nosi cylinder, albo twardy melonik. Czyni to nader rzadko, tak że całkiem zapomniałem. Słyszał też pewnie, że mówiłem: *Herr Maeterlinck*, więc chciał być dokładny. Ta specjalna łaska, ten nadmiar gorliwości, daje nadzieję na doskonale doświadczenie. Doskonale Mahomecie! Doskonale, moje dziecko! Bardzo cię przepraszam! Teraz pocałuj mnie i stukaj dalej!

Mahomet pocałował impetycznie swego pana, ale zawahał się potem. Chcąc go naprowadzić, powiedział mu Krall, że pierwsza litera mego nazwiska jest taka sama, jak pierwsza litera jego imienia. Mahomet wystukał: *K*. Sądził, widzieć, że idzie o nazwisko jego pana. Wówczas Krall wypisał na tablicy *M.*, a koń uczyniwszy gest, jak ktoś kto sobie nagle przypomina dane słowo, jął stukać bez wahania: *M. A. Z. R. L. K*. Była to, pominąwszy brak niepotrzebnych samogłosek, nowa odrazu deformacja mego nazwiska, tak jak je zanotowała pamięć pozaludzka. Krall oświadczył uczniowi, że nie jest to poprawnie powiedziane, a Mahomet uznał słuszność i wahając się nieco, wystukał: *M. A. T. Z.*

L. E. G. K. Krall powtórzył nazwisko i spytał, którą literę należy pierwszą poprawić. Ogier odparł: *R.* — Dobrze, ale jaką literę wstawić należy w miejsce *R*? — Koń wystukał: *N.* — Nie! Uważajże! — Wystukał: *I.* — Doskonale! Na którym miejscu stoi *I*? — Na trzecim! — odparł. Poprawki trwały dalej, aż wkońcu nazwisko moje wyszło mniej więcej cało z tej dziwnej przygody.

XV.

Sylabizowanie, pytania, rachunki i zadania trwały dalej, równie cudowne, zdumiewające, ale przyblakłe już skutkiem oswojenia się z nimi, jak to bywa z każdym cudem. Podkreślam zresztą, że cytowane fakty nie stanowią najwybitniejszych czynów czarodziejskich koni. Były to poprawne, ale przeciętne produkcje, bez błysków genjuszu. Ale wobec innych świadków działały się rzeczy bardziej zdumiewające, w bardziej stanowczy sposób usuwające złudną pewnie przegrodę, która dzieli zwierzę od człowieka. Pewnego naprzykład dnia Zarif, najkrnąbniejsze dziecko rodziny, przestał nagle odpowiadać, a zapytany czemu to czyni, wystukał: — Jestem zmęczony! — Innym razem odparł: — Boli mnie noga! — Konie rozpoznawały obrazki, jakie im pokazywano, rozróżniały kolory, wonie i t. d. Piszę wyłącznie jeno o tem, com widział i słyszał

sam najdokładniej i zaręczam, że czynię to z taką ścisłością, jakby od zeznań moich zawisło życie człowieka w kryminalnym procesie.

Przed przybyciem do Elberfeldu byłem zupełnie przekonany o rzeczywistości tych zjawisk i nie podjąłem podróży w celu kontroli. Chciałem tylko zobaczyć to na własne oczy, w celu przekonania się, czy można tu zastosować teorię telepatyczną, jedynie mojem zdaniem dopuszczalną. Zwierzyłem się z tem Krallowi, który zrazu nie zrozumiał o co idzie. Jak wszyscy, którzy nie zajmują się specjalnie temi kwestjami, sądził, że telepatja jest w pierwszej linji przenoszeniem myśli dowolnych i świadomych, to też zaręczał, że nigdy nie czyni wysiłków poddawania swych myśli, a konie najczęściej odpowiadają wprost sprzecznie z jego oczekiwaniem. Nie wątpiłem w to wcale. Transmisja bezpośrednia i celowa myśli jest nawet pomiędzy ludźmi zjawiskiem rzadkiem, trudnem i chwiejnem, podczas gdy relacja bezwolna i nieprzewidziana, z podświadomości do podświadomości, jest faktem ustalonym i przeczą temu dziś jeno uprzedzeni z góry, lub ci, którzy lenią się czynić doświadczeń. Byłem przekonany, że konie funkcjonują naogół zupełnie, jak stoliki pukające, które zapomocą umówionych znaków wyrażają ideje subluminalne

któregoś członka seansu. Mniej dziwić może, w gruncie rzeczy, ruch nogi konia, niż nogi stołu, jak również zrozumiałszą byłaby uległość dla tajemniczej potęgi medjum, ze strony materji żywej zwierzęcia, niżli materji bezwładnej mebla. Wiedziałem, że czyniono doświadczenia, mające na celu wyeliminowanie tej teorii. Przysposobiono zadania bardzo skomplikowane, zamknięte w kopertach i dopiero w ostatniej chwili brano na oślep pierwsze lepsze, przepisując je na tablicy. Nie znał go przedtem nikt z eksperymentujących, a mimo to Mahomet i Zarif rozwiązywały dany problem równie łatwo jak inny, znany wszystkim. Czyż atoli zadań tych nie znała podświadomość uczestników? Próby tego rodzaju wymagają niesłychanych ostrożności i specjalnej zręczności, gdyż funkcje podświadomości są tak subtelne, ma ona tak dziwne zawroty, czerpie ze skarbów nabytych, a tak bardzo zapomnianych i działa na taką odległość, że nigdy nie można być przed nią zabezpieczonym dostatecznie. Nie byłem pewny, czy poczyniono te zabiegi ostrożności i chociaż nie chciałem rozstrzygać kwestji, powtarzałem sobie, że moja szczęśna nieznajomość matematyki przyda się może dla częściowego bodaj rozświecenia zagadnienia.

Ta ignoracja zupełna, tak hańbiąca w innych okolicznościach, była mi tutaj bardzo cenną. Nie mogłem chyba przypuszczać, by mój subliminal, który nie wiedział nigdy co znaczy pierwiastek kubiczny czy inna podobna szatańska moc, mógł dopomagać podświadomości konia. Wziąłem ze stołu listę, mieszczącą setki najpotworniejszych zadań, zakryłem starannie wyniki ostateczne, poprosiłem Kralla, by wyszedł i zostawszy sam z Zarifem skopjowałem jedno z tych zadań na tablicy. Nie chcąc zapychać tego szkicu szczegółami, powiem tylko, że dnia tego nie powiodła się żadna z prób antitelepatycznych. Działo się to pod koniec seansu, po południu, konie były zdenerwowane, przemęczone i z Krallem, czy bez niego, najelementarniejsze zagadnienia byłyby dosłownie sabotowane (sabot — kopyto — przyp. tł.). Ale nazajutrz podjąłem próbę i oto Mahomet i Zarif, będąc w lepszym usposobieniu, czy może obeznane już z nowym egzaminatorem, dały bez wahania, jedną po drugiej tyle trafnych odpowiedzi, ile było zadań. Wyznaję lojalnie, że nie znalazłem żadnej wyraźnej różnicy pomiędzy temi rezultatami, a uzyskanemi w obecności Kralla lub innych osób, znających z góry, świadomie czy podświadomie, dane rozwiązanie.

Wymyśliłem potem inną próbę, prostszą dużo, ale właśnie ta prostota stawiała ją poza sferą wszelkich zbyt skomplikowanych podejrzeń. Zobaczyłem na półce w stajni paczkę kartonów mniej więcej formatu przeciętnej książki, z liczbami arabskimi od jeden do dziesięciu. Poprosiłem raz jeszcze zacnego Kralla, by wyszedł, zmieszałem kartony i *nie patrząc*, położyłem trzy z nich przed koniem. W tej chwili nie było na całej ziemi ni jednej ludzkiej duszy, któraby знаła cyfry, wypisane na kartonach, u stóp mego towarzysza tak tajemniczego, że nie chcę go nazwać zwierzęciem. Bez wahania i nie dając się prosić, koń wystukał dane liczby, a ja, otwarłszy oczy, stwierdziłem, że wszystko w porządku. Haenschen, Mahomet i Zarif powtarzały to doświadczenie mnóstwo razy, nie myląc się wcale, a Mahomet uczynił nawet więcej. Ponieważ każda z cyfr miała inny kolor, spytałem nie wiedząc o tem nic, jaki ma kolor przed sobą pierwszy na prawo. Odpowiedział, przy pomocy alfabetu zwykłego, że jest niebieski, co było w zupełnym porządku. Należało oczywiście powtarzać te doświadczenia, kombinować i przy pomocy tych kartonów dojść do operacji arytmetycznych możliwie najwyższych. Czasu mi zbrakło, ale w kilka dni po wyjeździe dowie-

działem się, że podjął to i uzupełnił dr H. Hanel. Oto w streszczeniu protokół seansu. Zostawszy sam z Mahometem, (Krall wyjechał) doktor wypisał na tablicy znak $+$, potem, nie patrząc, położył po obu stronach tego znaku po jednym kartonie, z cyfrą sobie nieznana. Kazał potem koniowi dodać te cyfry. Zrazu roztargniony Mahomet uderzył parę razy na oślep kopytem, ale gdy go poproszono, by skupił uwagę, wystukał liczbę 15. Eksperymentator obrócił się i zobaczył $7 + 8$. Nastąpiło potem dodawanie liczb dwu- i trzechcyfrowych, równie z doskonałym wynikiem. Doktor zmazał znak $+$ i nakreślił $\times$, prosząc Mahometa, by nie dodawał lecz mnożył. Nie wiedząc, jakie liczby mieszczą się na kartonach, usłyszał 27 stuknięć. I w samej rzeczy było tam: 9×3 . Tosamo dało mnożenie 9×2 i 8×6 . Doktor dobył wkońcu z koperty zadanie, którego rozwiązania nie znał $\sqrt[7]{7890481}$. Mahomet odpowiedział: 53. Doktor spojrział na odwrotną stronę papieru i znalazł tę samą liczbę.

XVI.

Nie śmiałbym twierdzić, że w ten sposób usunięta została wszelka możliwość telepatji. Potęga jej, powtarzam, jest nieokreślona, nieuchwytna, niewytropiona i bez granic. Dopieroco odkryliśmy ją, wiemy, że nie sposób przeczyć jej istnieniu, zaś co do reszty jesteśmy tu, gdzie był Galwani, gdy wprawiał w ruch zdechłe żaby dwoma kawałkami metalu. Doświadczenia te, wprawiające w zdumienie uczonych, mieściły już w sobie wszystkie cuda elektryczności.

Mimo to, o ile idzie o telepatję, jak ją znamy dziś, mam przekonanie ustalone. Wiem, że wyjaśnienia tych zjawisk nie można szukać na podstawie telepatji. Gdybyśmy tak uczynili, to natrafimy na tyle zagadek ubocznych, że lepiej uznać cud tak, jak się przedstawia w mglistej

pierwotnej prostocie swojej. Ile razy naprzykład wypisywałem jakieś trudne zadanie, świadomy rozum mój nie wiedział napewne, jak się wziąć do rozwiązania. Nie orjentowałem się nawet w znaczeniu i jak sięgam pamięcią, nigdy w życiu nie umiałem nic podobnego. Ale być może, mój subluminal jest urodzonym matematykiem, dzielnym, nieomylnym, wyposażonym w wiedzę bezkresną? Rzecz całkiem możliwa i napędza mnie to dumą. Ale taka hipoteza przesuwa jeno cud z duszy konia do mojej duszy, a to, nieprawdopodobne zresztą, przesunięcie nie daje ani jednego promyka światła dla rozjaśnienia zagadki. Dodaję jeszcze, że także z innych względów doświadczenia dra Haenela i mnóstwo podobnych, które tu pominąć muszę, z konieczności hipotezę tę zasadniczo wykluczają.

XVII.

Jakże przedziwne zjawiska te próbowali tłumaczyć ci, którzy się zajmowali ich badaniem?

Należy mimochodem podciąć kosą kilka kęp chwastów, czyli hipotez dziecińczych i naiwnych. Pominę więc przypuszczenie oszustwa, sygnałów optycznych czy słuchowych, instalacji elektrycznej, przenoszącej odpowiedzi i tym podobne wybryki ordynarnej wyobraźni. Starczy kilku minut pobytu w uczciwej atmosferze stajni elberfeldzkiej, by poznać ich nicość.

Na początku tego szkicu wspomniałem o atakach Pfugsta. Twierdził on, jak pamiętamy, że wszystkie odpowiedzi konia wywołane są nieostrzegalnemi i prawdopodobnie nieświadomemi ruchami zadającego pytania. Tłumaczenie to, nie mogące się jak i poprzednie ostać wobec prostej oczywistości faktów, możnaby również pominąć

milczeniem, gdyby nie to, że sprawozdanie berlińskiego psychologa uzyskało przed kilku laty rozgłos, który do dziś zatrważa większość niemieckich uczonych. Jest to najoczywistszy pomnik pedantycznej głupoty. Mimo to zabiło to sprawozdanie biednego Ostena, który, nie będąc polemistą i nie wiedząc, w jaki sposób bronić trzeba prawdy, zmarł ze zmartwienia w swoim zakątku.

Trzeba raz skończyć z tą nudną i naiwną teorią, a starczy chyba, gdy podkreślę tu fakt, że doświadczenia, w których koń nie widział wcale człowieka, zadającego pytania, udawały się równie dobrze jak i wszystkie inne. Krall na każde żądanie stawiał za koniem, mówił z drugiego końca sali i wychodził ze stajni, a wyniki były takiesame. Nieraz czyniono próby w ciemności, często obwijano głowę konia. Eksperymenty ze ślepym zupełnie Bertem, lub dokonywane przez ludzi innych, nie Kralla, powinny chyba starczyć. Czyżby ktoś przypuszczał, że każdy człowiek obcy instynktownie zna owe znaki, powodujące odpowiedź, której sam świadomy nie jest? Nacóż jednak walczyć dłużej z tumanem kurzu? Nie wytrzymuje to wszystko żadnej krytyki i trzebaby wielkiego wysiłku woli, by jąć się odpierania tak marnych zarzutów

XVIII.

Po takim oczyszczeniu progu tajemnicy, która zaniepokoiła nas niespodzianie, jawiąc się w dziedzinie, którą uważaliśmy za zbadaną ostatecznie i zawłaszczoną, pozostają nam dwa jeno sposoby, jeśli nie wyjaśnienia, to przynajmniej ujęcia problemu. Musimy przyjąć, że koń posiada inteligencję ludzką, lub jąc się tak zwanej teorii medjumiczno subluminalnej, nieokreślonej jeszcze i mętnej. Spróbujemy zaraz, choć pewnie nadaremnie, rozpowić ją z najgrubszych bodaj osłon ciemności. Którąkolwiek jednak przyjmujemy formę wyjaśnienia, przyznać trzeba, że jest to tajemnica, związana ściśle z najgłębszymi duchowymi troskami naszymi i może nam dać nowy powód do radości lub rezygnacji, stosownie do tego, czy uznajemy świat ten za królestwo świadomej inteligencji, czy obraz rzeczy niepojętych.

Krall nie wątpi ani na chwilę, że jego konie rozwiązują najtrudniejsze zagadnienia bez żadnej pomocy obcej, czy wpływu, wyłącznie własnym rozumem. Pewny jest, że rozumieją, co się do nich mówi i to co mówią same. Słowem twierdzi, że rozum ich i wola funkcjonują zupełnie jak u człowieka. Fakty potwierdzają to w zupełności, a opinia jego jest chyba najważniejsza, gdyż zna on najlepiej swe konie. Widział, jak ta zaśniona inteligencja budziła się i rozwija. Jak matka patrzył na pierwsze kroki omackiem czynione, pierwsze trudności i triumfy swych wychowanków, dokonał kształtowania się tego, co potem zakwitło, słowem jest twórcą, mistrzem i jedynym rzeczywistym, nieposzlakowanym świadkiem cudu.

XIX.

To prawda! Ale cud ten jest tak niespodziany, że za pierwszym zaraz krokiem ogarnia nas zawrót jakiś i zaczynamy na wszystkie strony szukać innego wyjścia i wyjaśnienia. Patrząc nawet na te konie w chwili dawania odpowiedzi, nie możemy zaufać w pełni uszom własnym i oczom. Przyjmujemy do wiadomości fakty, gdyż nie sposób uczynić inaczej, ale czynimy to prowizorycznie, rzec można, z dobrodziejstwem inwentarza, odkładając wyjaśnienie na potem, kiedy będziemy mogli w spokoju uzyskać pewność dostatecznie twardą i ograniczoną. Ale wyjaśnienie to nie jawi się i jest niemożliwe na płaszczyźnie powszedniej, niskiej, gdzieśmy je mieli nadzieję znaleźć. Niema usterki, pęknięcia, ni szczeliny w tej oczywistości, a nie nas nie może oswobodzić od tajemnicy.

Przyznajmy, że jawiąc się niespodziewanie tam, gdzie najmniej było obaw ujrzenia oblicza tego co niepoznawalne, zburzyła ona wszystkie nasze pewniki. Wszakże od kiedy człowiek zjawił się na tej ziemi, żyje pośród istot, które na podstawie odwiecznego doświadczenia uważał za tak dobrze znane, jak każde dzieło rąk swoich. Najpowolniejsze z tych istot i, zdaniem jego, najinteligentniejsze, wybrał na swój użytek, a inteligencji tej nadał sens tak ciasny, że prawie iluzoryczny. Obserwował je, badał, próbował, analizował, krajał na wszelkie sposoby, całe pokolenia poświęcał na to, by się dowiedzieć o ich obyczajach, zdolnościach, ustroju nerwowym, patologji, psychologji i instynktach. Człowiek dotarł tu do pewników najmniej podejrzanych i najmniej wymagających rewizji z pośród wszystkiego, co podtrzymuje życie niezbadane, na niezbadanej planecie.

Wiedzieliśmy np., że koń ma wielką pamięć, poczucie kierunku, a wkońcu, że rozumie parę znaków, słów i że ich słucha. Wiemy też, że małpy naśladują nasze ruchy, gesty, nie pojmując jednocześnie ich celu ni znaczenia. Co do psa, owego przyjaciela, współbiedniaka, pomocnika, przyswojonego od wielu, wielu tysięcy lat, wiedzieliśmy i wiemy, że w oczach jego

głębokich i uważnych jawią się czasem błyski dość dziwne. Nie ulega wątpliwości, że czasem, w sposób niepojęty, błądzi wokół granicy, dzielącej inteligencję naszą od tej, jaką przyznaliśmy innym istotom, mieszkającym tu wraz z nami na ziemi. Ale granicy tej nie przekroczył nigdy wyraźnie, to pewna. Wiemy dokładnie, jak daleko się posunąć może i po rozlicznych wysiłkach cierpliwości, przynagłaniu i pełnem żarliwości nawoływaniu przekonaliśmy się, iż pozostanie chyba na zawsze w ciasnem kole czarowania, w jakim go zamknęła natura.

XX.

Pozostaje jeszcze, coprawda, świat owadów, gdzie się dzieją cuda. Znajdujemy tam architektów, geometrów, mechaników, inżynierów, tkaczy, fizyków, chemików, chirurgów, którzy prześcignęli ludzi w mnóstwie wynalazków. Nie chcąc psuć całokształtu tego studjum, nie powtarzać całego dzieła I. H. Fabra, mogę tu jeno wspomnieć dla przykładu o genialnej konstrukcji architektonicznej os i pszczoł, organizacji społecznej i ekonomicznej ula i mrowiska, zasadzkach pajaka, gnieździe i wiszącym jajku *eumeny*, metodycznym gromadzeniu łupu *odynery*, o kuli szkaradnej ale genialnej skarabeusza, nieskazitelnym walcu *megachili*, murarskiej robocie *halicodomów*, o sztylcie *sfexa*, wbijanym w centry nerwowe świerszcza, oraz o sztylcie *cercerisa*, który nie zabijając, paraliżuje ofiarę, czyniąc z niej zwie-

rzynę na zapas. Faktów tych jest mnóstwo, ale panuje tutaj milczenie tak głębokie i ciemń tak wielka, że nie mamy żadnej nadziei. Wykluczonym zdaje się być wszelki sposób komunikacji pomiędzy światem owadów a naszym i bliżsi jesteśmy zaprawdę odkrycia tajemnic Saturna czy Jowisza, niżli zbadania tego, co się dzieje w mrowisku czy ulu. Nie znamy nawet jakości, liczby, zakresu działania i natury ich zmysłów. Nie istnieją dla nich liczne, wielkie prawa, na których opieramy życie nasze. Na przykład prawo fizyczne, dotyczące płynów — jest tam zupełnie zniweczone. Wydaje się tylko, że żyją one na naszej planecie, w istocie jednak poruszają się na gwieździe zgoła odmiennej. Nie pojmując ich inteligencji, pełnej luk dziwnych, gdzie ślepa głupota niweczy nagle najmędrsze kombinacje, nazwaliśmy instynktem to, czego nie wiemy, odkładając na później rozwiklanie tego słowa, dotyczącego najtajniejszych zagadek życia. W zakresie badania zdolności intelektualnych nie możemy nic dobyć z tych istot przedziwnych, które nie są, jak inne zwierzęta, »naszymi niższymi braćmi«. Są to obcy, przybyli niewiadomo skąd, ostatni potomkowie starej, lub zwiastunowie nowej rasy innego świata.

XXI.

Drzemaliśmy tak spokojnie na pewnikach wielotysiącletnich, gdy nagle zjawił się pewien człowiek, wykazał omyłkę i przekonał nas, że przez długie wieki pomijaliśmy prawdę zlekka jeno przysłoniętą. Dziwi przytem najbardziej fakt, iż nie jest to wcale naturalnym skutkiem jakiegoś nowego odkrycia, czy nowej metody badań, o czembyśmy dotąd nie wiedzieli. Fakt ten, nie zawisły zgoła od najnowszych zdobyczy wiedzy, mógł zostać stwierdzonym przez człowieka zgoła pierwotnego, w pierwszych zaraz dniach istnienia ziemi. Stałoby się to niezawodnie, gdybyśmy jeno mieli nieco więcej cierpliwości i z większem zaufaniem odnosili się do istot, z którymi żyjemy na świecie, nie znając dobrze wszystkich celów tego życia. Trzeba było tylko wyzbyć się potrosze pychy i bardziej po

bratersku traktować te istoty, bliższe nam, niż sądziliśmy. Znamy wszakże naiwne wprost metody Ostena i Kralla. Wychodzą z założenia, że koń jest to nierozumne, ale zdolne zwierzę i postępują z nim odpowiednio. Mówią, tłumaczą, demonstrują, przekonywują, nagradzają i karzą, zupełnie jak nauczyciel w szkole postępuje z malcami pięcio- czy sześćioletnimi. Ustawia zrazu kilka kregli przed niezwykłym uczniem. Liczą je i każą liczyć, unosząc i spuszczając raz poraz kopyto konia. W ten sposób zaznajamiają go z pojęciem liczby. Dodają potem jeszcze kilka kregli i powiadają naprzykład: trzy kregle, a dwa kregle, to pięć kregli. W ten sposób zaczyna się nauka dodawania. Metoda odwrotna daje pojęcie zasadnicze odejmowania, wreszcie następuje mnożenie, dzielenie i z wolna rozwija się reszta operacyj.

Z początku wymagają te lekcje wielkiej cierpliwości, niezmordowanych wprost wysiłków, a oparte są na serdecznym stosunku ucznia i nauczyciela, który właśnie sprawia cud. Gdy jeno zostaną przekroczone pierwsze szranki nieświadomości, zaczyna się postęp zdumiewająco szybki.

Wszystko to jest niezaprzeczalne, a przed faktami uchylić można jeno głowy. Główną atoli sprawą, która obala wszystkie nasze poglądy,

czyli raczej uprzedzenia odwieczne, a zakrzepłe w aksjomy, jest fakt zdumiewający, że koń rozumie, czego odeń chcemy, że posiada inteligencję wprost ludzką, o której pojęcia dotąd nie mieliśmy, a która jawi się nagle. W którymże to momencie nastąpił rozbłysk światła i kiedyż to pękła zasłona? Nie sposób tego uchwycić. Ale to pewne, że w pewnym momencie, bez żadnego znaku, zwierzę odczuwa pewną, cudowną, wewnętrzną przemianę i odpowiada, jakby rozumiało mowę człowieka. Cóż wyzwala ten cud? Słowa związane z pewnymi przedmiotami wywołują zainteresowanie, a powtarzane bez końca wbijają się zwierzę w pamięć i tworzą pierwszą, skromną podstawę życia codziennego. Jest to zrazu coś jakby pamięć mechaniczna, nie związana z najmocniejszą nawet inteligencją. Nagle, pewnego dnia, bez przejść widocznych, zwierzę pojmuje znaczenie mnóstwa słów, nie budzących w nim zainteresowania, nie dających żadnego obrazu, wspomnienia i nie skoordynowanych z żadnym mitem czy niemitem uczuciem. Operuje liczbami, które dla samego człowieka stanowią mgliste abstrakcje. Rozwiązuje zagadnienia, niemożliwe do zobjektywizowania czy zmaterializowania. Reprodukuję litery, z jego punktu widzenia nie wyobrażające nic realnego. Zwraca

uwagę na przedmioty obce sobie i obojętne i czyni nad nimi spostrzeżenia, chociaż nigdy nie będą mu bliskimi. Słowem, przekracza ciasny krąg strachu i głodu, tych dwu wielkich motorów animalnego życia, a wstępuje w zakres szerszy sensacyj ludzkich, w którym rodzą się idee...

XXII.

Czyż jednak konie czynią istotnie to, co czytać się zdają? Czyż cud ten nie ma poprzedników? Czyż niema przejścia pomiędzy ogierami elberfeldzkimi a czemś znanem nam już? Trudno dać na to odpowiedź, albowiem od wczoraj dopiero zaczęło się naukowe badanie zdolności umysłowych tych naszych braci bezbronnych. Posiadamy wprawdzie sporo opowieści o inteligencji zwierząt, mocno przesadnych nawet, ale są to jeno anegdoty nieskontrolowane. Faktów autentycznych i niezaprzeczalnych szukać należy u tych niewielu dotąd uczonych, którzy się specjalnie poświęcili studjom tego rodzaju. Hochet-Souplet, kierownik »Instytutu psychologii zwierząt« podaje wieść o psie, który miał poczucie abstrakcyjnej idei ciężaru. Kładziono przed nim ośm kamieni, w kształcie młyńskich, zupełnie

podobnych do siebie, o różnym jednak ciężarze. Na polecenie pies przynosił najcięższy lub najlżejszy, próbując przedtem wagi i nie myląc się nigdy.

Ten sam autor opowiada o papudze, którą wyuczył słowa »szafka«. Było to pudełko tak urządzone, że dało się przyczepiać do różnych punktów pokoju. W pudełko wsypywał codzienną strawę ptaka, tak by to widział. — Wyuczyłem potem papugę — powiada dalej — nazw różnych przedmiotów, pośród nich zaś słowa »drabinka« i zmusilem, by powtarzała »wychodź« gdy wychodziłem po szczeblach. Pewnego dnia przeniesiono papugę z klatką do pracowni. »Szafka« była przyczepiona wysoko pod sufitem, a »drabinka« stała daleko w kącie, pomiędzy rozmaitemi, znanymi ptakowi przedmiotami. Problem przedstawiał się w ten sposób. Papuga wrzeszczała każdego ranka: Moire! Moire! (to znaczy »armoire« — szafka). Tego atoli dnia »szafka« była zbyt wysoko, bym mógł bez pomocy »drabinki« wydostać z niej jedzenie. Papuga wiedziała, że tylko po drabince mogę wznieść się nad podłogę, a miała do tego celu słowo »wychodź«. Chciałem tedy, by mi poddała myśl użycia drabinki. Papuga biła skrzydłami, kąsała zaciekłe druty klatki i wrzeszczała: Moire! Moire!

Ale dnia tego nie uzyskałem niczego więcej. Nazajutrz papuga dostała jeno prosa, które nie tak lubiła, jak nasienie konopne, zamknięte w »szafce«. Ogarnęła ją wielka pasja, kąsała druty, usiłowała je rozerwać dziobem, aż wreszcie zwróciła uwagę na drabinę i powiedziała: »binka, wychodź szafka«.

Widoczny tu jest niesłychany wysilek umysłu, wyraźne skojarzenie wyobrażeń, przyczyna powiązana ze skutkiem, a wszystko razem zmniejsza znacznie odległość, jaka dzieli nasze mądre konie od innych współbraci, nie posiadających historii. Podkreślmyż tu, że przypadki takie są dużo częstsze, niżby się wydawało. Trzeba tylko obserwować uważnie zwierzęta. Uderza nas ten ostatni, z powodu faktu, czysto mechanicznego zresztą tylko, mianowicie dlatego, że gardło papugi może wydawać głos ludzki. U mego psa napotykam często skojarzenia wyobrażeń równie wyraźne, a dużo bardziej skomplikowane. Gdy jest spragniony, patrzy mi w oczy, a potem rzuca spojrzenie na kurek wodociągu w garderobie, a więc koordynuje doskonale pojęcie pragnienia, płynącej wody i interwencji człowieka. Obserwuje mnie, gdy się ubieram, by wyjść. Gdy sznuruję trzewiki, liże mi sumiennie ręce, by się wkraść w łaski swego bóstwa, a także powinszować mi

doskonałego pomysłu przechadzki. Ma wówczas mgliste i pełne jeszcze niepokoju wrażenie przestrzeni, pachnącej drogi, gęstej murawy, niespodzianek, wonnych śmietników po zakątkach, spotkań przyjaznych lub tragicznych i ścigania, daremnego zresztą, zwierzyny. Patrzy we mnie niespokojnie, trwożnie, chcąc przejrzeć me zamiary. Jeśli zapinam skórzane kamasze, wszystko, co podtrzymywało jego radość życia, wali się nagle w gruz. Niema już promyka nadziei. Świadczy to bowiem, że wyruszę sam, motocyklem, znie-nawidzonym przezeń, gdyż go nie może doścignąć. Wówczas odchodzi ponury, kładzie się w ciemnym kącie pokoju i zapada w marzenia, nudę i opuszczenie. Jeśli jednak wsuwam ramię w szerokie rękawy płaszcza, zdaje się, jakbym mu otwierał wrota raj. Nie ulega już wątpliwości, że pojedę autem, co stanowi dlań najwyższą radość i szczyt szczęśliwości. Skacze wówczas jak szalony, liże mnie, całuje i ogłasza triumf, będący zresztą niematerialną jeszcze ideą, utworzoną z naiwnych wspomnień i mglistych nadziei.

XXIII.

Przytaczam te pospolite fakty dlatego właśnie, że każdy zna tysiące podobnych. A jednak nie spostrzegamy w nich uczuć, kojarzenia pojęć, wiązania ich przyczynowego, dedukcji i wogóle wysiłku umysłu czysto ludzkiego. Brak tu jeszcze słowa, które jest zresztą jeno okolicznością mechaniczną, wyraźniej zarysowującą operacje myśli. Zachwycamy się tem, że Mahomet i Zarif rozpoznają na obrazku konia, osła, kapelusz jeźdźca, lub też, że opowiadają panu swemu drobne wydarzenia, zaszłe w stajni. A jednak pies nasz dokonywa niewątpliwie ciągle tego samego, a oczy jego powiedziałyby nam nie-równie więcej jeszcze, gdybyśmy umieli w nich czytać. Pierwszym cudem Elberfeldu jest to, że dano koniom sposób wyrażania swych myśli i przeżyć. Jest to rzecz wielka, ale po przyj-

rzeniu się z bliska zrozumiała. Wielka odległość dzieli mówiące konie od mego milczącego psa, ale niema tu wcale przepaści. Mówię to nie w celu pomniejszenia cudu, ale dla zaznaczenia, że hipoteza inteligencji zwierząt jest łatwiejsza do uzasadnienia i mniej chimeryczna, niż nam się to mogło zrazu wydawać.

XXIV.

Drugi i to większy cud stanowi atoli fakt zbudzenia koni ze snu, w którym pogrążone były od czasów niepamiętnych i przykucie ich uwagi do rzeczy obojętniejszych i dalszych pewnie, niż byłoby dla nas badanie zmian ciepłoty Syryusza lub Aldebarana. Po zrewidowaniu naszych przesądów przekonywamy się, że niema bezwzględnej niemożliwości, by umysł zwierzęcia osiągnął to co ludzki, że nie brak tu inteligencji, ale raczej napotykamy letarg i głęboką otepiałość władz umysłowych. Zwierzę żyje w jakiejś szczęśliwej bezmyślności, snując mgliste marzenia. Ochorowicz powiada słusznie, że stan jawy zwierzęcia przypomina somnambulizm człowieka. Pozbawione pojęć czasu i przestrzeni wiekuiście, czyniąc to jeno, czego wymaga podtrzymanie życia, reszta zaś przepływa obok,

nie wplatając się w to śnienie. Trzeba dopiero wyjątkowych okoliczności, konieczności, pragnienia, żądzy, czy innego gwałtownego wstrząsu, by wywołać to, co Hachet-Souplet nazywa »blyskawicą psychiczną«, która nagina i galwanizuje jego mózg na chwilę, wprowadzając umysł zwierzęcia w stan, w jakim człowieczy pracuje normalnie. Nie dziwne to wcale. Wysiłek taki nie potrzebny jest tu do utrzymania życia, a wiemy, że natura nie czyni nigdy zbytecznych wysiłków. — Inteligencja — powiada trafnie Claparède — jawi się jeno jako środek zaradczy, jako narzędzie ratunkowe, stwierdzające, że organizm nie jest dostosowany do środowiska, a technika inteligencji zwiastuje stan niemocy tegoż organizmu. Umysł nasz, być może, trwał ongiś w podobnym letargu, z którego zresztą dużo ludzi nie wyszło jeszcze zupełnie, a jeszcze prawdopodobniejszem jest, że ów sen półprzejrzysty, w którym żyjemy tu, w zestawieniu z inną formą bytowania, innemi fenomenami psychicznemi, na odmiennej płaszczyźnie, czy w wyższej sferze, wydałby się dokładnie podobnym do letargicznego ośpienia zwierząt. I tu jawią się coraz częściej błyskawice psychiczne, chociaż innego rodzaju i doniosłości. Zestawiwszy ów pęd intelektualny, ogarniający, zda się, niższych braci

naszych z manifestacjami naszej podświadomości, możnaby spytać, czy nie jest to coś jakby analogiczne niemal, na dwu odmiennych płaszczyznach, napięcie nowe, nieznane dotąd pożądanie, czy wysiłek tajemniczej potęgi duchowej, rządzącej światem, która szuka ustawicznie nowych dróg i nowych przewodników prądu. W każdym razie, po przeminięciu błyskawicy, czynimy to samo co zwierzęta, to jest wracamy coprędzej do naszej beztroskiej śpiączki, starczącej nikłym nawyczkom naszym. Nie żądamy nic ponadto i nie kroczymy w świetlane tropy, wiodące w światy nieznane, ale zawracamy w ciemny krąg, jak bierni somnambulicy, mimo, że lutnia Izydy rozbrzmiewa, jak w starożytnych misterjach, bez ustanku, budząc wiernych.

XXV.

Powtarzam, że cud elberfeldzki polega na przydłużaniu i wywoływaniu dowolnem owych bezinteresownych zgoła »błyskawic psychicznych«. Konie znalazły się tam, w stosunku do innych zwierząt, w stanie podobnym do człowieka o przewadze podświadomości nad świadomością normalną. Człowiek ten żyłby wyżej w atmosferze niematerialnej prawie, tak że mielibyśmy jeno niejasne i przelotne wieści o jego przeżyciach metapsychicznych, jakby to były iskry, spadające ze sfer, wyżyn, których sięgniemy kiedyś może. Inteligencja nasza, będąca jeno letargiem w ciasnem więzieniu czasu i przestrzeni, ustąpiłaby miejsca intuicji czy wiedzy jakiejś immanentnej, bez wysiłku ogarniającej cały wszechświat i ujmującej wszystko, co on sam wie. Nie mamy, niestety, czy nie

znamy, jak owe konie, istoty wyższej, któraby się nami zajęła i pomogła nam zrzucić jarzmo tego ośpienia. Musimy zostać tedy własną Opatrznością; wydostać się ponad samych siebie i trwać na tych wyżynach o własnej sile. Konie nie wyszłyby pewnie bez pomocy człowieka z tej mglistej sfery, ale nam przyświeca nadzieja, że samą własną wolą jeno zdołamy przerwać sen, który nas więzi i oślepia.

XXVI.

Wracając jednak do naszych koni, a zwłaszcza do punktu głównego, owej »błyskawicy psychicznej«, wolnej od interesu własnego, stwierdzamy, iż znają one istotę cyfr, rozróżniają i identyfikują zapachy, barwy i kształty przedmiotów, a nawet ich wyobrażenia. Rozumieją również znaczną ilość słów, których znaczenia w wielu razach nie uczono ich, ale chwytają je wlot, słysząc często wokół siebie. Wyuczyły się też, przy pomocy skomplikowanego wielce alfabetu, reprodukowania tych słów i wyrażają niemi swe wrażenia, przeżycia, pragnienia, skojarzenia wyobrażeń, tak że nawet czynią refleksje własne, spontaniczne zupełnie. Przeczono, jakoby to były manifestacje inteligencji. Trudno jest w istocie oznaczyć, gdzie się kończy inteligencja, a zaczynają: pamięć, instynkt, na-

śladownictwo, impuls mechaniczny, skutek tresury i szczęśliwy zbieg okoliczności.

Są jednak przypadki, gdzie tego rodzaju wahanie nie jest dopuszczalne. Przytoczę choćby następujący. Pewnego dnia Krall wraz z współpracownikiem swym, Schoellerem, usiłują nauczyć Mahometa, by się wyrażał słowami. Posłuszny i pełen zapału koń czyni wzruszające, ale daremne wysiłki oddaniu głosu ludzkiego. Nagle zatrzymuje się i wybija kopytem własną, przedziwną ortografią te słowa: — Ig hab kein gud sdim! — (Nie mam dobrego głosu).

Zauważywszy, że nie otwierał ust, usiłowano mu wytłumaczyć na przykładzie psa i zapomocą obrazków, że chcąc mówić, trzeba rozwrzeć i szczęki. Potem spytano go: — Co trzeba zrobić, by mówić? — Trzeba otworzyć usta! — odpowiedział zapomocą swego alfabetu. — Cemuż nie otwierasz? — spytano — Weil kan nigd! — (Gdyż nie mogę!) — odparł niezwłocznie.

W kilka dni później spytano Zarifa, w jaki sposób rozmawia z Mahometem. — Mit munt! (Ustami). — Dlaczego nie powiesz mi tego ustami? — Weil ig kein stim hbe! (Bo nie mam głosu). Ta odpowiedź każe, zdaniem Kralla, przypuszczać, że się porozumiewał z towarzyszem stajni w sposób inny niż słowami.

W ciągu innego doświadczenia pokazano Mahometowi portret nieznanemu mu panny — Cóż to jest? — spytano. — Metgen! — (Dziewczyna) — odparł. Potem napisano na tablicy: — Czemuż jest to dziewczyna? — Weil lang hr hd. (Gdyż ma długie włosy). — A czegoż niema? — Wąsów! — powiedział. Pokazano mu fotografię mężczyzny bez wąsów. — Co to jest? — spytano. — Man! (Mężczyzna!) — Czemu jest to mężczyzna? — Weil kurz hr. hd! (Gdyż ma krótkie włosy.)

Mógłbym cytować bez końca przykłady, czerpiąc je z protokołów elberfeldzkich, mających siłę dowodową fotografii. Wszystko to jest niespodziewane, zdumiewające, nieprzypuszczalne nawet dotąd i stanowi największy może cud od czasu, jak człowiek stąpa po tej ziemi tajemniczej. Mimo to jednak możnaby jeszcze wyjaśnić i zrozumieć, roztrząsając, porównywując, biorąc pod uwagę pewne podstępny, zapomniane lub pominięte punkty wyjścia i uwzględniając całą skalę, od wyżyn do nizin poznania. Biorąc rzecz ściśle możemy przypuszczać, że każdy pies domowy czyni takiesame spostrzeżenia i tak myśli, nie mogąc jeno przełamać tragicznego milczenia. Punkt centralny cudowności, zbliżającej zwierzę do człowieka, stanowi jednak nie tyle

sama myśl, co jej wyrażanie. Idąc dalej, nie trudno zrozumieć, że koń wykonywa istotnie pewne elementarne rachunki, dodawanie lub odejmowanie paru liczb i tego jestem pewny. Ale tracimy całkiem grunt pod nogami, wkraczając w królestwo wielkich operacyj matematycznych, wyciągania pierwiastków i t. p. Wiadomo przecież, że wyciągnięcie czwartego pierwiastku z cyfry czterolizbowej wymaga 18 mnożeń, 10 odejmowań i trzech dzielen, a koń dokonywa tych 31 działań w ciągu pięciu czy sześciu sekund, to jest w czasie, kiedy rzuca niedbale okiem na tablicę, gdzie nauczyciel kończy wypisywać zadanie. Wynik ujmuje on przeto intuitywnie i natychmiast, nie potrzebując czasu na rozwiązywanie.

Gdybyśmy jednak przyjęli teorię inteligencji wrodzonej, musielibyśmy też uznać, że koń wie, co czyni. Musielibyśmy go przecież naprzód wyuczyć, co znaczy liczba podniesiona do kwadratu, co znaczy pierwiastek kwadratowy i t. d. i dopiero wówczas zrozumiał o co idzie. Dalsze, coraz wyższe operacje opierały się na tem zrozumieniu. Nie sposób wchodzić tu w szczegóły tego nauczania niesłychanie szybkiego. Odsyłam ciekawych do dzieła Kralla: *DENKENDE TIERE* str. 117 i następnych. Zaczął on od wyjaśnienia

Mahometowi, że 2^2 znaczy to samo co $2 \times 2 = 4$, że 2^3 równa się $2 \times 2 \times 2 = 8$, że przeto 2 jest pierwiastkiem kwadratowym z 4. Słowem, postępował z koniem zupełnie jak z dzieckiem bardzo inteligentnem, mając to jeno ułatwienie że koń był nierównie uważniejszym i dzięki niesłychanej pamięci nie zapominał niczego z rzeczy raz już zrozumianych. Dodajmyż dla uwieńczenia cudownego zjawiska, że koń, jak powiada Krall, został doprowadzony jeno do wyciągnięcia pierwiastku kwadratowego z liczby 144, poczem już sam własną inteligencją, całkiem spontanicznie, wynalazł metodę wyciągania wszystkich iunych pierwiastków.

XXVII.

Czyż wobec tych niesłychanych czynów można jeszcze brać pod uwagę zarzuty sygnałów akustycznych, optycznych, radjotelegrafji, sztuczek, czy oszustwa? Wystarczy powiedzieć ludziom, stawiającym je: — Jedźcież do Elberfeldu! — Problem jest tak ważny i brzemienny w skutki, że warto podjąć tę podróż. Nabierze zupełnego przekonania prawdy ten, kto zamknie się w cichej stajni i przedłoży Mahometowi kilka zadań pierwiastkowych o 30 działaniach, a nieznanym sobie wyniku, jak ja to uczynilem i jak to uczyniło tylu innych. Niewiadomo, czy będzie to dowodem bezwzględny inteligencji zwierząt, gdyż obaliliby mnóstwo pewników, na których oparte jest życie nasze, w każdym jednak razie przekona, że ukazała nam się istotnie na chwilę zagadka, wstrząsająca, jak żadna inna może, duszą ludzką. A dobrze jest napotykać zagadki tego rodzaju.

XXVIII.

Hipoteza inteligencji jest tak niesłychana, że nie da się w gruncie rzeczy przeprowadzić. Trzeba by z niej, w każdym razie, poświęcić sporo i jąć się innych jeszcze idei, wspomnieć np. tajemniczą wielce, niezrozumianą i niepojętą naturę cyfr, jako takich. Wiemy niemal napewne, że matematyka jest zjawiskiem poza-inteligentnem. Jest ona jednocześnie mechaniczna i abstrakcyjna, bardziej duchowa, niż materialna, a materialniejsza zarazem od funkcji czysto duchowych, dostrzegamy ją jeno jako cień własny, a jednak stanowi niewzruszalną rzeczywistość, rządzącą światem. Przejawia się jako siła obca i odmienna od tych, z których umysł nasz czerpie pożywienie. Władza nami i druzgocze z wysoka to znów z niska, z jakichś w każdym razie ogromnych dali, nie mówiąc, czemu tak jest, zawsze zagadkowa, obojętna,

nieugięta i nieublagana. Liczba wprawia tych, którzy nią operują, w dziwny, a odrębny stan, »opętywa« ich poprostu i otacza czarodziejskiem kołem. Odcięci od świata, pędzą kędyś w nieskończoność bezkształtu, a każdy z przedziwnych znaków, wymykających się z pod pióra, daje im prawdę bez nazwy, ale prawdę wieczystą, nieprzewycięzoną i nieuniknioną, nieludzką już, tak że inni, biegnąc za nimi zadyszani, nie są w stanie dotrzeć do owych krain niemieszkalnych. Dotykając liczby, rozpętywamy siłę nieposkramialną już potem. Porywa nas ona, oslepia, oszalałami i ciska o zaporę szklaną, na której umierają myśli nasze i cała wola nasza.

Nie mogąc tedy inaczej wytłumaczyć zagadki elberferdzkiej, spróbujmy objaśnić ją większą jeszcze tajemnicą cyfr. Przesunie to jeno problem w te same ciemności, ale poruszając się tak w mrokach, możemy też dostrzec promyk światła, który wskaże ścieżynę, możliwą do kroczenia nią. Zbliżając się do problemu, możemy zacytować dużo przykładów dowodzących, że operowanie wielkimi cyframi jest całkiem niemal niezawisłe od tego, co zowiemy inteligencją właściwą. I tak, w roku 1837 produkował się w paryskiej Akademii Umiejętności dziesięcioletni pasterz włoski, Vito Mangionele, pozbawiony naj-

elementarniejszego wykształcenia, który w ciągu 30 sekund wyciągał pierwiastek kubiczny z liczby siedmiocyfrowej. O drugim takim fakcie wspomina Claparède, w studjum swem o mądrych koniach. Był to ślepy od urodzenia przebywający w przytulku obłąkanych w Armantierres nazwiskiem Fleury, degenerat i niemal idjota. Wyliczył on w ciągu minuty i 15 sekund, ile się mieści sekund w 39 latach, 3 miesiącach i 12 godzinach, nie zapominając o latach przestępnych. Wyjaśniono mu, co znaczy pierwiastek kwadratowy, nie podając klasycznej metody wyciągania i oto nagle, niemal tak szybko jak niesłychany Mahomet, rozwiązał zadanie bez błędu, operując cyfrą czterolicebową i podając gotowy wynik. Wiemy z innej strony, że genialny matematyk, Henryk Poincaré, sam wyznał, iż w każdym dodawaniu popełnia omyłki.

— EX LIBRIS —
Biblioteki Kuratorium O.S.B.
w Białymstoku

XXIX.

Z większą łatwością przejdziemy teraz z czarodziejskiej atmosfery, otaczającej liczbę, w mgły czarowniejsze może jeszcze hipotezy ostatniej, jaką mamy tu do dyspozycji, to jest hipotezy medjumicznej. Nie jest ona, przypominamy, teorją czysto telepatyczną, gdyż tamtą cofnęliśmy po zbadaniu faktów. Odważmyż się na to, nie mogąc bowiem objaśnić czegoś rzeczą znaną, należy ją wytłumaczyć czemś nieznanem zgola. Wkraczamy tu w krainę zgola nową, dziewiczą i nie będziemy mieli żadnego przewodnika.

Zjawiska medjumiczne, manifestacje podświadomości czy subluminalu pomiędzy ludźmi są to rzeczy stwierdzone i mimo swej kapryśności, nieskoordynowania, oraz chwiejnych wyników dość częste, a dla wtajemniczonych nawet niezaprzeczalne. Czyż więc możliwe są one pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem? Trudno to zbadać, gdy

idzie o ludzi, a coś dopiero wobec towarzysza skazanego na milczenie. Istnieją jednakowoż zwierzęta t. zw. »psychiczne«, to znaczy wrażliwe na pewne wpływy subliminalu. Zaliczamy tu zazwyczaj kota, psa i konia. Można by dodać jeszcze niektóre ptaki, mniej więcej przeczuwające i owady, jak np. pszczoły. Inne, jak słoń i małpa, nie mają o tem wyobrażenia. W każdym razie Ernest Bozzano zebrał w doskonałej pracy swej: *PERCEPCJA PSYCHICZNA ZWIERZĄT*¹⁾, wydanej w r. 1905, sześćdziesiąt dziewięć przypadków telepatji, przeczucia, oraz halucynacji wzrokowej i słuchowej u kota, psa i konia. Są tam nawet widziadła psów, wracających po śmierci do domów, gdzie były szczęśliwe za życia. Wszystkie niemal zaczerpnięte zostały z *PROCEEDINGS, SOCIETY FOR PSYCHICAL RESEARCH*, a zatem najściślej skontrolowane. Nie sposób tu zamieścić bodaj kilku tych nader ciekawych, ale zabierających dużo miejsca faktów, uderzających i budzących jednocześnie wzruszenie. Wystarczy, gdy powiemy, że pies często zaczyna wyć w tej samej sekundzie, kiedy pan jego zginął np. w bitwie, o setki kilometrów od miejsca pobytu zwierzęcia. Koty, psy i konie okazują wy-

¹⁾ *ANNALES DES SCIENCES PSYCHIQUES*, sierpień 1915, str. 422—469.

rażnie, że dostrzegają dużo prędzej niż człowiek zjawiska telepatyczne i widziadła żywych czy zmarłych. Zwłaszcza konie są bardzo wrażliwe na miejsca, gdzie »straszy« i kręcą się widziadła. Toteż zwierzęta te muszą odczuwać, podobnie jak my, otaczającą nas tajemnicę. Nieraz widzą rzeczy niedostrzegalne zmysłami normalnymi i odczuwają wpływy nieujęte niemi, toteż w ich systemie nerwowym musi tkwić gdzieś na dnie ten sam pierwiastek psychiczny, który nas wiąże z nieznanem, budząc strach podobny do naszego. Strach ten jest zresztą dość dziwny, bo coś im może złego uczynić widziadło, skoro nie posiadają one, jak twierdzimy, życia pozagrobowego i skoro powinny być zupełnie obojętne na manifestacje świata, w który nigdy nie wkroczą?

Możnaby powiedzieć, że może zjawiska te nie są obiektywne, nie odpowiadają żadnej rzeczywistości zewnętrznej, a jeno stanowią wytwór mózgu człowieka i zwierzęcia. Nie można tu dyskutować na temat nader ciemny, który podaje w wątpliwość wszystko co nadprzyrodzone i kwestjonuje problem innego świata. Starczy powiedzieć, że czasem człowiek przenosi swój strach na zwierzę, a czasem zwierzę zaraża go swą trwogą. Istnieje przeto relacja wzajemna, płynąca ze źródła głębiej ukrytego, niż wszystkie

znane nam dotąd i że dochodzi do nas drogą inną, niż zapomocą normalnych zmysłów. Wszystko to zaliczamy do dziedziny na razie nie określonej wyraźnie, do tej tajemniczej wrażliwości czy potęgi psychicznej, którą zwiemy podświadomością lub subluminalem. Nie powinno dziwić, że zwierzęta posiadają tę wrażliwość, a nawet, że jest ona u nich bardziej wyostrzona, albowiem nie przygniata ich, jak ludzi, nadmiernie rozwinięte życie świadome, atrofizujące owe odczucia i ograniczające je do chwil bezwładu życiowego, oraz — rzadkich momentów, w których mogą się przejawiać. Przeciwnie, owi niżsi bracia nasi silniej są włączeni w całokształt wszechświata, a świadomość ich jawy jest nikła i zacieśniona do kilku aktów elementarnych. Zwierzęta mniej są oddzielone od życia ogólnego przyrody i posiadają zmysły niezdeterminowane, jakich zostaliśmy pozbawieni przez wyspecjalizowanie się naszej nietoleranckiej inteligencji. Obok tak zwanego instynktu należy zacytować zmysł orjentacji, migracji, przewidywanie pogody, trzęsienia ziemi, burzy i wielu innych, nieznanych nam zgoła rzeczy. Wszystko to zaliczyć trzeba, zda się, do właściwości subluminalnych, różniących się od uzdolnień naszych jeno chyba większem jeszcze bogactwem swoim.

XXX.

Wiem dobrze, że takie tłumaczenie zapomocą subluminalu nie wiele tłumaczy i conajwyżej, rzecz niepojętą objaśnia rzeczą nieznaną. Ale wytłumaczyć zjawisko, jak słusznie powiada Dr I. Modzelewski, znaczy tyle, co postawić hipotezę zrozumialszą bodaj trochę od samego zjawiska. Podobnie czynimy ciągle w zakresie fizyki, chemji, biologji i wogóle wszelakiej nauce. Wytłumaczyć zjawisko, nie znaczy to uczynić go czemś w rodzaju $2 \times 2 = 4$. Zresztą ten aksjomat arytmetyczny nie jest wcale tak jasny i niezłomny, jak się wydaje. Wytłumaczyć np. zdumiewający cud owych koni, znaczy skonfrontować poprostu ową zagadkę niespodzianą z kilku fenomenami równie może ciemnymi, ale znanymi dawniej i lepiej stwierdzonymi. Ta zagadka, w ten sposób

wytlumaczona, posłuży kiedyś może do wytłumaczenia innych, a takim jest właśnie tok wszelkiej wiedzy. Nie przyganiajmyż mu tedy, gdyż czyni co może, a innych dróg, zda się, niema wcale.

XXXI.

Jeśli się zgodzimy na takie objaśnienie subluminalem, który jest niejako tajemniczem uczestnictwem we wszystkim, co się dzieje w tym innym świecie, jeśli na to przystaniemy, upadnie mnóstwo przeszkód i wkroczymy w dziedzinę nową, bliską zwierzętom i zostaniemy związani z tymi braćmi naszymi istotnym węzłem życia. Zaczną one teraz brać udział w wielkich zagadkach ludzkich, manifestacjach i nadzwyczajnych gestach naszego gościa nieznanego, a jeśli nie dziwi nas już teraz, od kiedy go lepiej obserwujemy, to co sprawia w nas, czemużbyśmy się mieli dziwić temu, co w nich czyni. Stoimy wszakże na jednym z nimi planie, tkwiąc w atmosferze nieokreślonej jeszcze, coprawda, ale uczuwając poza inteligencją tę potęgę psychiczną, która pomija mózg i tryska z samego

źródła psychiki świata, nie będąc skanalizowana i wyspecjalizowaną wyłącznie przez człowieka. Potęga ta, ogarniająca wszystko, rozpylona wszędzie, wielokształtna jest i może nawet jednakowo przenika wszystko co istnieje. Przekonalibyśmy się pewnie o tem, gdyby się dało ją wytropić.

Czemużby np. konie nie miały uczestniczyć w zjawiskach medjumicznych, zachodzących pomiędzy ludźmi? W takim zaś razie metapsychika ich łączy się ściśle z ludzką. Jeśli zaś ich subluminal podobny jest do naszego, to możemy je objąć teorią telepatyczną, która nie ma, rzecz można, granic, gdyż, jak słusznie zauważył Meyers, wszystko, co można twierdzić, redukuje się do faktu, iż: »życie ma możność objawiać się życiu«. Może tedy zadania o nieznanym wyniku, jakie przedkładał koniowi, zostały mi poddane przez subluminal konia, który ten wynik zna. Stwierdzono tę możliwość pomiędzy subluminalami człowieka. Ja sam tedy podsuwam rozwiązanie koniowi, który je tylko powtarza. Jeśli atoli idzie o zadanie, którego sam nie jestem w stanie rozwiązać, to skądże się bierze to rozwiązanie? Nie wiem, czy robiono w takich warunkach doświadczenia z medjum ludzkim. Gdyby się zresztą powiodło — trudnoby było odróżnić w tej, przez pół nadludzkiej atmosferze subluminalnych

matematyków - ludzi od koni rachujących. Oto interpretacja, która mi się narazie wydaje najnaturalniejszą i najmniej ekscentryczną.

Widzieliśmy, że operowanie wielkimi liczbami jest to niemal rzecz odrębna od inteligencji właściwej, a niektóre fakty świadczą nawet, że te dwie sprawy nie mają nic wspólnego ze sobą. Czas ten objawia się przed wszelakiem kształceniem, w najwcześniejszej młodości. Wedle starannych zestawień Scriptura ¹⁾, zmanifestowało się to u Ampera, w 3 roku życia, u Colburna w 6, u Gaussa w 3, u Mangiannela w 10, u Saforda w 6, u Whateleya w 3 itd. Zazwyczaj trwa to zaledwo lat kilka, słabnie z wiekiem, a ustaje często nagle, z chwilą rozpoczęcia nauki szkolnej.

Gdy pytano te dzieci, a także cudownych rachmistrzów, którzy doszli do wieku dojrzałego, jak się biorą do trudnych tych obliczeń, oświadczali zawsze, że sami nie wiedzą. Bidder np. nie umiał powiedzieć, w jaki sposób umie instynktownie oznaczyć logarytm liczby, 7 do 8 cyfrowej. Tosamo stwierdzono u 10-letniego Stafforda, który dokonywał napamięć bez omyłki mnożeń, których iloczyn składał się 36 cyfr. Rozwiąza-

¹⁾ *American Journal of Psychology*, tom IV, 1 kwietnia 1901.

nie przychodzi samo przez się, jest jeno wizją, wrażeniem, inspiracją, czy intuicją, niewiadomo skąd przybyłą, ale nagłą i niezawodną. Rachmistrze ci nie próbują nawet rachować i nie mają, jak sądzą inni, żadnej metody własnej, o ile tak nie nazwiemy chwytania intuicji. Zdaje się, że wynik przychodzi jak wizja jasnowidzącego. Nieomylna i gotowa wychodzi z wiekuistego rezerwoaru kosmicznego, gdzie tkwią odpowiedzi na wszystkie pytania. Dzieje się to, oczywiście, ponad czy pod mózgiem, obok świadomości i rozumu, a poza wszelkimi metodami czy nawykami intelektualnymi. Dla tych to właśnie zjawisk wynalazł Meyers termin »subluminal«¹⁾.

¹⁾ Zbytecznem jest chyba wyjaśniać etymologję wyrazu: *Sub luminum*. Jest to, co się odgrywa pod światłem świadomości. Zdaniem, słusznem, Vesma nie jest to identyczne z terminem: *podświadomość*, gdyż ta ostatnia rejestruje tylko to, co zostało apercypowane w sposób normalny i posiada zdolności normalne, uznane dziś przez urzędową wiedzę.

XXXII.

Wszystko to zbliża nas potrosze do naszych koni rachmistrzów. Z chwilą, kiedy stwierdzono, że rozwiązanie zagadnienia matematycznego nie zawisło wyłącznie od mózgu, ale także od innych sił duchowych, istniejących niewątpliwie w rozmaitych zwierzętach, nie będzie zuchwalstwem przypuszczenie, że u konia zjawisko to przebiega w tej samej sferze nieznannej, gdzie tkwi zagadka liczb i rozliczne zagadnienia podświadomości. Wiem, iż podejmując się tłumaczenia na tym poziomie, dać nie mogę wiele więcej, niżby dało milczenie. Ale milczenie to przepełnione jest szmerami i szeptem niespokojnym, które więcej są warte, niż głucha bezwiedza, pozbawiona nadziei, na co bylibyśmy skazani, nie starając się pochwycić bodaj isierki pośród ciem-

ności, co stanowi zresztą obowiązek człowieka. Oczywiście zarzutów nie brak z wszystkich stron. Cudowni rachmistrze-ludzie uważani są za potwory, za jakieś rzadkie okazy teratologiczne, których w ciągu wieku nie zdarza się więcej ponad pół tuzina, podczas gdy u koni zdolność ta jest niemal powszechna, a conajmniej bardzo częsta. W istocie, z pośród siedmiu ogierów, z jakimi Krall czynił próby, dwa tylko okazały tak mało talentu, że nie warto ich było uczyć dalej. Były to, o ile wiem, właśnie dwa ogiery pełnej krwi, które otrzymał w darze od W. ks. Meklemburskiego, a które odesłał z powrotem do wspólniejszej stajni. Cztery czy pięć innych, kupionych na oślep, wykazały uzdolnienie różne, ale rozwinęły się bez trudności, dowodząc, że cechy te stanowią charakterystyczną stronę duszy końskiej, zaniedbaną tylko i nieaktywną. Subluminal konia byłby tedy, w zakresie matematyki, wyższym od subluminatu człowieka. Czemużby nie? Zdaje się, że cały jego subluminal jest rozleglejszy, młodszy, bardziej dziewiczy, żywszy i mniej zaśmiecony od naszego, albowiem nie napastuje go ustawicznie, nie upokarza i nie kasa inteligencja, spychając w kąt ciemny, gdzie dychać nie może. Koński subluminal jest zawsze gotów, czuwa ciągle, podczas gdy nasz śpi na dnie stu-

dni i trzeba dopiero różnych sztuczek i sposobów, by go zbudzić i wydobyć na wierzch z zapomnienia. Wszystko to jest bardzo dziwne, ale wcale nie wygląda awanturnie. Nie idzie tu, powtarzam, o funkcję centralną, czy intelektualną pracę, ale o dar jasnowidztwa, spowinowacony ściśle z innymi podobnymi darami natury, które nie są wyłącznością człowieka. Żadna obserwacja, czy doświadczenie nie pozwala nam czynić różnicy pomiędzy subluminalem zwierzęcia i człowieka, a przeciwnie wynikają wszędzie z nielicznych jeszcze porównań ciągle analogie. Subluminal konia zachowuje się dokładnie jak człowieka w stanie transu. Odwraca np. z upodobaniem liczby, dajmy na to 37 na 73, co się tak często zdarza w medjumizmie, że zjawisko to nazwano »pismem w lustrze«. Podobnie myli się często w dodawaniu, odejmowaniu i niższych funkcjach, nigdy zaś w potęgowaniu i zawikłanych pierwiastkach, co stanowi analogię do podobnych zjawisk, ksenoglosji psychometrii i tym podobnych dziwactw medjów ludzkich. Jest to przejawem niefortunnego mieszania się intelektu zawsze omylnego, który mąci pewniki subluminatu niechybne, gdy go zostawimy w spokoju. Koń, nauczony rozwiązywania drobnych zagadnień, nie ufa zapewne potem swej

intuicji i szuka omackiem, czyniąc omyłki. Rozwiązanie waha się u konia pomiędzy niepewną inteligencją, a skrępowanym przez nią subluminalem, który szuka drogi wyjścia. Podobnie bywa u medjów psychometrycznych, które biorą to, czego się dowiedziały drogą normalną dla uzupełnienia swych wizyj, objawionych wrażliwością podświadomą. Powstają stąd zawsze niemal straszliwe i oczywiste, choć niewytłumaczone pomyłki.

Dalsze analogie dotyczą nierównej wydajności doświadczeń. Medium ludzkie jest niesłychanie zmienne z dnia na dzień i kapryśne. Czasem długi szereg posiedzeń nie daje nic w zakresie pisma automatycznego, psychometrii, czy materjalizacji. Potem, nagle, niewiadomo dla czego, z powodu stanu pogody, czyjejs obecności, czy innych rzeczy jawią się, raz poraz, manifestacje najoczywistsze i zdumiewające. To samo dosłownie zdarza się z końmi. Fantazje ich chaotyczne i nieprzewidziane zachcianki wprawiają w rozpacz Kralla, który zawsze z niepewnością i trwogą otwiera drzwi stajni. Wystarczy, by im się nie spodobała brodata i surowa twarz któregoś z uczonych mężów, a zaczynają wyprawiać szatańskie harce, odpowiadając całkiem na wskazywanie i to nie tylko

całymi godzinami, ale nawet przez dni kilka z rzędu.

Wymienić tu trzeba również wyraźną indywidualność odruchów medjumicznych, oraz t. zw. »spóźnione odpowiedzi telepatyczne«, odpowiadające na pytania zadane na początku seansu, o których już nikt nie myśli. Jeden z najsilniejszych z pozorów zarzutów przeciw medjumizmowi konia potwierdził go jeszcze. Jeśli, jak powiedziano, odpowiada jeno podświadomość konia, to pocóż go było uczyć elementów matematycznego słownictwa, zwracając się do normalnej świadomości, drogą zmysłów? Pytano także, czemu nie jest w stanie rozwiązywać tychsamych co Mahomet zadań. Vesme doskonale odpowiedział na te zarzuty. Jeśli mamy uzyskać pismo automatyczne, medium musi umieć pisać. Wiktor Sardou, czy Helena Schmit mogą wykonać medjumiczne rysunki swoje tylko dlatego, że oboje uczyli się rysować. Turtini nie mógłby być skomponować we śnie swej SERENADY DJABELSKIEJ, gdyby nie umiał grać itd. Najsubtelniejsza nawet cerebracja podświadoma zbudowana jest jednak zawsze na elementach, nabytych w jakiś sposób uprzednio. Podświadomość ślepego od urodzenia nie sprawi, by widział barwy.

Paralele te, któreby można mnożyć w nie-

skończoność, dają dużo wspólnych rysów wyraźnych. Spostrzegamy dokładnie te same na-
wyknienia, sprzeczności i upodobania. Jest to
cień gigantyczny naszego gościa nieznanego,
który znowu zarysowuje nam się przed oczyma.

XXXIII.

Pozostaje jeszcze zarzut wielki, wynikający
z samej istoty zjawiska, a więc odległości, w isto-
cie nieprzebytej, jaka dzieli życie konia od ab-
strakcyjnej i nieprzeniknionej dziedziny liczb.
Jakże subluminal tego zwierzęcia może się na
moment bodaj zainteresować znakami, które dlań
nic nie znaczą, nie mają żadnego związku z jego
organizmem i nie sięgną nigdy w jego życie?
Taksamo dzieje się jednak z dzieckiem, lub rach-
mistrzem cudownym, a bez wykształcenia. Nie
interesuje się żadne z nich liczbami i nie zna
konsekwencji rozwiązywanych zagadnień. Igrają
oboje z czymś, czego na równi z koniem nie ro-
zumieją wcale. Ani dziecko, ani rachmistrz także
nie wiedzą, co czyni ich podświadomość, pogrą-
żona w jakiś sen obojętny i przepastny. Można-
by tu, co prawda, powołać się na atawizm i jego

wspomnienia, nie starczy tego jednak, by roz-
ciąć kwestję i odróżnić oba zjawiska. Powoły-
wanie się na atawizm jest w gruncie rzeczy
apelacją do sublimalu, a niewiadomo zgola,
czy ogranicza się on w swem zainteresowaniu
jeno do organizmu, w którym obrał siedlisko.
Nieraz zda się przekraczać o wiele ten właśnie
organizm, gdzie przebywa niejako przejściowo,
okazuje swą łączność ze wszystkim, co istnieje
i dowodzi, że jest bezosobisty, a powszechny.
Mówiąc o widziadłach i premonicjach przekona-
liśmy się, że go wcale nie obchodzi los tego,
który go żywi i gości u siebie. Przepowiada go-
spodarzowi swemu niebezpieczeństwa, których
uniknąć nie może, albo takie, które go nie do-
tyczą wcale. Zawiadamia o szczegółach śmierci
kogoś nieznanego, o czem się dowiedzą wszyscy
dopiero wówczas, gdy to nastąpi, przynosi mnó-
stwo przeczuć niezdatnych do użytku, wywo-
luje halucynacje prorocze, całkiem postronne
i nie nadające się do niczego. Z medjami psy-
chometrycznymi, typtologicznymi, czy też pod-
czas materjalizacji uprawia poprostu sztukę dla
sztuki, igra z przeszłością i czasem, przenika
przeszkody, przenosi przedmioty bez dotykania,
stwarza materję, mnoży osobowości, widzi po-
przez ciała, łączy myśli i odczucia przedzielone

całemi światami, czy to w duszach i istnieniach
wyobrażonych kwiatem, kawalkiem materji, czy
skrawkiem papieru, a wszystko to czyni bez
celu, dla zabawy jeno, czy dla wzbudzenia po-
dziwu, albowiem lubuje się we wszystkim, co
zbyteczne, bez związku, niespodziane, niepra-
wdopodobne i przepada za mistyfikacją. Zachowuje się jednak może w ten sposób dlatego, że
jest siłą niezmierną, bez kształtu, nie ujętą w karby,
skłębioną jeszcze w ciemni i jawiącą się na po-
wierzchni rzutami nagłemi i nieprzewidywanemi.
Być też może, że jest to siła bardzo rozległa, roz-
prószona, a chce się skupić, osiągnąć świadomość,
stać użyteczną i przejawić na koniec. Na razie
jednak jest taką, jak ją tu opisałem i nie może
się zachowywać inaczej w interesujących nas
okolicznościach.

XXXIV.

Zaznaczamy, dla zamknięcia tej kwestji, że rozwiązywania zadań przez dzieci i konie rachujące nie posiadają zgoła cech matematycznych. Nie biorą nawet wcale pod uwagę zagadnienia, ni potrzebnych działań, ale znajdują poprostu, odrazu, gotową odpowiedź na zagadkę, wyrażoną cyframi, które nie umieją dochowywać sekretu. Jest to dla istot znajdujących się w tym stanie umysłu rodzaj metody łatwej, która pozostaje nieodgadnioną tylko istotom władającym innym językiem. Jest przeto rzeczą oczywistą, że każde zagadnienie, najtrudniejsze i najbardziej z pozorów zawiklane, mieści rozwiązanie jedyne, niezmiennie, zlekka jeno przysłonione niedyskret-nemi znakami. Istnieje tu wirtualnie, pod liczbami, które służą jeno do tego celu, by ono istniało i stanowią konieczność tego istnienia. To-

też nie dziwnego, że odkrywają je oczy i uszy bystrzejsze od naszych, bez względu na chaos cyfr i działań, z jakich się wylania. Samo owo zagadnienie szepce koniowi w ucho odpowiedź z przepastnych głębin liczb, gdzie żyją prawdy niezmiennie. Istnieje tam jedno jeno proste i nagie słowo, jedna jeno, rzecz można, mechaniczna rewelacja czy refleks specjalny, możliwy do stwierdzenia, zaś cała reszta jest równie niepojęta, jak każde inne zjawisko świadomości czy instynktu. To, że nie dostrzegamy owego rozwiązania, jest właściwie równie dziwne, jak fakt uchwycenia go. Przyznaję, iż wszystko, co powiadam, jest jeno interpretacją ryzykowną, tyle mającą wartości, ile jej w sobie mieści, hipotezą laboratoryjną, tymczasową, którą się jednak zadowolnić musimy, albowiem wszystkie inne zostały odparte przez fakty.

XXXV.

A teraz streśćmyż pokrótce to, co nam dały doświadczenia elberferdzkie. Porzuciliśmy telepatję w ciasnem ujęciu słowa, albowiem, chociaż bierze zapewne udział w niejednej manifestacji, nie jest konieczną dla ich objaśnienia. Odbywają się one i wówczas nawet, gdy telepatja została wykluczona zupełnie. Przekonaliśmy się także, iż jeśli zaprzeczmy działaniu subluminalu, to niczego nam również nie wyjaśnia działanie inteligencji, zwłaszcza w kwestji wyciągania pierwiastków. Ale właśnie w chwili zapadania w ciemności natrafiliśmy na siłę intelektualną, podobną do naszej i tam gdzie nas czekała jeno niemoc, odkryliśmy potęgę, jakiej świat nie znał od czasu, kiedy nań napierać zaczęło to, co niewidzialne i niepojęte. Trudno przewidzieć dziś wszystkie konsekwencje i obietnice, jakie płyną z tego no-

wego aspektu starego zagadnienia inteligencji. Trzeba będzie jednak, zda się, poddać rewizji kilka zasadniczych idei, któremi żyjemy, a niesłychane i dziwne widnokreśli rozslonią nam się w historii, psychologii, moralności, przeznaczeniu człowieka i wielu innych jeszcze dziedzinach.

XXXVI.

Tyle o inteligencji. Z drugiej jednak strony wszystko to czego jej odmawiamy, musimy przypisać subliminalowi i objawienie to wprawia w jeszcze większe zdumienie. Trzeba by przyznać, że istnieje w koniu, a nawet prawdopodobnie w każdej żywej istocie tej ziemi, siła psychiczna, podobna do naszej, ukrytej pod rozumem, a ovladająca ten ostatni coraz to bardziej, w miarę jak ją poznajemy. Siła ta, którą kiedyś uznamy za geniusz wszechświata, zda się, jak to ciągle podkreślamy tutaj, wszystko wiedzieć, przewidywać i do wszystkiego być zdolną. Daje wszelkie odpowiedzi w chwilach, gdy jej się podoba skomunikować z nami, lub gdy pozwala do siebie przystąpić i prawdopodobnie zaradza wszystkiemu co złe. Nie będziemy ponownie wyliczali jej doskonałości, zwrócimy jeno uwagę na łatwość, z jaką

się bawi czasem przestrzenią, z jakim wreszcie lekceważeniem obala przeszkody, wiążące naszą nędną wiedzę i świadomość. Sądziliśmy dotąd, z zupełną słuszością, iż my, ludzie, sięgamy najwyżej w sferę nieznanego, zapomocą naszego rozumu, a tymczasem okazało się, co prawda dużo za późno, że w pewnym punkcie stoimy znacznie niżej od konia i psa, które czerpią nierównie łatwiej z tej krynicy. Skutkiem jakiejś tajemniczej anomalji, zgodnej zresztą z fantastycznością subluminalu, zwierzęta te mają dostęp do tej krynicy właśnie w punkcie najodleglejszym ich naturze i najmniej znanym, gdyż coś w niej, niż liczba, obchodzić może zwierzę. Chociaż może koń lub pies znalazłby odpowiedź równie łatwą na inne także zagadki, gdybyśmy umieli powiązać ich ekspresję z ruchami elementarnymi, jakie te zwierzęta mogą wykonywać. Pochwyciwszy dość jasno ideę wartości cyfr i początków działań arytmetycznych, wzniosły się już potem same na wyże matematyki, niesiężne dla ogromnej większości ludzi. Toteż nie uważam wcale za chimere przypuszczenie, że gdybyśmy im zdołali wpoić np. ideę przyszłości, a zarazem nauczyć, jak mogą wyrażać to co wiedzą, moglibyśmy uczestniczyć w przedziwnych wizjach innego planu psychicznego, od którego nas od-

suwa zazdrośnie nazbyt czujna inteligencja nasza. Otwiera się tu pole dla doświadczeń, co prawda uciążliwych wielce, gdyż przyszłość nie da się tak łatwo interpretować i przedstawić, jak liczba. Jest też możliwe, że biorąc się umiejętnie do rzeczy, uzyskamy ludzkie fenomeny medjumiczne, jak: aporty, przenoszenie przedmiotów, materializacje i inne jeszcze zadziwiające manifestacje owego subluminalu, którego fantazja nie ma zda się granic. Uznawszy jasnowidztwo w zakresie liczb, a trudno go nie uznać, możemy też oczekiwać jasnowidzeń innego rodzaju. Wyłom został uczyniony niespodzianie w okolu mieszczącym wielkie tajemnice, które stawały się nam jakby coraz to bardziej niedostępnymi i obcymi, w miarę rozwoju naszej wiedzy i cywilizacji. Wyłom to, co prawda niewielki, ale pierwszy, w murze dotąd nietkniętym, a odwróconym od człowieka. Cóż przezeń ujrzymy? Trudno dziś przewidzieć, czego się mamy spodziewać.

XXXVII.

W największe zdumienie wprawia fakt, że objawienie to przychodzi tak późno. Czemże objaśnić, że człowiek żył dotąd pośród swych zwierząt domowych, nie przypuszczając, by posiadały te same co on nadzwyczajne zdolności medjumiczne i subluminalne. Czy jednak nie domyślał się tego? Trzebaby przestudjować pod tym kątem widzenia tajemnicze praktyki starodawnych Indyj i Egiptu, liczne a uporcezywe legendy o zwierzętach mówiących, prowadzących swych panów i przepowiadających przyszłość. Mamy też bliżej siebie, w historii właściwej całą wiedzę augurów i baruspaksów, którzy czerpali przepowiednie z lotu ptaków, wnętrzości zwierząt, z apetytu lub wreszcie z zachowania się zwierząt świętych i wróżebnych, pośród których na-

potykamy często konie¹⁾. Znajdujemy tu w niezliczonych przykładach wiedzę zatraconą, czy antycypowaną, która każe się zastanowić nad pytaniem, żali ludzkość przeczuła, czy też zapomniała już to, co dziś z wolna odkrywamy. Na dnie najszaleńszych i najdziwniejszych przesądów, wierzeń czy legend kryje się prawda, spaczona, zapoznana, lub mglisto jeno dostrzeżona. Cała nasza najnowsza wiedza metapsychiczna, badanie podświadomości i innych sił nieznanych, wszystko co dziś wylania się dopiero z ciemności, wyryło ślady, zatarte już dziś, ale nie trudne do rozpoznania w starych religiach, niewytłumaczalnych tradycjach i najdawniejszych dziejach ludzkości. Coprawda fakt jakiś nie staje się prawdopodobniejszym przez to, że posiada stwierdzonego niewątpliwie po-

¹⁾ Tacyt powiada, że Germanie zwykli pytać konie o wróżby. Państwo utrzymywało w zagajnikach białe konie, niepracujące nigdy. Zaprzęgano je do świętego wozu, wsiadał weń król z arekaplanem i obaj obserwowali ich rżenie i parskanie. Była to wróżba najbardziej decydująca i najpewniejsza, nie tylko dla ludu, ale także władców i kapłanów. Uważano konie za powierników bóstw, podczas gdy ludzie byli jeno ich sługami — Tacyt: *De moribus* rozdział X.

Tertuljan wspomina o: *capellae divinatores* kozach wróżących, które odpowiadały według pewnego alfabetu uderzając nogami.

przednika. Jeśli prawdą jest, że nie nowego pod słońcem, czy nawet w przedwieczach poprzedzających słońce, to jednak możliwym jest, że te same siły nie działają zawsze z tą samą energią. Zamieściłem to przypuszczenie w swym »Skarbie maluczkich«¹⁾ przed dwudziestu laty, kiedy dopiero zaczynałem poznawać to, co dziś wiem nieco lepiej może. Powiedziałem tam: — Wydaje się, jakby teraz nadchodził okres duchowy (należało powiedzieć: psychiczny). W dziejach natrafiamy na pewną liczbę okresów podobnych, kiedy dusza wychyla się pod naporem jakichś praw tajemnych na powierzchnię, rzecz można, człowieczeństwa, ujawniając dobitniej istnienie swe i potęgę. Wydaje się, że w tej chwili właśnie człowiek (należało dodać: i wszystko co wraz z nim żyje na ziemi) stara się podźwignąć ciężki glaz materji. — W istocie, mam wrażenie, że nieznany dotąd wstrząs szerzy się pośród istot żywych, a niepokój nowy jakiś drży w naszej atmosferze duchowej, ogarniając cały glob i sięgając aż do zwierząt. Możnaby powiedzieć, że obok skąpych źródeł, z których czerpie nasz rozum, trysły teraz nowe, obfitsze dużo

¹⁾ »*Tresor des humbles*« — fatalnie spolszczone w przekładzie na »Skarb pokornych«. Możnaby wreszcie powiedzieć: »Skarb prostaczków« — przyp. tłumacza.

i biją równie wysoko dla wszystkiego co żyje. Jakieś hasła, a wszędzie te same, rozbrzmiewają po różnych zakątkach świata, zwracając naszą uwagę. Zdaje się, że genjusz wszechświata dotąd upornie milczący od czasu powstania skał, kwiatów i owadów, chciał nagle objawić nam coś ze swych tajemnic, w tym celu, byśmy go lepiej poznali, lub poto, by sam siebie lepiej poznał. Może to być złudzeniem jeno. Może tylko dziś lepiej obserwujemy, uważniej patrzymy i więcej wiemy niżli dawniej. Dziś posiadamy np. w jednej chwili wieści o wszystkim, co się dzieje na całej ziemi. Mimo wszystko jednak złudzenie miałooby w tym zakresie tęsamą moc i znaczenie co rzeczywistość, uprawniałoby też do tychsamyh nadziei i nakładało tesame obowiązki.

GOŚĆ NIEZNANY

I.

PRZYPATRZYMY się tu kilku manifestacjom tego, cośmy nazywali raz poraz, niemal bez różnicy nieświadomością, podświadomością, sublumi-nalem i gościem nieznany. Możliwyby jeszcze dodać miano »psychizmu wyższego« wymyślone przez Dra Goley'a. Wszystkie te zjawiska stwierdzone w rzeczywistości należy przynajmniej sklasyfikować (o ile ich jeszcze wytłumaczyć nie umiemy), a stać się to nie może bez pomocy nowych hipotez. Można wątpić, węszyć, przeczyć potrosze, ale nie wierzę, by to wszystko mógł odrzucić bez spekulacji ktoś, kto się szczerze i poważnie zajął faktami tego rodzaju. Można ostatecznie pominąć nadzwyczajności, ale ogromna większość tych zjawisk jest już tak zwyczajną, częstą i znaną, że się niczem nie różnią od normalnych, powszednich przeżyć naszych. Dość

łatwo reprodukować je wedle upodobania, o ile nie zachodzą okoliczności wprost sprzeczne z ich naturą, dlatego też nie zachodzi żadna poważniejsza przeszkoda, by je włączyć w zakres wiedzy właściwej.

Wiemy jednak dotąd, że źródło tych wszystkich manifestacyj i przyczyna są nieznane. Powie ktoś może, że wobec tego odkrycie owo jest dość marne. Przyznaję chętnie, iż dzieciństwem byłoby wytłumaczyć je podając za wytwór siły nieznanej. Jest to jednak pewnym już rezultatem, jeśli miast szukać obłądnie we wszystkich kierunkach, posiadamy tę jedną ścisłą orientację i za każdym razem rozpoznajemy te same nawyczki, metody i rysy charakterystyczne tego samego, nieznanego sprawcy. Więcej uczynić narazie nie sposób, ale tym pierwszym wysiłkiem gardzić nie należy.

II.

Wydawało nam się tedy, że to nasz gość nieznany przemawiał imieniem zmarłych w stolicach wirujących, lub kreślił wyrazy pisma automatycznego. Zajmował w nas samych miejsce tych, których już niema, łączył się może z siłami nieśmiertelnemi, odwiedzał grobowce, dobywając z nich niepojęte widziadła, jawiące się bez celu i straszące po domach naszych, niewiadomo dlaczego. Widzieliśmy, jak w doświadczeniach z intuicją czy jasnowidzeniem pokonywał wszystkie przeszkody, które oddalają, lub kryją myśl, jak czytał poprzez przeźrocyste dla siebie ciała, czytał w samej duszy naszej nawet odnajdując tajemnice minione i zapomniane, uczucia nie mające jeszcze kształtu i zamiary nie zrodzone dotąd. Stwierdziliśmy, że starczy mu przedmiotu dotkniętego przez osobę

oddaloną, by natychmiast wniknąć w najskrytszą głęb życia tej istoty, zstępować niżej i wzlatać wyżej niż ona sama, widzieć co widzi i czego nie dostrzega, więc krajobraz pośród którego się znajduje, dom gdzie mieszka, a dalej niebezpieczeństwa na jakie jest narażona i tajne pożądanja, które nią miotają. Spostrzegliśmy, że błądzi bez kierunku, na oślep, w przyszłości, miesząc ją z chwilą bieżącą i przeszłością, wiemy, że nie posiada orjentacji, ale jest jasnowidzem, że wie zapewne wszystko, a nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia tej wiedzy, lub może nie umie z niej wyciągnąć korzyści i objawić tego. Łatwo zapomina, jest plochliwy, rozwlekły, pelen niedomówień, bezpożyteczny, a konieczny jednocześnie. Dotąd uważaliśmy, że jest nierozdzielnie związany z człowiekiem, nagle jednak wychyla się z istot innych i objawia zdolności bliskie naszym i łączące się z niemi w toni najgłębszych tajemnic. Zdolności te dorównują ludzkim, a nawet przewyższają je niesłychanie i to w dziedzinie zarezerwowanej zdawało się dotąd wyłącznie dla człowieka, mianowicie w operowaniu wielkimi liczbami.

Znamy też inne jeszcze jego przejawy dziwniejsze może i ważniejsze, jak n. p. niepojęte zdolności lecznicze, oraz zjawiska materjalizacji.

Nie przesądzając tego, czego jeszcze nie wiemy, daliśmy na kartkach poprzednich szkic, sędzę, dość dokładny cech ogólnych i charakterystycznych, by można się było zorjentować pośród chaosu linii sprzecznych częstokroć i zbyt licznych.

III.

Czyż jednak istnieje wogóle ta osobistość tragiczna i śmieszna, nieuchwytna i nieunikniona jednocześnie, którą chcemy tu naszkicować, lub przynajmniej rozpowić z najgrubszych choćby osłon? Zuchwalstwem byłoby twierdzić tak głośno, chociaż na terytorjum jego domniemaney władzy wszystko się odbywa tak, jakby rzeczywiście twór ten istniał. Przypuściwszy, że go nie ma, musimy natychmiast zaludnić świat i życie własne ciżbą istot hipotetycznych i fantastycznych, bogami, półbogami, demonami, dezinkarnatami, istotami duchowymi i inteligencjami astralnymi. Gdy go uznamy, nikną natychmiast wszystkie te akcesoryjne i zbyteczne zjawy. Gość nieznany jest pełen tolerancji, nie tyka żadnej z hipotez usiłujących go wytłumaczyć, do pewnego stopnia słusznych, choć nie

potwierdzonych, ale wchłania je wszystkie i włada niemi, nie niwecząc wcale. Ile razy czepimy się krórejś z nich, twierdząc n. p. że dezinkarnaci kierują naszymi czynami, straszą w domach, podsuwają myśli i objawiają przyszłość, gość nieznany powiada: — Zgoda! Tylko to wszystko czynię właśnie ja sam! Jestem w tobie dezinkarnatem, niezupełnym wprawdzie, bo jeno mała cząstka mej istoty tkwi w twojem ciełe, a cała reszta, to znaczy niemal wszystko, krąży swobodnie w tych, którzy byli i którzy będą, a jeśli oni mówią zwracając na się twą tak często codzienną uwagę, to ja to właśnie przemawiam, dobierając sobie jeno ich głosu i ich nawyknień. Jeśli masz upodobanie w obcowaniu z istotami wyższemi, nieznanego pochodzenia, z inteligencjami śródgwiezdными i nadprzyrodzonymi, to znowu się spotykamy. Nie tkwiąc całkowicie w twojem ciełe jestem gdzieindziej, a wolny od ciężaru tegoż ciała jestem wszędzie gdzie chcę. Jak widzimy, znajduje on odpowiedź na wszystko, przybiera każde miano i nie zna ograniczeń, albowiem żyje w świecie, gdzie granice są złudzeniem, a słowa nasze, ziemskie, rzeczą zgoła zbyteczną.

IV.

Jeśli ma jednak odpowiedź na wszystko, to dość słuszny stawiają mu a ciężki zarzut ci, którzy przypisują dezinkarnatom pewne manifestacje czy rewelacje. Jak to trafnie zauważył Maxwell, doktryna jego jest wielce chwiejną. Ile razy gdziekolwiek na ziemi przemawia imieniem duchów, twierdzi, że wcielają się one ciągle i opowiadają chętnie przygody swych minionych awatorów. Tylko w Anglii wyjątkowo twierdzi zazwyczaj, że wcielenia niema. Cóż to ma znaczyć? Jestże to ignorancja, czy sprzeczność u istoty, która wie podobno wszystko? Czyż to nie dziwne? Gorzej jeszcze! Przypisuje rewelacje podawane raz duchom, to znowu samemu sobie, lub komukolwiek bądź. Kiedyż mówi prawdę? Conajmniej dwa razy na trzy wypadki wprowadza nas w błąd, lub myli się. Jeśli zaś

myli się w punkcie, gdzie mu tak łatwo poznać prawdę, to cóż nam może powiedzieć o świecie, którego praw najelementarniejszych nie zna widocznie, skoro nie wie nawet, czy sam przemawia imieniem tego świata, czy czyni to ktoś inny? A może szamocze się w tychsamyh ciemnościach co nasze marne, powierzchowne ja, które rzekomo oświeca, a inspiruje nawet rzeczywiście w większości ważnych chwil życia? Jeśli zaś wprowadza nas w błąd, to czemuż to czyni? Nie dostrzegamy żadnego celu, nie żąda bowiem jałmużny, modłów, ni myśli na rzecz tych, których postać przybiera, w tym jedynie celu, by nas oszukać. Nacóż się tedy zdała ta pozagrobna igraszka, złośliwa, dziecinna, desperacka i lodowata jednocześnie? Kłamie tedy dla przyjemności kłamania? Czyżby ten nasz gość nieznany, ta podświadomość nieskończona i nieśmiertelna, zapewne, w której złożyliśmy ostatnią nadzieję naszą, czyżby on był jeno głupcem, marnym komedjantem, lub oszustem?

V.

Nie sędę, by prawda wyglądała tak czarno. Nie myli się on, ani oszukuje nas, my jeno popelniamy omyłki. Nie jest on sam na scenie i nie jego to głos chwytają uszy nasze, nie przystosowane wcale do głosów odmiennego świata. Gdyby mógł przemówić sam i powiedzieć co wie, skończyłoby się natychmiast nasze bytowanie na ziemi. Jesteśmy więźnie pogrzebani w ciele swoim, nie może się więc z nami porozumiewać kiedy chce. Krąży wokół murów, woła, ostrzega, stuka do różnych bram, do nas dochodzi jednak tylko mglisty niepokój i szmer niewyraźny, który nam tłumaczy czasem jeden z zaspanych i jak my do śmierci na niewolę skazany więzień. Czyni on to jak umie najlepiej, posługuje się znanymi sobie i nam wyrażeniami, powtarza to co słyszy i stara się wy-

tłumaczyć nam to, czego sam nie rozumie. Nie wie, skąd płyną te szmery i stosownie do tego czy w ciągu dnia rozmawiano o burzy, wojnie, lub zamieszkach, przypisuje je grzmotom, armji, lub rozpętanemu tłumowi. Mówiąc bez metafor, to właśnie medjum stara się wyrazić językiem zwykłym, zrozumiałym dla otoczenia te wizje i przeczucia dziwne, które doń płyną niewiadomo skąd. Jeśli medjum wierzy w życie pozagrobowe, pewne będzie, oczywiście, że mówią doń umarli. Jeśli ma ulubionego ducha, anioła, demona, czy boga, będzie mówiło jego imieniem. Jeśli zaś nie posiada idei uprzednio slurmufowanych, nie poda wcale wzmianki, skąd pochodzą jego rewelacje. Nieartykułowany język podświadomości pożyczka z potrzeby języka świadomości normalnej i oba, mieszając się, tworzą żargon falujący ustawicznie i różnolity. A nasz gość nieznany, któremu nie idzie o wykład doktryny swego istnienia, jeno o jakieś ostrzeżenie mniej czy więcej użyteczne, lub znak, że żyje, zda się nie bardzo dba o formę wypowiedzenia się, zwłaszcza, że nie ma wyboru, gdyż skrepowany niemożnością wypowiedzenia się wprost i naszym niedołęstwem musi poprzestać na tem, co mu się nasuwa.

Jeśli w dodatku przypisujemy zbyt wyłącz-

nie duchom to, co pochodzi skądinąd, błąd ten w jego oczach nie jest zbyt wielkim, gdyż nie jest tak bezrozumny, by sądzić, że żyje wraz z tem, co nieśmiertelne u umarłych, podobnie jak z owym nieśmiertelnym pierwiastkiem w was samych, a dalej razem z tem, co nie wkracza w grób, lub tem co się nie wciela w chwili urodzenia.

VI.

Nie można tedy przekreślać zupełnie i innych także teoryj. Zawierają one, zdaje się, po części prawdy, a przytem cały wielki spór pomiędzy teorią podświadomości a spirytyzmem polega na nieporozumieniu. Ponieważ jest niemożliwością, by zmarli nie żyli, otaczają nas oni zapewne, a nawet bardzo prawdopodobnie. Podświadomość nasza stoi w związku z tem wszystkim, co w nich nie umiera. To zaś, co w nich umiera, a raczej co się rozprasza i traci znaczenie, jest jeno nikłą świadomością ziemską, podtrzymywaną przez pamięć do ostatniej chwili życia. We wszelkich manifestacjach gościa nieznanego bierze udział to nasze: ja, zagrobne, które żyje już wówczas, kiedy chodzimy w ciele swoim, a sięga czasem do tego, co nie ginie w tych, którzy już opuścili ciało. Istnienie go-

ścia nieznanego kazałoby tedy przypuszczać nieśmiertelność cząstki naszego: ja. Trudno w to nawet wątpić. Czyż wyobrażaliśmy sobie kiedykolwiek, że umrzemy całkowicie? Nie umiałbym sobie wyobrazić nawet owego wyobrażenia zupełnego zniknięcia. Jeśli atoli nie możemy zniknąć doszczętnie, to nie znikli również przodkowie nasi, a temsamem istnieje możność odnalezienia ich i nawiązania stosunków. W tem rozszerzonym ujęciu jest hipoteza spirytystyczna zupełnie dopuszczalną. Natomiast nie sposób się zgodzić na ciasną i kruchą interpretację jej zwolenników. Zmarli gromadzą się rzekomo wokół nas, w postaci marnych cieni, przytroczonych na zawsze do nędznych miejsc agonji swej i to zapomocą cienkich nitek głupkowatych wspomnień i dziecinnych upodobań. Zapychaliby nam mieszkania, bardziej jeszcze przyziemnie ludzcy niż za życia, rozchwiani, pozbawieni tężyzny, gadatliwi, roztrzęsieni, bezpożyteczni, rozpróżnieni, włóczący wszędy swe cienie, które okrywa zwolna milczenie i niepamięć, zajęci tem, co ich już nie obchodzi, a przy tem wszystkiem niezdolni do jakiegokolwiek przysługi rzeczywistej. Jeśli tak być musiało, to straszną jest zaprawdę i beznadziejną śmierć, która niczego nie oczyszcza i nie podnosi, nie wyzwala.

VII.

Nie, to nie umarli mówią do nas i nie oni czynią tyle wysiłków porozumienia. Nacóż ich zresztą niepotrzebnie wywoływać? Należałoby to uczynić, gdyby poza nimi nie istniały zjawiska analogiczne. Tymczasem w przypadkach intuicji, jasnowidztwa medjów niespirytystycznych, a zwłaszcza psychometrii otrzymujemy porozumienie podświadomości pomiędzy sobą i objawienia faktów nieznanych, zapomnianych lub przyszłych, równie conajmniej uderzające chociaż wolne od niepotrzebnego gadulstwa i przeszkadzających nam wspomnień, któremi nękają żywych zmarli, tem więcej chcący udowodnić swą identyczność, że czują, iż całkiem są pozbawieni istnienia.

Dużo wydaje się prawdopodobniejszem, w tych nieokreślonych sferach, w które wkroczyliśmy,

istnienie dziwnej mieszaniny sił różnolitych. Cały ten chaotyczny dramat rozgrywa się prawdopodobnie wokół owego płytkiego zalewiska okrytego mgłami, gdzie świadomość normalna wchodzi w rzekę podświadomości. Świadomość medjum, które jest zawsze, pamiętajmyż, niezbędne dla tych zjawisk, omglonego do reszty przez stan transu, wyłącznie znającego język ludzki i mogącego nim władać, chwyta zrazu wyłącznie niemal to co najlepiej rozumie i czem się najsilniej interesuje z całego chaosu fragmentarycznych objawień gościa nieznanego, który stoi w związku ze zmarłymi, żywymi i wszystkim, co żyje na świecie. Reszta, jedynie tu ważna, ale nie tak jasna i wyrazista, rzadko jeno może utorować sobie drogę poprzez owo bredzenie małoznaczne. Dodajmy jeszcze, iż jak to słusznie wyraził Dr Galey, podświadomość nasza utworzona jest z warstw poziomych, zaczyna się na poziomie bezświadomości, gdzie mają swe źródło ruchy instynktowne życia organicznego gatunku i indywiduum, potem nieuchwytnymi przejściami kroczy w górę i wreszcie sięga wyżej psychizmu, o bezgranicznej wprost potędze i rozmiarach. Tedy głos medjum, lub nasz głos wewnętrzny (gdyż w ważnych chwilach życia stajemy się własnym medjum) musi prze-

niknąć przez trzy światy, świat instynktu atawicznego, łączący nas ze zwierzętami, świat ludzkiej empirycznej świadomości i wreszcie świat naszego gościa nieznanego, czyli podświadomości wyższej, łączącej nas z olbrzymią prawdą niewidzialną i rzec można, boską, lub nadludzką przynajmniej. Nic też dziwnego, że pośrednik, czyby był spirytystą, autonomistą, polingenezistą, czy kimkolwiek innym, gubi się w tem niezmiernem wirowisku, zaś prawda jaką nam daje po przejściu tyłu burz dochodzi nas połamana, rozbita, rozsypana i wprost nie do poznania zmieniona.

Powtarzam, zresztą, że gdyby nie ów iluzoryczny los przyznany zmarłym przez spirytystów, kwestja przebudzenia nie miałaby znaczenia, gdyż we wszystkim i wszędzie śmierć i życie łączą się ze sobą zawsze i ciągle. W manifestacjach tych biorą niewątpliwie udział zmarli, jeśli zważymy, że jesteśmy pełni zmarłych i że większa część istoty naszej wtopiona jest już za życia w śmierć, to znaczy wiedzie żywot nie znający granic, jaki nas czeka poza grobem.

VIII.

Źle uczynilibyśmy jednak na razie, zwracając wyłączną uwagę na te nadzwyczajne zjawiska, w których biorą udział zmarli, pomijając inne, gdzie niema ich wpływu. Tu właśnie odnajdujemy punkty wystające nad powierzchnię i cenne ślady, pozwalające tropić naszą tajemnicę, oraz oznaczyć w przybliżeniu zakres, postać, oraz obyczaje. Musimy jej szukać i starać się uchwycić ją w głębi własnej naszej istoty, gdzie się szamoce i stąd kieruje przeznaczeniem naszym. Nie mam tu wyłącznie na myśli snów, przeczuć i mglistych intuicij, czy nawet genialnych natchnień, które są, rzecz można, specyficzne i analogiczne z poprzednimi. Istnieje inna, dużo aktywniejsza forma bytowania, którą dopiero zaczęto badać, a będąca jedynie istotnem życiem naszym, o ile sięgamy po prawdy

ostateczne. Z tych głębin płyną prądy kierownicze tego naszego życia, które nie zniszczą wraz z myślami oraz wszystkim co promieniuje z naszego rozumu, który, rzekomo, kieruje kroki naszymi. Tam tkwi pełna znajomość długiej przeszłości przed urodzeniem, i nieskończonej przyszłości pośmiertnej. Mieszczą się tu wszyscy, którzy nas wydali na świat i których wydamy. Stanowią nietylko gatunek w jednostce, ale wszystko, co go poprzedziło i co nastąpi po nim, bez początku ni końca. I dlatego nic go nie dotyka, nic nie wzrusza, zna i ocenia każdą radość czy nieszczęście i wie, czy nam otworzą czy też zamkną źródła życia. Ta moc nie myli się. Daremnie tłumaczy jej rozum sylogizmami, że popełnia błąd. Milczy, pozostaje tak nieruchomą, żeśmy nie mogli dotąd pochwycić jej wyrazu i kroczy dalej swą drogą. Postępuje z nami jak z dziećmi bezrozumnymi i nieświadomymi, nie odpowiada też na pytania, odmawia tego, o co prosimy, a daje, czego nie chcemy. Gdy zbaczamy w prawo, kieruje nas w lewo. Jeśli rozwijamy w sobie jakąś daną zaletę, czy zdolność ulubioną, ukrywa je zaraz pod temi, o których słyszeć nie chcemy. Ocala nas od katastrofy, dając członkom naszym zdolność takich ruchów niespodzianych i nie-

omylnych, którychbyśmy nie uczynili nigdy, bowiem sprzeciwiają się nabytym i wyuczonym już. Wie, że nadeszła chwila obrony skutecznej. Wybiera nam miłość na złość rozumowi i ślepemu nawet sercu naszemu. Uśmiecha się, gdy czujemy strach, a nieraz trwożna jest, gdy się uśmiechamy. Zawsze zaś ponosi i upokarza rozum, zdruzgocze mądrość i nakłada wzgardliwe milczące jarzmo przeznaczenia namiętnościom i argumentom. Łoże nasze otaczają lekarze najznakomitsi zawodząc was i myląc się, ona jedna mówi wam z cicha prawdę niechybną. Spada wam na głowę tysiąc ciosów, zda się śmiercionośnych, a ona ani nie drgnie nawet powieką, tymczasem zrywa się nagle za lekkim potrąceniem, którego nie zarejestrowały nawet zmysły wasze. Wstaje, patrzy i dostrzega pęknięcie w sklepieniu, które rozdziela dwie formy życia. Daje znak odejścia. W tej chwili strach zaczyna się szerzyć od komórki do komórki, olbrzymie miasto, którem jesteście, rozbrzmiewa skowyttem okropnego przerażenia i wszystko tłoczy się wokoło bram śmierci.

IX.

Olbrzymia ta postać istoty nowej, która atoli była obecną zawsze, a zawsze w ciemni naszego ja, a której gesty niezgrabne i przesadne przypisywaliśmy dotąd bogom, demonom, czy zmarłym, teraz dopiero po raz pierwszy zwróciła na się bacność naszą w sposób poważny. Przyrównywano ją do olbrzymiego bloku, którego maleńką płaszczyznę jednego kryształu jest osobowość nasza, lub do góry lodowej, pokrytej iskierkami odbłasków, wyobrażających drobne życie nasze, a w dziewięciu dziesiątych swego ogromu pograżonej w toni morza. Wedle Oliwera Lodge jest to część niewcielona naszej istoty, zaś Gustaw Le Bon uważa to za skondensowaną duszę naszych przodków. Ostatnia definicja jest po części jeno trafna, albowiem mieści się tam również dusza przyszłości,

oraz mnóstwo sił innych, niekoniecznie ludzkich wyłącznie. Wiljam James upatruje tu świadomość rozprószoną po kosmosie i zamiecioną przypadkiem w nasz świat zorganizowany umiejętnie z odłamków i gruzu pierwotnego chaosu. Dużo jeszcze stworzono innych obrazów dla wyobrażenia rzeczywistości tak rozległej, że objąć jej nie sposób. Mamy niemal pewność, że całe nasze widzialne życie ziemskie jest niczem w porównaniu do tego, czego nie dostrzegamy. Po namyśle dochodzimy sami do wniosku, że byłoby monstrualnością, zgoła niezrozumiałą, gdybyśmy byli tem jeno, czem się być zdajemy. Sami jeno, wyłącznie pełni, skompletowani, wyodrębnieni, izolowani, ograniczeni ciałem, umysłem, świadomością, urodzinami i śmiercią byłibyśmy zgoła nieprawdopodobnymi istotami. Prawdopodobieństwo zaczyna się dopiero, gdy przyjmujemy, że treść nasza przelewa się ze wszystkich stron poza brzegi kształtu i że posiadamy przedłużenie we wszystkich kierunkach i każdym czasie.

X.

Jakże sobie atoli zdać sprawę z owego niesłychanego kontrastu pomiędzy nieogarniętą wielkością naszego gościa nieznanego, jego pewnością, spokojem, powagą życia wewnętrznego, jakie wiedzie w głębi nas, a z dziecinną chaotycznością i często nawet groteskowością tego, co nazwać można jego życiem publicznem? Dopóki trwa w nas, jest wielkim sędzią, poskramiaczem, prorokiem i bogiem niemal wszechpotężnym, gdy zaś opuści tę kryjówkę i zacznie się manifestować aktami zewnętrznymi, przeistacza się zaraz we wróżbiarza, szarlatana jarmarcznego, prestidigitatora, telefonistę-żartownisia, omal że nie linoskoczka i błazna. Kiedyż jest sobą? Czy go po wyjściu ze świątyni ogarnia szal? A może to my przestajemy go rozumieć, gdy nie mówi z cicha i nie działa w cieniach naszego życia?

Czyż w stosunku do niego jesteśmy jak ul w popłochu, gdy nieznana, olbrzymia ręka sięgnie do wnętrza, czy może czemś podobnem do mrowiska, ogarniętego szaleń, gdy na niem spocznie olbrzymia, nieznana stopa? Trudno badać tę dziwną zagadkę przy pomocy posiadanych dziś wiadomości. Ograniczmy się narazie do zanotowania mimochodem innych kwestyj, nieco łatwiejszych, na które odpowiedź jest przynajmniej możliwa.

Czyż, przede wszystkim idzie o fakty istotnie nowe? Czyż wczoraj dopiero objawiło nam się istnienie gościa nieznanego i spostrzegliśmy jego zewnętrzne manifestacje? Czyż dalej wzmożona baczność nasza daje złudzenie, iż jest ich więcej, czy może zwiększona liczba zwróciła naszą uwagę?

Jak daleko sięga wstecz historia, fakty te nadzwyczajne istniały zawsze, w innej jeno, często cudowniejszej postaci i pod innemi nazwami. Proctwa, wyrocznie, haruspicja, inkantacje, wywoływanie zmarłych, opętania, widziadła, duchy, cudowne uleczenia, lewitacje, przenoszenie myśli, pozorne przywracanie do życia i t. p. to wszystko było zawsze, wyolbrzymione jeno i uwielokrotnione wyraźnem oszustwem i to stanowi dziś również nasz świat zjawisk nadprzyrodzonych. Z drugiej strony możemy stwierdzić,

że wszystkie części globu uczestniczą na równi niemal w manifestacjach tego rodzaju, a przynajmniej niema rasy, któraby się im w zupełności i specjalnie wymykała. Przeważnie występują jednak głównie u ludów najbardziej cywilizowanych, może dlatego, że obserwacja jest tem baczniejszą, a także u ludów najprimitywniejszych. Trudno zaprzeczyć, że zdolności te w stanie bardziej czy mniej utajonym stanowią powszechną i trwałą ojcowiznę ludzkości. Czyż jednak zdolności te rozwinęły się jak inne, a jeśli nie stało się to na naszej ziemi, czyż odnajdujemy ślady tej ewolucji poza naszą planetą? Jestże to rozwój, czy uwstecznienie, gałęź sucha i bezużyteczna, czy może pęk wezbrany sokami i nadzieją? Czy cofają się te zdolności pod naporem inteligencji, czy może zyskują na sile i ogarniają coraz to dalsze terytoria?

XI.

Ernest Bozzano, jeden z najuczeńszych badaczy, śmiały i subtelny działacz w zakresie nowej wiedzy, w znakomitej pracy swej, opublikowanej w *Annalach nauk psychicznych*¹⁾, wyraża pogląd, że zdolności te pozostały przez wieki niezmiennymi. Nie rozprószyły się, nie upowszechniły, nie wydoskonaliły, jak tyle innych, nie związanych bezpośrednio z walką o byt np. muzyka. Zdaniem Bozzano nie można ich nawet pielęgnować i rozwijać metodycznie. Ludy hinduskie, posiadające je od tysięcy lat i wprowadzające ustawicznie w praktykę, osiągnęły jeno lepszą metodę empiryczną, sprzyjającą manifestacjom u jednostek wyposażonych w te zdol-

¹⁾ *Annales des Sciences psychiques* — wrzesień 1906.

ności w sposób naturalny i wrodzony. Nie wiem do jakiego stopnia twierdzenie Bozzano jest niezaprzeczalnym. Idzie tu o fakty historyczne, oraz tak odległe, że bardzo trudno je skontrolować. Niemala to jednak rzecz, jak uczynili Hindusi, osiągnąć wydoskonalenie metod empirycznych, sprzyjających manifestacjom nadnormalnym. Tego jeno mogliśmy się właściwie spodziewać. Z drugiej strony tenże sam autor zapewnia, że zdolności te są utajone w każdym człowieku i że starczy, jak to nieraz stwierdzono, choroby, przypadku traumatycznego, a czasem jeno wzruszenia, lub niedyspozycji, by się zjawyły u osobnika, pozbawionego ich pozornie. Istnieje tedy możliwość, że ulepszając metody i biorąc się do tajemnicy z innej strony, uzyskamy wyniki bardziej decydujące od hinduskich. Nie zapominajmyż, że wiedza zachodu od wczoraj dopiero wzięła się do tych badań, a posiada środki, jakich nigdy nie mieli Azjaci. Można nawet powiedzieć, że od początku istnienia naszego globu w żadnym momencie inteligencja naukowa nie była wyposażona w lepsze narzędzia przystosowane do każdej funkcji, precyzyjniejsze i dokładniejsze niż dzisiaj. Fakt, że empirycy orjentalni nie dokonali wielkich rzeczy, nie dowodzi wcale, by się nam nie miało udać rozbudzenie

w każdym człowieku tych zdolności, użyteczniejszych nieraz o wiele od inteligencji. Pod pewnym kątem patrząc, możemy powiedzieć, że prawdziwa historia ludzkości rozpoczęła się dopiero.

XII.

Twierdzenie Bozzana, dotyczące rozwoju naturalnego tych zdolności wydaje się jednak dość uzasadnionem. Nie spostrzegamy istotnie wybitnej, a nawet żadnej różnicy pomiędzy tem, czem ongiś były, a czem są dzisiaj Anomalja, to zastanawia tem więcej, że, jak stwierdzono, dany zmysł czy zdolność rozwija się tem szybciej, im jest pożyteczniejszą rzeczą. Sądzę zaś, że niema zdolności pożyteczniejszej, a nawet konieczniejszej dla człowieka. Zawsze miał i ma najwyższy i najbardziej zasadniczy interes w natchmiasowym poznaniu myśli bliźniego swego, który bywa często jego przeciwnikiem i wrogiem śmiertelnym. Podobnie też zależało mu zawsze na niezwłocznem przeniesieniu swej myśli przez przestrzeń, na oglądaniu odbytych krain i mórz, na cofaniu się w przeszłość, przenikaniu przy-

szłości, oraz na tem, by odnajdywać w pamięci doświadczenia nietylko własne, ale będące dorobkiem przodków. Ciekawiły zawsze człowieka stosunki ze zmarłymi, lub inteligentnemi istotami, rozprószonemi po wszechświecie, interesowało go odnajdywanie źródeł i skarbów ukrytych, możność wyłamania się z pod drakońskich praw materji i wagi, usuwanie cierpień, leczenie chorób, a nawet odzyskiwanie utraconych członków, nie licząc już innych cudów, których mógł dokonywać, znając te wszystkie siły przedziwne, które śpią niezawodnie skryte w najtajniejszych zwojach jego życia własnego.

Jest to nowy, a dziwaczny rys charakteru naszego gościa nieznanego. Najcenniejsze zdolności, wyższe od tych, jakie ukształtowały nasze życie, których paki tkwią wszędzie pod naszą inteligencją, usiłując ją przebić, wszystko to od tysięcy i niezliczonych tysięcy lat pozostało jałowem, jakby zmartwiało od wiewu lodowatego innych światów. Może jednak gość nieznany zajmuje się przedewszystkiem gatunkiem, nie zaś osobnikiem, którego zaniedbuje? Gatunek jest wszakże całokształtem i sukcesją indywidualności, a rozwój jego zawisł temsamem od ich rozwoju. Wynikłaby tedy i dla gatunku wielka korzyść z rozwoju tych uzdol-

nień indywidualnych i doszedłby był zapewne wyżej, niżli go doprowadził wyłączny rozkwit inteligencji. Może jednak trwając tu w bezruchu, rozwijają się one gdzieindziej. Czemże jest atoli ta siła, istniejąca poza światem naszym i niezawisła od niego? Jest to widocznie siła świata innego. Cóż jednak ma do roboty w takim razie na ziemi? Widząc te wszystkie zaniedbania, całą niepewność i rozbieżność, możnaby chwilami przypuścić, że rozwój człowieka został opóźniony rozmyślnie przez wolę wyższą jakby zdjęła ją obawa, że postępuje zbyt szybko, wyprzedzając jakiś przedstworzenny porządek i że przekroczy przed oznaczonym czasem płaszczyznę psychiczną, jaka mu została naznaczona.

XIII.

Coraz więcej gromadzi się zagadek nierozwiązalnych. Powiadają, że te anormalne zdolności są to nienormalne również relacje i infiltracje poprzez opone dzielącą świadomość od podświadomości. Jest to bardzo prawdopodobne, ale obejmuje jeno część kwestji. Trzebaby się przedewszystkiem dowiedzieć, co przedstawia owa podświadomość, do czego zmierza i z czem zostaje w stosunkach. Czyż forma cerebralna świadomości jest etapem koniecznym, czy przypadkowym? Może bezosobista forma podświadomości jest jedynie prawdziwą? Może też istnieje, jak wszystko za tem przemawia, tak wielkie i nieodmienne przeciwieństwo pomiędzy zdolnościami intelektualnymi, a temi zdolnościami nieznanego pochodzenia, że jedne mogą się przejawiać tylko w chwilach osłabnięcia, lub za-

wieszania drugich? Stwierdzono w każdym razie, że nie występują nigdy niemal jednocześnie. A może w pewnej chwili ludzkość, czy geniusz kierujący jej przeznaczeniem dokonał wyboru stanowczego i strasznego pomiędzy energją cerebralną, a tajemniczymi siłami podświadomości, a w organizmie człowieka pozostał jeszcze dotąd ślad jego wahań? Czem stałaby się ludzkość, gdyby podświadomość wzięła górę nad mózgiem? Tak jest u zwierząt, więc może ludzkość pozostałaby na poziomie czysto zwierzęcym? A może przewaga pierwiastku podświadomego, w rozmiarach większych niż u zwierząt, niemal niezawisłego od naszego ciała spowodowałaby zanik życia w formie dzisiejszej i może żylibyśmy dziś w ten sposób, jak żyć będziemy po śmierci? Mnóstwo się nasuwa jak widzimy kwestyj nierozwiązalnych, nie są one jednak może tak beztreściwe, jak się zrazu wydaje.

XIV.

Którejże ze stron walczących życzyć mamy zwycięstwa i czyż możliwem jest przymierze wrogich potęg, jak długo żyjemy w ciele naszym? Cóż czynić narazie? Jeśli trzeba koniecznie wybierać, ku czemuż się skłonić i któraż z Ifigenij złożyć mamy w ofierze? Zaliż usłuchamy tych, którzy wam powiadają, że niczego nie zyskamy ni nie nauczymy się na tym niegościnnym terenie, gdzie zaciekawiające nas zjawiska znane były, od kiedy człowiek jest człowiekiem? Czyż prawdą jest, że okultyzm (niestosownie tak nazwany, gdyż wiedza jaką się zajmuje nie jest bardziej tajemną od każdej innej wiedzy), czyż prawdą jest, że drepci on, zakłopotany i beznadziejny pośród mglistych faktów, a od lat pięćdziesięciu, kiedy się odrodził na nowo, nie uczynił jednego kroku naprzód? Ten tylko

poważy się rzucić takie twierdzenie, kto nie wie nic o wspaniałych wysiłkach w tych latach przedsiębranych. Nie tu miejsce na roztrząsanie kwestji, wymagającej długich wywodów, stwierdzić tylko trzeba, że żadna dotąd nauka nie uporządkowała w tak krótkim czasie podobnie olbrzymiego chaosu, nie stwierdziła, nie skontrolowała i nie sklasyfikowała takiej masy faktów, nie rozbudziła, nie wypielegnowała i wyćwiczyła w człowieku pewnych zdolności, w których posiadanie nie wierzył nigdy na serjo. Okultyzm spowodował również, że uznano pewne zjawiska nieprawdopodobne zgola za niezaprzeczalne i wprowadził je temsamem w krąg rzeczywistości, na której budujemy życie nasze, chociaż aż do czasów najnowszych gardzono niemi i zaniedbywano je. Wyczekuje się jeszcze coprawda, na ich zastosowanie praktyczne, codzienne, na domestykację siły nowej. Oczekuje się jeszcze manifestacyj rewelacyjnych i decydujących, które usuną ostatnie wątpliwości oświetłą problem aż do głębin, z których się wywodzi. Przyznajmyż jednak, że podobnych objawień oczekuje dziś każda z nauk. Narazie posiadamy zdumiewającą wprost moc materiału zważonego i sprawdzonego, który niedawno jeszcze uważaliśmy za resztki marzeń sennych,

szczałki, urojenia i bezwartościowe legendy, pozabawione wszelkiego znaczenia. Przez trzy niemal wieki nauka o elektryczności trwała bez ruchu na tym mniej więcej poziomie, gdzie się mieści dzisiaj wiedza psychiczna. Regestrowano, gromadzono, oraz usiłowano interpretować mnóstwo zjawisk dziwacznych i bez znaczenia. Zabawiano się też potrosze maszyną Ramsdena, butelką lejdejską i stosem Wolty nieokreślonym jeszcze i mglistym. Zdawało się wszystkim, że są to zabawki niewinne, pomysłowe łamigłówki laboratoryjne fizycznego gabinetu. Nikt nie przeczuwał, że natrafiono na źródło potęgi wszechświatowej, nieodpornej, niewyczerpanej, niewidzialnej, a obecnej i czynnej w każdej rzeczy, która miała niedługo ośwładać całą powierzchnię naszego globu. Nic nie stoi na przeszkodzie przypuszczeniu, że podobne niespodzianki sposobią nam siły psychiczne, przeczuwane zaledwie dopiero w swym całokształcie, z tą jeno różnicą, że idzie tu o energję i tajemnice nierównie wyższe, wspanialsze i niezawodnie brzemienne w konsekwencje dalej sięgające, albowiem dotyczą naszego przeznaczenia wiekuistego, przenikają życie nasze i śmierć, a nawet sięgają poza planetę, na której żyjemy.

XV.

Nieprawdą jest zatem, jakoby wiedza psychiczna wypowiedziała ostatnie słowo i jakoby niczego po niej spodziewać się nie należało. Obudziła się ona dopiero, czy zbudziła nanowo, a jeśli byśmy o lat sto przesunęli przepowiednie Guyau, myśląc o tej wiedzy, moglibyśmy powiedzieć, że wiek XX zakończy się odkryciami złe jeszcze sformułowanymi, ale w świecie moralnym równie doniosłymi, jak były odkrycia Newtona i Laplace'a w świecie gwiazdnym. Jeśli mamy atoli dużo nadziei na przyszłość, nie wynika stąd jeszcze, byśmy mieli sięgać po całokształt, a zaniechywać tego, co nas doprowadziło do punktu dotychczasowego. Wybór pomiędzy inteligencją a podświadomością, o którym wspominałem, został dokonany dawno i nie naszą jest rzeczą przeinaczać go. Płyniemy tam,

gdzie nas niesie siła nabyta od dwu czy trzech tysięcy lat, a nasze metody i nawyki intelektualne przemieniły się z kolei w jakąś mniejszą podświadomość, która spoczywa na większej i mniejsza się z nią często. Bergson jako prezydent SOCIETY FOR PSYCHICAL RESEARCH wygłosił dnia 28 maja 1913 roku piękną mowę, w ciągu której rzucił pytanie, co by nastąpiło, gdyby wiedza współczesna, miast wyjść z matematyki i zmierzać wszystkimi wysiłkami ku badaniu materji, zaczęła od studjum ducha. Co by się było stało, gdyby n. p. Keppler, Galileusz i Newton byli psychologami? — Mielibyśmy dziś — powiedział — niezawodnie psychologję, o której sobie trudno wyrobić pojęcia, podobnie jak przed Galileuszem niktby sobie nie mógł wyobrazić naszej, współczesnej fizyki. Psychologja ta zostawałaby względem naszej psychologji w tym samym stosunku, w jakim nasza fizyka współczesna zostaje względem fizyki Arystotelesa. Pomijając wszelkie ideje mechaniczne, nie pojmując nawet, że możliwem jest tego rodzaju wyjaśnienie, wiedza ta poszukiwałaby faktów takich, jakimi się zajmuje nasza instytucja, miast je odrzucać *a priori*, a może nawet «badania psychiczne» stanowiłyby jej główne zadanie. Odkrywszy najogólniejsze prawa działalności duchowej (podobnie jak odkryto za-

sadnicze prawa mechaniki) przeszłaby od ducha w ścisłem znaczeniu słowa do życia. Powstałaby tedy biologja, ale byłaby to biologja witalistyczna, zgoła różna od naszej, poszukująca poza kształtami dostrzegalnemi istot żywych, wewnętrznych, niewidzialnych sił, których są manifestacjami.

Natrafiliby tedy, od pierwszych chwil swej działalności, na wszystkie owe dziwne problemy, telepatję, materjalizację, jasnowidzenie, cudowną terapeutykę, znajomość przyszłości, życie zagrobowe, inteligentne istoty astralne i mnóstwo innych, dotąd zaniedbywanych, które właśnie skutkiem owego zaniedbywania znajdują się jeszcze w stanie niemowlęcym. Ponieważ jednak duch człowieka nie może się poruszać jednocześnie w dwu wprost sprzecznych kierunkach, wiedza ta zaniedbaćby musiała z konieczności matematykę. Statek parowy przybyły z drugiej półkuli, gdzieby n. p. inteligencja ludzka obrała drogę wprost przeciwną, wydałby się tutaj takim samym cudem, za jaki dziś uważamy manifestacje naszej podświadomości. Doszlibyśmy daleko w tem, co dziś zwiemy nieznanem, czy tajemnem, natomiast jednak mielibyśmy ledwo zaczątkowe wiadomości z fizyki, chemji, czy mechaniki, chyba że okrążywszy wiedzę tajemną

dotarlibyśmy do tej drugiej wiedzy drogą odmienną, co jest zresztą bardzo prawdopodobne. To pewna, że niektóre ludy jak n. p. Hindusi, Egipcjanie, a także może Inkasi i inne ludy, które nie pozostawiły dość dokładnych śladów, biorąc rzecz z odwrotnego końca, nie uzyskiwały wyników decydujących. Jest to może nowa konsekwencja zasadniczej sprzeczności naszych zdolności intelektualnych i podświadomych? Możliwe, nie zapominajmyż jednak, że ludy te nie posiadały nigdy właściwych nam nawyków umysłowych, nie odczuwały potrzeby ścisłości, stwierdzenia bezwzględnie oczywistego, ni pewności doświadczalnej, które to zresztą cechy rozwijają się w nas dopiero od dwustu, czy trzystu lat. Możemy tedy przypuszczać, że krocząc drogą odmienną, Europejczyk byłby doszedł dalej niż człowiek wschodu. Gdzieżby dotarł? Posiadając umysł inny, jaśniejszy z natury, bardziej wymagający, logiczniejszy, nie tak łatwowierny, praktyczniejszy, bliższy oczywistości i baczniejszy na drobne fakty, ale natomiast pozbawiony całkiem gimnastyki naukowej swej inteligencji, zbłądziłby może na tej drodze. A może też natrafiłby na prawdy, których dotąd poszukujemy, prawdy, ważniejsze dużo od wszystkich naszych zdobyczy materialnych? Żle będąc przysposo-

bionym i wyposażonym, bez równowagi i odpowiedniego balastu doświadczeń i pewników, doznałby też mógł losu wszystkich ludów, zanadto pogrążonych w mistykę. Trudno sobie to wszystko przedstawić jasno. Dziś jednak może podjąć bez ryzyka to, co mu ongiś zagrażało niebezpieczeństwem. Nie zaniehbując inteligencji, malej w porównaniu z bezkresem podświadomości, ale pewnej, doświadczonej i posłusznej, może się teraz ważyć na wielkie przedsięwzięcia i nadrobić to, co zostało zaniedbane. Idzie o pogodzenie obu potęg. Nie znamy jeszcze sposobów, jakimiby dopomóc większej z nich, dodać jej otuchy, rozwinąć, przyswoić ją i zbliżyć do siebie. Próby te będą, zaprawdę, rzeczą najtrudniejszą, bardzo tajemniczą i pod pewnym względem najniebezpieczniejszą z wszystkich prób, jakie podjął człowiek. Ale możemy, nie popełniając wielkiego błędu, powiedzieć, że jest to najwyższe z zadań chwili obecnej. Po raz pierwszy od owego zjawienia się na ziemi człowieka przystąpi do tego co nieznane z tak doskonałą bronią w rękę, a także po raz pierwszy, od chwili dojścia inteligencji do szczytu, z którego może niemal wszystko ogarnąć i zrozumieć, uzyska on pomoc z zewnątrz i posłyszysz po raz pierwszy głos, nie będący jeno echem głosu własnego.

SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	VII
Wstęp	1
Widziadła żywych i umarłych	15
Psychometrja	43
Poznanie przyszłości	79
Konie Elberfeldzkie	169
Gość nieznany	283

— EX LIBRIS

Biblioteki Kuratorium O.S.B.
w Białymstoku



WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

POZNAN

LWÓW

UL. ZWIERZYŃECKA L. 6 UL. ZYBLIKIEWICZA L. 15

PROSPEKT

BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA STAN. LAMA

PO RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała biblioteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nie tylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

«BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA» jest pierwszym tego rodzaju przedsięwzięciem wydawniczym w Europie i dlatego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stało na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej

i najnowszej literatury zagranicznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniom polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmiennictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły następujące utwory:

- Tom I. *Romain Rolland* — «Colas Breugnon» — powieść
 » II. *Rabindranath Tagore* — «Opowiadania»
 » III. *Maurycy Maeterlinck* — «Życie pszczół»
 » IV. *Björnsterne Björnson* — «Synnöve Solbakken» —
 Marsz weselny
 » V. *Rudyard Kipling* — «Księga Dżungli»
 » VI. *Rabindranath Tagore* — «Rozbicie» — powieść
 » VII. *Selma Lagerlöf* — «Tętniące serce» — powieść
 » VIII. *Anatol France* — «Poglądy księdza Hieronima Colgnarda»
 » IX. *Rabindranath Tagore* — «Sadhana» — «Szept duszy» — «Zbłąkane ptaki»
 » X. *Karol Spitteler* — «Imago» — romans
 » XI. *Henryk Pontoppidan* — «Djabeł domowego ogniska»
 » XII. *Knut Hamsun* — «Błogosławieństwo ziemi» — powieść
 » XIII. *Maurycy Maeterlinck* — «Inteligencja kwiatów»
 » XIV. *Karol Gjellerup* — «Pielgrzym Kamanita» — romans
 » XV. *Rudyard Kipling* — «Druga księga Dżungli»
 » XVI. *Rabindranath Tagore* — «Wspomnienia» — «Błęski Bengalu»
 » XVII. *Maurycy Maeterlinck* — «Wielka tajemnica»
 » XVIII. *Paweł Heyse* — «l'Arrabbiata» — nowela włoskie
 » XIX. *Rudyard Kipling* — «Stalky i Sp.» — powieść

- Tom XX. *Karol Gjellerup* — «Dojrzałość do życia» — powieść
 » XXI. *Knut Hamsun* — «Głód» — powieść
 » XXII. *Henryk Pontoppidan* — «Ziemia obiecana» — powieść
 » XXIII. *Karol Gjellerup* — «Wędrowcy świata» — romans poetyczny
 » XXIV. *Björnsterne Björnson* — «Tomasz Rendalen» — powieść
 » XXV. *Romain Rolland* — «Dusza zaczarowana I. Anetka i Sylwia» — powieść
 » XXVI. *Verner v. Heidenstam* — «Hans Alienus» — powieść
 » XXVII. *Romain Rolland* — «Dusza zaczarowana II. Lato» — powieść
 » XXVIII. *Paweł Heyse* — «Wesele na Kapri» — nowela włoskie
 » XXIX. *Selma Lagerlöf* — «Gösta Berling» — powieść
 » XXX. *Władysław St. Reymont* — «Pęknięty dzwon»
 » XXXI. *Gerhard Hauptmann* — «Głupiec» — powieść
 » XXXII. *Maurycy Maeterlinck* — «Gość niezwany»

W dalszym ciągu pojawiają się następujące tomy:

Knut Hamsun — «Kobiety u studni» — powieść
Karol Spitteler — «Konrad porucznik» — powieść
Romain Rolland — «Jan Krzysztof» — powieść
Maurycy Maeterlinck — «Mądrość i przeznaczenie»
Rudolf Eucken — «Wielcy myśliciele»
Jacinto Benevente — «Żle kochana»

«BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA» wychodzi w odstępach mniej więcej miesięcznych i każdy tom obejmuje od 16 do 35 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

WYDAWNICTWO POLSKIE

Sp. z ogr. por.
 w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.



WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ POREKĄ

POZNAŃ

LWÓW

UL. ZWIERZYŃIECKA 6 UL. ZYBLIKIEWICZA 15

PROSPEKT

ŚWIAT PODRÓŻY I PRZYGÓD

POD REDAKCJĄ
CZESŁAWA KĘDZERSKIEGO

W każdym człowieku żyje niewątpliwie świadomy czy podświadomy, mniej lub więcej rozwinięty pęd ku przeżywaniu silniejszych wzruszeń. Spekulacja wyzyskuje pęd ten, przelicytowując się w kierunku niezdrowej sensacji, operując środkami możliwie najjaskrawszymi, czego dowodem kinoteatry i tak wielkiem powodzeniem ciesząca się i coraz więcej rozpowszechniająca się t. zw. «literatura skandaliczna», tj. kryminalistyczna i pornograficzna. Brak natomiast u nas w tej dziedzinie dzieł typu szlachetnego. I dlatego właśnie celem wypełnienia tej luki przystąpiliśmy do wydawania takich wysoce zajmujących, awanturnicznych a na wysokim poziomie utrzymanych dzieł pod ogólnym tytułem: *ŚWIAT PODRÓŻY I PRZYGÓD*.

Pod pojęciem powieści *awanturnicznej* rozumiemy pierwiastek znaczenia najszlachetniejszego, jaki w tem określeniu

się ukrywa. A więc odwagę, rzutkość, przedsiębiorczość, tężyżnę życiową, junacki entuzjazm i gotowość do poświęceń, słowem — czynny romantyzm życiowy, tudzież wyrażające na tem tle osobliwe zdarzenia i przygody. «Młodzieńczy entuzjazm nie obywa się bez awanturniczności» — powiedział niegdyś Bałucki. Niechże więc w dzisiejszym nadwątlonym okresie powieści te budzą ów młodzieńczy entuzjazm i szlachetną awanturniczność, niechaj budzą fantazję i żądę dużego czynu. A ponieważ większość powieści tego cyklu rozgrywać się będzie na morzu, niechaj budzą zamiłowanie do morza i chęć przemierzania świata na fali morskiej. Wszakże mamy dziś morze polskie i polską marynarkę.

* * *

Cykl nasz obejmie wybór dzieł pisarzy *pierwszorzędnych*, posiadających sławę ustaloną. Literaturę interesujących przygód podróżniczych reprezentują głównie pisarze angielscy, częściowo zaś francuscy, skandynawscy, niemieccy itd. Piśmiennictwo polskie jest w tym dziale do tychczas niesłychanie ubogie, czego przyczyny szukać należy w niedawnym jeszcze położeniu Polski. Ale i z tego ubożego skarbczyka wydobędziemy dla naszego cyklu kilka cenniejszych utworów. Zbyteczne dodawać, że utwory pisarzy obcych podamy tu w przekładach wzorowych. A ponieważ do cyklu naszego włączać będziemy utwory, stojące na poziomie artystycznym i etycznym, przeto dzieła z cyklu *ŚWIAT PODRÓŻY I PRZYGÓD* znaleźć się mogą bez najmniejszych obaw w ręku każdego, a więc także i w ręku starszej młodzieży.

* * *

Cykl nasz rozpoczynamy *WYSPĄ SKARBÓW*. Autor jej, Robert Ludwik Stevenson, należy do najwybitniejszych przedstawicieli renesansu romantycznego angielskiej nowelistyki, powieści awanturnicznej i historycznej. *WYSPA*

SKARBÓW właśnie zdobył sobie szturmem serca swych
ziomków, ona też ustaliła jego sławę i na świat cały roz-
szerzyła. Literat amerykański Henry James powiedział
w swych studjach literackich, że *TREASUR ISLAND*
(«Wyspa skarbów») stanie się w swoim rodzaju dziełem
klasycznym. Już takim jest i pozostanie takim dzięki nie-
zwykłemu splątaniu rzeczy zagadkowych z działaniem czło-
wieka, dzięki mozaice niespodzianych zdarzeń i świetnych
nastrojów; język jego, odpowiadający świetnie całej skali
tych nastrojów, wprowadza w ruch wszelkie sympatyczne
struny w duszy czytelnika.

Zwartość kompozycji, prostota i jasność i szalone
tempo akcji, tudzież mocne postawienie charakterów — oto
znakomite cechy *WYSPY SKARBÓW*. To też bez obawy
wypuszczamy ten pierwszy tom w wzorowym przekładzie
Józefa Birkenmajera, za którym niebawem nastąpią dalsze
tegoż autora i innych, które mamy w przygotowaniu.

«*ŚWIAT PODRÓŻY I PRZYGÓD*» wychodzi w od-
stępach mniej więcej dwumiesięcznych i każdy tom obej-
muje od 15 do 25 arkuszy.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach;
gdzie takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

WYDAWNICTWO POLSKIE

Sp. z ogr. por.

w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.

